

M A R I U S Z  
K O P E R S K I



GIEŁDA  
MILIONERÓW

Zakopiańska powieść kryminalna

M A R I U S Z  
KOPERSKI



GIEŁDA  
MILIONERÓW



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Dedykacja*

*Cytat*

## **Część I ❖ Śledztwo ❖**

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.
- 55.
- 56.
- 57.
- 58.
- 59.
- 60.
- 61.
- 62.
- 63.
- 64.
- 65.
- 66.
- 67.
- 68.
- 69.
- 70.

71.

**Część II ❖ Spektakl ❖**

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

*Epilog*

*Moim Rodzicom*

*Życie to jest teatr, mówisz ciągle, opowiadasz.  
Maski coraz inne, coraz mylnie się nakłada.  
Wszystko to zabawa, wszystko to jest jedna gra.  
Przy otwartych i zamkniętych drzwiach.  
To jest gra!*

EDWARD STACHURA

# Część I

## ❖ Śledztwo ❖



# 1.

Mężczyzna poszukał wzrokiem kamery. Była tam. Wisiała pod sufitem ukryta w kulistym kloszu z przyciemnionego szkła.

Zwykły obrotowy fotel, na którym tamten bezgłośnie się szarpał, próbując się uwolnić, stał mniej więcej na środku biura. Dopiero pchnięcie nożem prosto w serce przyniosło mu ostateczny spokój. Znieruchomiał z głową spuszczoną na piersi.

Mężczyzna przyjrzał się swoim dłoniom. Białe gumowe rękawiczki były czerwone od krwi. Co za paskudna robota, pomyślał. Z dużej torby wyjął czystą szmatę.

– Czas tu posprzątać – powiedział do siebie cicho.

## 2.

– Oj, Karpiel, Karpiel, czym ty się tak ekscytujesz? Młody jesteś... Utrata pracy to dziś norma. Po prostu szukasz następnej i już. Albo zostajesz emerytem, gdy masz już swoje lata...

– Ale, pułkowniku, no co pan? Przy takich zasługach? Tyle lat ciężkiej roboty? Tylu złapanych bandziorów? Tak z dnia na dzień, bez „dziękuję” albo „pocałuj mnie w dupę”?

Nadinspektor Hermann, tytułowany przez wszystkich pułkownikiem, bo tak sobie zażyczył, wzruszył ramionami i napił się piwa z butelki. Na nosie miał jak zwykle ciemne okulary. Siedział zrelaksowany i nonszalancki, założywszy nogę na nogę, w białym podkoszulku z czarnym nadrukiem: *Winter is coming*, jasnoniebieskich dżinsach i mokasynach z jasnego płótna. Bez skarpetek.

– Są skuteczni, trzeba im to przyznać – powiedział. – Chcieli mnie wywalić i to zrobili. Mają gdzieś skutki... Postanowili, że następne Święto Policji będzie bez ludzi z milicyjną przeszłością, i wypieprzyli wszystkich, którzy choćby jeden dzień przepracowali w MO. A ja, jak wiesz, byłem rok w ZOMO. Wszyscy są tak posrani ze strachu, że tym razem nawet nikt nie próbował mnie bronić. A teraz słyszysz, że komendant Derebas też wybiera się na przymusową emeryturę. On także zaliczył parę lat w milicji. Przewalone mieliśmy od pierwszego dnia ich rządów, tylko nie zdawaliśmy sobie sprawy z ich determinacji.

Derebas pokiwał głową. Nie miał takiego sznytu jak Hermann – koszula w ciemnoniebieską kratkę, czarne materiałowe spodnie i brązowe skórzane buty nie czyniły go specjalnie eleganckim. Siwiał, lecz jego krótko ostrzyżone włosy nie były tak białe jak pułkownika.

– Za dwa tygodnie idę na zaległy urlop i potem nie wracam do pracy – oznajmił. – Nie wiem, kto mnie zastąpi. Założę się, że oni też nie wiedzą.

Przy takich kryteriach, jakie sobie wymyślili, ławeczka jest bardzo krótka. Może wezmą jakiegoś młokosa po szkole oficerskiej. Albo wyznaczą Jasińskiego. To przecież ich człowiek. – Zaśmiał się, jakby powiedział świetny dowcip. – Nie krzyw się, Karpiel, taka prawda.

Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy trzej, jak na komendę, napili się piwa. Siedzieli przy stole w mieszkaniu Karpiela w Zakopanem. Nikomu go nie wynajęli, jakby nie chciał odcinać sobie drogi powrotu, przerywać tej cienkiej nitki, która łączy go jeszcze z tym miejscem. Stało puste i na niego czekało, dawało mu poczucie bezpieczeństwa.

Spotkali się w tym składzie pierwszy raz od dawna. Była połowa września, piękna tatrzańska jesień. Hermann od prawie dwóch tygodni był gościem Karpiela. Po długich namowach przyjął jego zaproszenie, żeby po rozwiązaniu zespołu spędzić trochę czasu właśnie tutaj. Miał odreagować po wielkiej awanturze w Warszawie. Bo Hermann próbował ratować swój zespół. Przez kilka dni odwiedzał wpływowych znajomych, dzwonił, przekonywał, naciskał, szantażował, komuś nawet dał po mordzie, jednak tym razem nic nie wskórał. Jeden podpis ministra spraw wewnętrznych i lata pracy Hermanna wylądowały w koszu. Zespół powołany pod koniec lat dziewięćdziesiątych przy Komendzie Głównej w Warszawie przestał istnieć. Kilku policjantów przeszło na emeryturę, a inni próbowali znaleźć pracę w prywatnych firmach. Z różnym skutkiem. Tylko Karpiel, jako najmłodszy z nich, miał jakąś szansę na dalszą służbę w policji. A przecież przez prawie dwadzieścia lat pułkownikowi udało się stworzyć ekipę wyjątkowo sprawnych policjantów, może trochę zbyt narwanych, ale za to bardzo skutecznych. Hermann rozpiął nad nimi parasol ochronny i całą krytykę brał na siebie. A miał co brać, bo jego ludzie nie należeli do zbyt zdyscyplinowanych i gardzili wszelkimi procedurami. Nie byli też lubiani przez innych policjantów, którzy zazdrościli im sukcesów i statusu świętych krów. Bo sukcesy były, nie da się zaprzeczyć. A teraz wszystko szlag trafił i zespół pułkownika Hermanna przeszedł do historii.

Tymczasem Karpiel też był na rozdrożu. Najpierw pracował w Zakopanem, potem Hermann ściągnął go do Warszawy. Był gotowy na nowy początek, jednak nie miał nowego przydziału i pomysłu, co dalej

robić. Oficjalnie także był na urlopie. Ukradkiem zerknął na swoje odbicie w lustrze szafy. Nie miał jeszcze siwych włosów, lecz niepokoiły go powiększające się zakola i drugi podbródek. Siedział głęboko w fotelu. W powyciąganej koszulce polo i wytartych dżinsach wyglądał trochę niechlujnie. Ale był u siebie i uważał, że może sobie na to pozwolić.

Derebas, komendant powiatowy policji, były przełożony Karpiela z czasów, kiedy ten pracował w Zakopanem, i jednocześnie kolega pułkownika ze szkoły policyjnej, poprosił o to spotkanie, kiedy tylko dowiedział się, że obaj są w tym mieście.

– Właściwie nie przyszedłem tu, żeby sobie z wami ponarzekać – powiedział po chwili milczenia. – Mam sprawę.

Karpiel i Hermann spojrzeli na niego pytająco.

– Może to śmieszne i staromodne, ale chciałbym odejść z czystym kontem – ciągnął. – A została mi jedna sprawa. Świeża, z przedwczoraj. Morderstwo. Tajemnicze. Wyrafinowane. Nie chciałbym tego tak zostawić. Ja i Hermann nie mamy nic do stracenia. Właściwie już nie jesteśmy glinami. Ale ty, Karpiel, jesteś. Nadal możesz błyskać blachą. No i potrzebuję cię, bo znasz to miasto jak żaden z nas. Rozumiecie, o co chodzi?

– Morderstwo? Tajemnicze? – Hermann wyprostował się na krześle.

– Aha. Spodoba wam się.

### 3.

Dobrze, że są papierosy. Ma kolejny powód, by się zatrzymać i o kilka minut odwlec moment podjęcia ostatecznej decyzji. A jeśli wypali dwa, ten czas wydłuży się jeszcze bardziej. Wypalił trzy. W końcu zrobiło mu się niedobrze. Palce prawej ręki było nieprzyjemnie czuć nikotyną, a w ustach miał trampka.

Dość. To dziecinada, pomyślał. Bądź facetem z jajami i powiedz wreszcie „tak” albo „nie”.

Rzucił niedopałek w krzaki rosnące przed wejściem do siedziby starostwa. Kilkanaście schodów do drzwi wejściowych pokonywał dłużej niż zwykle. Dwie panie za długą ladą w holu obrzuciły go znudzonym spojrzeniem. Nie powiedziały „dzień dobry”, więc on też nie wyrywał się z pozdrowieniem. Nie miał dziś głowy do kindersztuby.

Od drzwi sekretariatu starosty dzieliło go dwadzieścia metrów obskurnego korytarza. Wystarczyło, by zdążył powtórzyć w myślach wszystkie argumenty za i przeciw.

Przypomniał sobie swoją wcześniejszą wizytę tutaj przed trzema dniami. Najpierw był telefon. Na komórce wyświetlił się nieznany numer z zakopiańskim prefiksem. „Sekretarka starosty, łączę. Pan starosta osobiście”. Starosta rozmawiał z nim jak ze starym znajomym, a przecież widzieli się tylko parę razy i zamienili nie więcej niż kilka zdań. Zaprosił go do siebie na ważną rozmowę. Coś pilnego, więc spotkali się jeszcze tego samego dnia. Dlaczego nie posłałem go do diabła? – zastanawiał się Karpiel. Brak asertywności, ciekawość czy coś znacznie gorszego?

– Kawa czy herbata? Może woda? Pani Zosiu, kawa. Nie, dwie, dla mnie też.

Starosta tatrzański był okrągłym jowialnym typem koło sześćdziesiątki, ze śmiesznym wąsikiem. Ludzie władzy mają przesrane, pomyślał Karpiel,

nikt nie ma odwagi im powiedzieć, kiedy wyglądają jak idioci.

Zanim starosta przeszedł do sedna, zagadnął o kilka banalnych spraw. Jak tam w Warszawie, czy Karpień zadowolony z pracy, a może lepiej mu było w Zakopanem i takie tam. Karpień odpowiadał tyle, ile musiał, żeby nie wyjść na gbura. W końcu urzędnik zaczął wiercić się w fotelu, co policjant odebrał jako sygnał, że zaraz dowie się, o co naprawdę chodzi.

I się dowiedział.

– Wie pan, takie czasy, trzeba zaufanych ludzi. Budujemy nową Polskę, Zakopane też potrzebuje świeżej krwi. Pan wie, Derebas idzie na emeryturę, musimy znaleźć kogoś na jego miejsce. Najwyższy czas, to przecież gość z poprzedniej epoki. Wie pan, że on pracował w milicji? I jeszcze na dodatek nie nasz. Co taki człowiek z Polski, gdzieś tam z Wrocławia czy skąd on tam jest, może rozumieć, co tu się dzieje? Przecież on w ogóle nie czuje tego miasta. Pan to co innego. Pan jest młody i stąd, człowiek z takim nazwiskiem, rodzina z tradycjami, prawdziwy góral i świetny policjant, nikogo lepszego nie znajdziemy. I jeszcze doświadczenie z pracy w Warszawie. Ha! – Karpień czekał, aż padnie nazwisko pułkownika, ale nie padło. Ciekawe... – Więc jak będzie? Musi się pan zastanowić? To zrozumiałe. Byle nie za długo. Jest pan naszym jedynym kandydatem, ale...

Karpień po wędrownce korytarzem dotarł wreszcie przed drzwi sekretariatu. Westchnął głęboko i nacisnął klamkę.

Kurczę, jakbym wchodził na jakiś egzamin, pomyślał.

## 4.

– Dwa dni temu ktoś włamał się w nocy do pomieszczeń znanej zakopiańskiej fundacji – relacjonował Derebas. – Na środku biura ustawił fotel, posadził na nim mężczyznę, przywiązał go do niego taśmą i zakleił mu nią usta, a potem zamordował, wbijając nóż w serce. Zwłoki znalazł rano szef fundacji i jednocześnie właściciel biura, który przyszedł do pracy. Gość nie żył już wtedy od kilku godzin.

– Kto to? – spytał Karpiel.

Derebas sięgnął do skórzanej teczki, która stała obok jego krzesła. Wyjął z niej mały notatnik. Przez chwilę przerzucał kartki, szukając odpowiedniej strony.

– Jan Lewcun, emeryt. Był kiedyś dyrektorem w kilku firmach. Kiedyś, to znaczy jeszcze za komuny... Ale potem też nieźle sobie radził.

– Kurde, znałem go – wtrącił Karpiel. – Nie jakoś specjalnie dobrze, ale pracował z moim ojcem. To się nazywało Spółdzielnia Przemysłu Ludowego. Lata temu. Był nawet u nas kilka razy... Sympatyczny człowiek...

Derebas czekał, czy Karpiel powie coś więcej, ale ponieważ komisarz zamilkł, podjął relację:

– Żonaty, dwójka dorosłych dzieci, żona, znacznie młodsza od niego, nauczycielka w technikum hotelarskim. Mieszkali w nowym apartamentowcu. Średnio zamożni. Trudno na dzień dobry wymyślić jakiś sensowny motyw.

– Ale wygląda na to, że dla mordercy był kimś ważnym – zauważył Hermann. Gdy Derebas mówił, wstał od stołu i zaczął chodzić po pokoju, wyraźnie ożywiony. – Gdy ktoś morduje w taki sposób, zadaje sobie tyle trudu, przygotowuje całą inscenizację, to motyw musi być wyjątkowy. Mniej więcej od czasów Szekspira nóż w sercu oznacza zbrodnię w afekcie...

– Tylko niestety mordercy też o tym wiedzą, więc mogą mylić tropy – odrzekł komendant. – Tak czy inaczej, trzeba będzie popytać, pogadać z ludźmi i pogrzebać w przeszłości ofiary. Karpiel, skoro już przyznałeś się do tej znajomości...

– Jasne, komendancie, zajmę się tym.

– Aha, chyba lepiej, żeby to wszystko odbyło się nieoficjalnie – dodał Derebas i nie czekając na reakcję Karpiela, zapewnił: – Nie, nie boję się. Już nic mi nie mogą zrobić. Nie chciałbym tylko, żeby zaczęli nam przeszkadzać. Im później wpadną na to, że się tym zajmujecie, tym lepiej.

– Ale właściwie jacy „oni”? – spytał Karpiel.

– Zobaczysz – dopowiedział komendant i uśmiechnął się tajemniczo.

– Hola, hola! Nie tak szybko, Derebas – odezwał się Hermann. Przestał chodzić i oparł obie ręce na stole. – To znaczy jak? Pracujemy społecznie? Ty masz fanaberie, a my z Karpiem będziemy nadstawiali karku? Żebyś mógł spać spokojnie, że odchodzisz z czystym kontem? Chyba żartujesz...

Karpiel otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Patrzył na Derebasa, czekając na jego reakcję, lecz tak naprawdę miał ochotę natychmiast wybiec z domu i rozpocząć śledztwo, nieważne – oficjalne czy nie.

– No, myślałem... – zaczął komendant wyraźnie zbity z tropu – myślałem, że mi po prostu pomożecie. To przecież morderstwo, zagadka... – Ostatnie słowa zabrzmiały tak, jakby zachwalał im jakiś towar.

– To źle myślałeś – uciął szorstko pułkownik. – Jakbyś nie zauważył, ojczyzna właśnie się na nas wypięła. A to, że chodzi o morderstwo, wcale mnie nie motywuje. Wręcz przeciwnie. Kto wie, co tam siedzi w popieprzonej głowie mordercy? Zabił raz, może zabijać dalej. Policjantów też. Zwłaszcza takich na emeryturze, jak ja. I nie podpuszczaj mnie z tą zagadką. To tylko na filmach gliniarzy i detektywów tak to kręci, że rzucają wszystko, żeby rozwiązać sprawę. Ale gdyby lepiej się przyjrzeć, to nawet oni gdzieś tam biorą jakąś kasę. Nawet Herkules Poirot musiał z czegoś żyć i mieć na te swoje garnitury, wykrochmalone koszule i cygara...

– Mam ci zapłacić? Zwariowałeś? – Derebas nie krył oburzenia.

Hermann parsknął śmiechem.



– Gdzieś mam twoje pieniądze. Po prostu to już nie moja sprawa. Może Karpiel da się w to wciągnąć, ja na pewno nie. Jestem tu na wakacjach i chromolę wszystko inne.

Komendant Derebas wpatrywał się oniemiały w Hermanna. Milczał przez kilkanaście długich sekund, po czym wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Jesteś mi to winien, Hermann. – Po czym przeniósł wzrok na Karpiela i dodał: – Ty właściwie też. Obydwaj jesteście mi to winni. Macie długi do spłacenia. Pamiętasz, Hermann?

Pułkownik otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, rzucić błyskawiczną ripostę, lecz się zawahał, jakby nagle coś sobie przypomniał. Milczał, wpatrując się w Derebasę zza ciemnych okularów.

## 5.

Hermann był zły bardziej na siebie niż na Derebasę. Komendant go zaskoczył, wyciągając tę starą historię i stawiając pod ścianą. A z drugiej strony – zdawał sobie z tego sprawę – sam go do tego sprowokował. No i jeszcze coś – to też musiał szczerze przed sobą przyznać – na jego miejscu bez wahania zrobiłby to samo. Zresztą sam go takiej bezwzględności nauczył. Pokazał mu, jak wykorzystywać słabości innych do osiągnięcia własnych celów.

Dziwna to była przyjaźń między nim i Derebasem. Jeśli w ogóle można nazwać to przyjaźnią. Hermann zawsze dominował, a Derebas kręcił się w jego pobliżu jak satelita wokół planety, korzystał z jego cienia i ochrony. Ich drogi się zbliżały, oddalały, a od czasu do czasu przecinały. Jak wtedy, gdy Hermann stworzył swój zespół i od razu ściągnął do niego Derebasę. Ten nie wytrzymał w nim jednak zbyt długo, pracowali razem zaledwie kilka lat. Nie rozeszli się w złości, Hermann musiał po prostu uznać, że Derebas nie nadaje się do takiej roboty. Był zbyt poukładany i porządny, żeby babrać się w tym bagnie. Bo to, z czym mieli do czynienia, to było bagno: na bezwzględność i brutalność mafiozów, zawodowych zabójców i zwyrodniałych morderców policjanci pułkownika odpowiadali nie mniejszą brutalnością i bezwzględnością, nie patyczkowali się z przestępcami i nad wyraz chętnie uciekali się do przemocy. Dopóki Derebas pracował w zespole, był wiernym kompanem i żołnierzem pułkownika, jednak pewnego dnia powiedział „dość” i odszedł do zwykłej służby.

W dniu, kiedy wydarzyła się tamta historia.

## 6.

Hermann pochylił się nad dziewczyną i prawą ręką ścisnął jej twarz. Jednocześnie lewą podsunął pod nos lufę glocka.

– Słuchaj, mała – powiedział ostrym szeptem – zaczniesz gadać albo ta historia przybierze dla ciebie bardzo zły obrót. Rozumiesz? Gdzie jest Achilles? Przecież wiemy, że to jego meta... Wróci tu? Kiedy? Mów, kurwa, mów...

– Szefie, ale ona przecież nie wie, na jakim świecie jest. Naćpana jak sto pięćdziesiąt – odezwał się niski, krępy mężczyzna stojący za Hermannem. – Trzeba zaczekać, aż dojdzie do siebie.

Derebas pokiwał głową.

– Nic z niej teraz nie wyciśniemy – zgodził się. – Zabierzmy ją do nas i potem się nią zajmiemy.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Byli w schludnej, elegancko urządzonej kawalerce. Gdyby nie rozgrzebane łóżko, z którego przed chwilą wyciągnęli oszołomioną dziewczynę, można by pomyśleć, że to hotelowy pokój czekający na nowego klienta. Ona też raczej była tutaj gościem. W łóżku leżała ubrana, na nogach miała rozdeptane tenisówki. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat i od kiedy tu weszli, nie powiedziała ani słowa.

Trzecim policjantem w mieszkaniu był komisarz Jarecki zwany Rebusem, także członek grupy Hermanna. Pojawili się tu, bo otrzymali informację, że kawalerka to kryjówka Achillesa, egzekutora gangu grasującego od niedawna na warszawskich przedmieściach.

To były czasy, kiedy zespół Hermanna często dostawał sprawy, z którymi nie poradzili sobie inni, a potem pułkownik już sam decydował, które śledztwa mają im przypaść. Centralne Biuro Śledcze jeszcze nie powstało, a Biuro do Walki z Przestępczością Zorganizowaną przy Komendzie Głównej Policji przechodziło kryzys i za chwilę miało przestać istnieć.

Achilles był brutalnym zabójcą, który najwyraźniej uważał, że jest nietykalny i nieśmiertelny jak jego mityczny imiennik, bo likwidował ludzi w biały dzień, przy świadkach, i jak dotąd nikomu nie udało się go złapać. Oni jednak też nie mogli sobie z nim poradzić. Zabił już sześć osób, a ludzie Hermanna szli tylko śladem jego morderstw i zawsze przybywali za późno.

– Oszalałeś, Derebas? – powiedział ostro Hermann. – To nasza jedyna szansa, że on tu przyjdzie. Cholera wie, kto to jest. – Ruchem głowy wskazał dziewczynę. – To jego kobieta, siostra może... Mam ją teraz zawieźć na jakiś komisariat, żeby przejęli ją funkcjonariusze? Potrzebujemy jej tutaj.

Derebas musiał się uśmiechnąć. Znał Hermanna bardzo długo i wiedział, że w słowie „funkcjonariusz” zawiera się wszystko to, co uważa w policji za najgorsze: procedury, biurokracja, przepisy, hierarchia i... nuda.

Już miał coś odpowiedzieć, szukał jakiejś zabawnej riposty, lecz nagle wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Hermann, wypowiadając do Derebasa ostatnie słowa, odwrócił się plecami do dziewczyny i włożył pistolet za pasek spodni. Zrobił to jednak tak nieszczęśliwie, że materiał marynarki dostał się pod broń i jego piękny nowy glock wyraźnie wystawał znad paska. Dziewczyna jakby nagle ocknęła się z narkotycznego letargu, gwałtownie wstała z krzesła, wyciągnęła rękę i wyszarpnęła broń ze spodni policjanta. Kiedy pierwszy raz nacisnęła spust, Hermann stał plecami do niej. Zamknęła oczy, oczekując wystrzału, lecz ten nie nastąpił. Spojrzała zdezorientowana na pistolet. Skąd mogła wiedzieć, że glocki mają szczególne zabezpieczenie? Że pierwsze naciśnięcie spustu dopiero odbezpiecza broń? Następne kilka sekund śniło się Derebasowi po nocach przez długi czas. Nie mógł się uwolnić od tego obrazu: dziewczyna ponownie unosi broń tak, że teraz celuje prosto w pierś Hermanna, który wreszcie odwrócił się w jej stronę. Pada strzał, lecz kula nie trafia pułkownika, tylko roztrzaskuje głowę dziewczyny. To kula z pistoletu Derebasa, który, żeby uratować Hermannowi życie, po raz pierwszy w życiu zabił człowieka.

Potem było mozolne tworzenie mistyfikacji. Jarecki zniknął na godzinę i wrócił z lewym rewolwerem, który zabrali kiedyś jakiemuś bandziorowi i przezornie nie oddali do depozytu. Położyli go koło martwej dziewczyny

i ustalili przebieg wydarzeń: weszli do mieszkania, ona od razu wyciągnęła broń, a Derebas strzelił w obronie własnej. Trochę było wokół tego szumu, jednak ostatecznie kupiono tę wersję i sprawa rozeszła się po kościach. Dwa tygodnie później złapali Achillesa. Okazało się, że nie znał dziewczyny ani ona jego. Kobieta, która opiekowała się mieszkaniem, pozwoliła swojej siostrzenicy ukryć się tam przed gniewem rodziców, którzy źle znosili nałóg córki.

Derebas na drugi dzień po tej nieszczęśliwej akcji odszedł z zespołu i został „funkcjonariuszem”.

## 7.

Karpiel czekał na odpowiedź Hermanna, lecz jej nie usłyszał. Pułkownik był wzburzony, jednak z jakiegoś nieznanego Karpielowi powodu milczał.

– Nie rozumiem. Jaki dług? O czym pan mówi? – zwrócił się Karpiel do Derebasa.

Komendant znowu spojrzął na Hermanna.

– Powiesz mu?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Ja? Sam mu powiedz – odburknął.

– Sylwester w Zakopanem, trzy lata temu – zaczął Derebas. – Ty byłeś podpity i on też. Spotkaliście się na parkingu przy alei 3 Maja. Pamiętasz?

O Boże, Karpiel pamiętał. Tamten nazywał się Szeliga i był kiedyś jego kumplem z góralskiego zespołu, a potem ożenił się z jego koleżanką z pracy, Małgosią. Aż pewnego razu Karpiel mu przyłożył, bo powiedział coś złego o jego dziewczynie Eli i w jednej chwili przestali się lubić. Potem schodzili sobie z drogi przez wiele lat, dość skutecznie udawali, że się nie znają, aż przypadkiem spotkali się w tę fatalną sylwestrową noc.

Obrazy, przez te trzy lata konsekwentnie wypierane przez jego mózg, nagle wróciły tak wyraźnie, jakby to było wczoraj.

Kłóć się, dawne zadry odżyły w pamięci. Szamoczą się i przepychają. Pijany Szeliga mu się wyrzywa i zaczyna uciekać w stronę ulicy. Jest zima, piękna, zakopiańska, ze śniegiem i mrozem. Jest bardzo ślisko, ale jakimś cudem utrzymują się na nogach. Szeliga wpada po kolana w zaspę oddzielającą parking od ulicy. Karpiel łapie go za kurtkę. Tamten się szarpie.

– Kurwa, zostaw mnie! Daj mi spokój, glino! – krzyczy.

Z każdym szarpnięciem Karpielowi pozostaje w zgrabiałej z zimna dłoni coraz mniejszy kawałek materiału. Wreszcie czuje silne szarpnięcie i kurtka

wyślizguje mu się z ręki. Szeliga wypada z impetem na jezdnię. Sekundę później Karpiel słyszy pisk hamulców i głucho uderzenie.

Do tej pory nie wie, dlaczego się nie ujawnił. To przecież nie jego wina. Szeliga był pijany. Wyskoczył pod samochód i zginął. Karpiel wcale nie musiał uciekać. Wypadek i tyle. On jednak nie powiedział: widziałem, jak to się stało, wiem, kto to jest. Ukrył się za zaspą, a potem uciekł pod osłoną nocy. Tego jednego, jedyne, krótkiego momentu tchórzostwa w swoim życiu nie może sobie wybaczyć. Za każdym razem, kiedy wraca wspomnienie tamtej nocy, pali go wstyd.

– Chciałem się zgłosić! – wymamrotał ze spuszczoną głową. – Naprawdę chciałem! To zresztą nie była moja wina, tylko wypadek!

– To rzeczywiście był wypadek. Ale ty się nie zgłosiłeś! – prychnął Derebas. – A skoro tak, to chyba sam nie do końca wierzysz, że choć trochę nie zawiniłeś. A przecież jesteś policjantem i powinieneś rozumieć, co znaczy odpowiedzialność...

– A właściwie skąd pan o tym wie? – zdziwił się Karpiel.

– Oj, Karpiel, Karpiel... Na parkingu jest monitoring, bo przylega do banku. Na nagraniu było wszystko widać jak na dłoni.

– I co? Jeśli teraz panu nie pomogę, to pan komuś pokaże to nagranie?

Derebas zmrużył oczy i powiedział wyraźnie poirytowany:

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz, Karpiel. Ja nie jestem jakimś zasranym szantażystą. Skasowałem to nagranie chwilę po tym, jak je obejrzałem. Uważam jednak, że uratowałem ci wtedy dupę i jesteś mi coś winien. Co ty z tym zrobisz, to twoja sprawa. Czy to jest dla ciebie jasne?

Karpiel jeszcze niżej spuścił głowę.

I wtedy Hermann zapytał jak gdyby nigdy nic:

– Co się stało z narzędziem zbrodni? Macie je?

## 8.

– Co się stało z narzędziem zbrodni? – Hermann powtórzył pytanie, bo Derebas nie odpowiadał.

Po kilku sekundach Derebas uśmiechnął się pod nosem i rzekł:

– Zostało w ciele ofiary. Zwykły kuchenny nóż. Stary. Z czarną plastikową rączką. Długość ostrza siedemnaście centymetrów. Oczywiście żadnych odcisków palców. Sprawca nosił rękawiczki.

– Jak to stary? Jakiś antyk? – Karpień zrozumiał, że dyskusja na temat ich udziału w śledztwie została zakończona i nie pozostaje mu nic innego, jak przejść nad tym do porządku dziennego.

– Nie, najzwyczajniejszy kuchenny nóż. Właściwie jedyne, co można o nim powiedzieć, to właśnie to, że jest stary i zwykły. Nie potrafię dokładnie odpowiedzieć, myślę, że z lat siedemdziesiątych, może osiemdziesiątych... Oczywiście nie ma żadnego logo czy nazwy firmy. Zresztą mam tu gdzieś zdjęcie... – Derebas zaczął przeglądać akta śledztwa.

– I to była przyczyna śmierci? Ten cios w serce? – chciał wiedzieć Hermann.

– Tak, chociaż sekcja wykazała także obecność we krwi silnego środka uspokajającego czy nasennego. I dwie dziesiąte promila alkoholu.

– No jasne, sprawca musiał go jakoś na tym fotelu posadzić. Dobrowolnie raczej nie dałby się związać i zakneblować – stwierdził Karpień. – Jeśli nie został ogłuszony, to musiał to być jakiś środek nasenny. Ile ważyła ofiara?

– Sporo. Dziewięćdziesiąt dwa kilogramy.

– No to mamy jasność. Ktoś go poczęstował alkoholem, uśpił, a potem posadził na fotelu – powiedział Karpień takim tonem, jakby dokonał doniosłego odkrycia.

Hermann był jednak sceptyczny.

– No tak, ale jak to się odbyło? Gdzie miał to wypić? W biurze czy gdzieś



wcześniej, i jakoś go tam przetransportowano? To mało prawdopodobne przy jego wadze, ale przecież niewykluczone... A właściwie to gdzie jest to biuro? Da się tam wejść, nie wzbudzając podejrzeń? A tym bardziej wnieść nieprzytomnego wielkiego mężczyznę?

– Nooo, raczej nie. Biuro Fundacji PioMar mieści się na trzecim piętrze odrestaurowanej kamienicy na skrzyżowaniu Krupówek i Kościuszki – odpowiedział Derebas. – Na dole jest wielki sklep odzieżowy. Wejście do biur znajduje się od strony Kościuszki, ale to niewiele zmienia, bo o każdej porze dnia i nocy kręci się tam mnóstwo ludzi. Właściwie niewiele jest miejsc w Zakopanem, gdzie trudniej byłoby ukryć coś takiego.

– A może ktoś go wywiózł na wózku inwalidzkim? To by wiele wyjaśniało, nie? – podsunął Karpieł. – Może rzucałoby się w oczy, ale nie aż tak bardzo...

– Może – mruknął Derebas, kiwając głową. – Miał przy sobie komórkę, ale nie było tam żadnych podejrzanych połączeń w dniu jego śmierci, a przecież jakoś musieli się ze sprawcą umówić. No i pozostaje jeszcze najważniejsze – motyw. Po jaką cholereę ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zabić właśnie tak, właśnie tam i właśnie w tym czasie?

– Właśnie – powtórzył Hermann. – Mamy coś jeszcze?

– Mamy film – odparł z satysfakcją komendant.

– Film? Jak to film?! – wykrzyknął Karpieł.

– Po prostu. W biurze była kamera. Wszystko się nagrało. Wiemy, jak to się odbyło. Całe to przedstawienie widać jak na dłoni.

Hermann aż klasnął.

– Uwielbiam filmy!

## 9.

Rozmowa sprzed dwóch miesięcy. Kłótnia z Zosią. Całe życie się kłócili i nic się nie zmieniło. Siostra była pyskata. I to wcale nie od czasu wypadku, w którym straciła nogi. Zręczliwa była od dziecka. Walczyła o swoje z pasją i zaciekłością, które nie pasowały do jej łagodnego wyglądu – filigranowa, blond włosy, najczęściej zaplecione w warkocz albo związane w kucyk, i szczerze niebieskie oczy. A w duszy prawdziwy diabeł. Jeśli ktoś jej nie znał, był zaskoczony tym, jaka jest stanowcza.

Karpiel miał jednak do Zosi słabość. Bo była jego młodszą siostrą, którą – jak myślał – ciągle powinien się opiekować, i była... kaleką. Tego drugiego wciąż nie chciał zaakceptować.

Kłócili się o to, co zwykle, czyli o jego życie w Warszawie. O to, że powinien być tu, w Zakopanem, z nią, z dziadkiem, ze swoją rodziną, a nie z Elą.

– Ona też jest teraz moją rodziną – przypomniał.

– Akurat – prychnęła Zosia. – Jak możesz tak mówić? Zupełnie ci odbiło w tej Warszawie...

Słowa „w tej Warszawie” zawsze wymawiała z pogardą. Jakby stolica była wyspą trędowatych, jakąś współczesną wersją Sodomy i Gomory. Brzmiało w tym trochę panującej na Podhalu pogardy dla warszawiaków za pyszałkowatość i za to, że zadzierają nosa, a trochę prowincjonalnych góralskich kompleksów. Jak mawiał jego kolega z warszawskiej komendy, który lubił łązić po Tatrach: „Gdyby nie warszawiacy, to do tej pory byście rzepę na przednówku jedli i z krowami spali”. Karpiel reagował na to ze złością, ale musiał przyznać, że coś w tym jest...

– Siostra, mam tam pracę – szukał argumentów. Rozmawiali jeszcze przed rozwiązaniem zespołu pułkownika Hermanna, więc mógł tak powiedzieć. Choć wiedział, że to słabe, bo...

– ...tutaj też byś bez problemu coś znalazł – powiedziała to, co oczywiste. – Tu też jest dość roboty dla policjantów.

– Ale tam jest Ela – wrócił do najważniejszego powodu swojego pobytu w Warszawie. – Jest teraz częścią mojego życia. Ważną częścią...

– Ważniejszą niż ja, dziadek i rodzice?

– Dlaczego jej tak nienawidzisz, co? Przecież nawet jej nie znasz, w życiu z nią nie rozmawiałś. I jacy rodzice? Od prawie dwudziestu lat siedzą w Stanach i mają nas gdzieś!

I wtedy Zosia wypowiedziała zdanie, które postawiło świat Karpiela na głowie:

– Wracają, Tomek. Za dwa miesiące. Na stałe.

A teraz ich zobaczy. Już tutaj są. Za drzwiami, w pokoju w jego rodzinnym domu.

## 10.

A ten czego chce? – pomyślał zdziwiony, gdy odebrał telefon i usłyszał po drugiej stronie głos komisarza Jasińskiego.

Pogadać. Dowiedział się, że Karpiel jest w Zakopanem. Pilna sprawa, może dziś wieczorem na jakieś piwko się umówią? Kurwa, wszystkim nagle zrobiło się pilno, zżymał się Karpiel. Wszyscy chcą się z nim umawiać na jakieś spotkania. A on nie ma czasu na pogaduchy. Oczywiście tego nie powiedział. Jasne, że się spotka. W Piano o ósmej? Niech będzie.

Piano. W Zakopanem jest kilka kultowych miejsc. Zostało ich niewiele, bo resztę zmiotły nowe czasy, które zamieniły knajpy i kawiarnie o wyjątkowym charakterze w pseudoekskluzywne bary. Niby jest ładniej, czystiej i schludniej, ale czegoś w nich brakuje. Na przykład tego, że kelner to nie jest po prostu jakiś anonimowy facet, tylko ktoś znajomy, z kim można pogadać.

Za to w takim Piano człowiekowi aż głupio przyjmować resztę, a stali goście czują się tu jak u siebie. Kiedy wpadasz tu wieczorem, wiesz, kogo spotkasz, a kogo raczej nie zobaczysz. Więc jeśli tylko odpowiada ci towarzystwo, bywasz tu często, a gdy pojawia się pytanie, gdzie skoczyć na piwo, to zawsze jest pierwszy wybór.

Piano jest ciasne i ma oryginalny wystrój – niby wszystko z drewna, ale właściciele jakimś cudem powstrzymali się przed urządzeniem tu kolejnego regionalnego lokalu. Tak więc dużo drewna, roślin za szkłem i huśtawki przy barze. Kiedy knajpa powstała, takich w Polsce było pewnie kilka. Aż trudno uwierzyć, że przetrwała przy Krupówkach, no, może nie tak całkiem przy samym deptaku, trzeba wejść w małe podwórko, przejść obok galerii malarstwa, a na koniec uwierzyć, że za niepozornymi drzwiami wciśniętymi w kąt podwórza może kryć się takie wyjątkowe miejsce.

Kiedy Karpiel wszedł, Jasiński już tam był. Siedział w pierwszej części

knajpy przy stoliku najbardziej oddalonym od baru. Było tłoczno i gwarno, bo odbywała się właśnie jakaś przewodnicka popijawa, i Karpielowi od razu się przypomniało, dlaczego rzadko tu bywa – bo trudno o dyskrecję. Albo gra głośna muzyka i trzeba się przekrzykiwać, albo ludzie przy sąsiednim stoliku doskonale słyszą, o czym rozmawiasz. No, ale to w sumie nie moja sprawa, może to nic poufnego, pomyślał.

A jednak było poufne, bo gdy tylko podszedł do Jasińskiego, ten wstał, rozejrzał się i bąknął coś o poszukaniu lepszego miejsca na rozmowę. Na szczęście przy jednym ze stolików w ogródku zwolniły się właśnie miejsca.

Wziął się za siebie, pomyślał, patrząc na Jasińskiego, kiedy wreszcie usiedli i podnieśli szklanki z piwem w niemym pozdrowieniu. Schudł chyba ze dwadzieścia kilogramów, ocenił, rysy twarzy od razu mu się wyostrzyły, oczy nie ginęły, jak dawniej, w pucołowatych policzkach. Inny człowiek.

– Muszę się cię poradzić... – zaczął, a Karpiel był mu bardzo wdzięczny, że bez ogródek przeszedł do sedna, że darował sobie te wszystkie „co słyszeć?” i „jak leci?”.

– Wal.

## 11.

– Czy wiemy coś o tej fundacji? – spytał Hermann, otwierając następną butelkę piwa, którą Karpiel przyniósł z kuchni.

– No, trochę wiemy – odpowiedział Derebas. – To dość niesamowita historia.

– To znaczy?

– Piotr i Maria Sobczykowie pojawili się w Zakopanem jakieś pół roku temu. Po cichu, bez szumu, nikt na początku nie wiedział, co się święci. Założyli tę swoją fundację i się zaczęło...

– Co się zaczęło? – przerwał mu Karpiel.

– Wygrali na loterii w Stanach bardzo dużo pieniędzy. Bardzo dużo...

– Ile to jest „bardzo dużo”? – chciał wiedzieć Hermann.

– Mówi się, że dwa miliardy złotych.

– Ile?! – wykrzyknęli jednocześnie Karpiel i Hermann.

– Dwa miliardy. Nasi dziennikarze to wyniuchali. Jak się dowiedzieli, że Sobczykowie przyjechali z Nowego Jorku, zaczęli dzwonić po Stanach i okazało się, że tam to była głośna sprawa... Małżeństwo hipisów polskiego pochodzenia wygrało majątek. I już całe Zakopane wiedziało. I że to nie bajka jakaś, tylko czysta prawda. Wyobrażacie sobie, co tu się działo?

– No co? Co? – dopytywał się Hermann.

– Zaczęły do nich chodzić pielgrzymki. Zwłaszcza że otworzyli tę swoją fundację i zaczęli rozdawać pieniądze.

– Rozdawać? Tak po prostu?

– Nie tak po prostu. Zebrali jakąś tam kapitułę, napisali regulamin, zatrudnili kilku urzędników, paru młodych informatyków...

– To chyba dobrze dla miasta, nie? – spytał Karpiel.

– Może i dobrze, ale nie dla wszystkich – tłumaczył Derebas. – Na przykład urzędników przejęli z urzędu miasta. Burmistrz trzymał ich krótko,

bo wiedział, że żadnej innej roboty nie znajdą, a tu pojawiają się Sobczykowie i płacą o wiele więcej, a i atmosfera w pracy podobno też lepsza... No to przeszli bez wahania i w urzędzie są teraz wakaty. A tu dobrych doświadczonych ludzi do pracy znaleźć niełatwo. Poza tym te wszystkie stowarzyszenia, kluby sportowe były do tej pory na łasce i niełasce miasta... A tu wyrosła mu konkurencja, potężny mecenas. Mówi się, że sam Sobczyk to prosty człowiek, ale jego żona jest bardzo wykształcona, podobno to artystka, więc dają chętnie na imprezy, festiwale, wystawy... Mało biurokracji, proste rozliczenie. Potem nawet na tych imprezach nie bywają...

– Dwa miliardy, jest z czego dawać – mruknął Karpiel.

– No i jest jeszcze jeden efekt uboczny całej tej sprawy. Inni miejscowi filantropi strasznie się wkurzyli.

– Dlaczego? – spytał naiwnie Karpiel.

– Oj, Karpiel, Karpiel, życia nie znasz? – wtrącił się Hermann. – Dopóki nikt nie daje albo większość daje niewiele, wszystko jest okej. Ale jak się taki jeden za bardzo wychyli, to drażni to okrutnie. Bo psuje rynek niedawania. Nie sztuką jest dać dużo i zaskarbić sobie wdzięczność maluczkich. Sztuką jest nie dać prawie nic, ale żeby i tak cię po rękach całowali.

## 12.

Dlaczego im nie powiedział? Dlaczego zataił przed Derebasem i Hermannem, że dostał propozycję zostania komendantem w Zakopanem? Przecież Derebas odchodzi na emeryturę, nic mu się złego nie stanie, awans Karpiela nie odbędzie się jego kosztem, nikt nie ucierpi.

A jednak teraz czuł się jak podwójny zdrajca – nie dość, że nie powiedział im o propozycji, to teraz musi załatwić to za ich plecami. Co będzie, kiedy się w końcu dowiedzą? Czego bał się najbardziej? Chyba spojrzenia zimnych, prawie białych oczu Hermanna. Co w nich będzie? Zaskoczenie? Nie, raczej pogarda. Nawet jeśli nie zdejmie tych swoich ciemnych okularów, ta pogarda na pewno w nich będzie. A Derebas? On nie jest tak ważny jak pułkownik. Jemu może też będzie przykro, choć Karpiel mógł sobie wyobrazić, że ucieszy się, iż to właśnie on go zastąpi.

A on niestety przegapił odpowiedni moment podczas pierwszego spotkania, żeby to powiedzieć. Jakoś się nie złożyło, żeby mógł wtrącić tak po prostu: „Wiecie, a starosta rozmawiał ze mną o...”. Albo: „A co wy na to, gdybym to ja został komendantem?”.

Tak, jakoś się nie złożyło i teraz głupio będzie do tego wrócić.

A może powstrzymało go to jedno zdanie Derebasa o Jasińskim: „To przecież ich człowiek”. Może nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że on też jest ich człowiekiem. „Ich człowiek”. Co to właściwie znaczy?

To znaczy, że prędzej czy później dostaniesz rachunek, głupcze, pomyślał. Że będą cię mieli na smyczy.

Zawsze jest jakaś smycz. Zawsze od kogoś zależymy, ktoś wydaje nam polecenia... Taki jest świat. Ja tego nie zmienię.

Wywalili Hermanna. To w sumie ci sami ludzie. Bez jednego słowa podziękowania, bez mrugnięcia okiem. Za tyle lat służby. A on miałby teraz z nimi pracować?



Rachunek. Co to będzie? Kazań na początek kogoś zwolnić? Kogoś przyjąć? Kogoś wsadzić? Przymknąć na coś oko? Zrobią to delikatnie, w białych rękawiczkach? Powiedzą od czasu do czasu: „Pamiętasz, poparliśmy cię, nadal w ciebie wierzymy, nie chcielibyśmy się rozczarować, pokaż, że dokonaliśmy dobrego wyboru”.

A może będzie na ostro: „Karpiel, jesteś po to, żeby robić to, co każemy. Nie po to cię tu zainstalowaliśmy (kurwa jego mać!), żebyś teraz się stawiał. Jesteś z nami czy przeciw nam?”.

A może to zwykła propozycja, może naprawdę szukają kogoś dobrego, kompetentnego? Pomyśl, ile dobrego mógłbyś zrobić dla ludzi jako komendant.

Zaśmiał się z siebie w duchu. Aleś ty głupi, Karpiel.

## 13.

Jasiński wiercił się, jakby jednak pożałował, że zaczął tak bezpośrednio i bez wstępów. Gładził palcami mokrą szklanę z zimnym piwem i długo szukał odpowiednich słów.

– Karpień, ty jesteŝ juŝ w pewnych sprawach obeznany, przez ostatnie lata byleŝ w Warszawie, duŝo wiesz... Ja jestem prosty chłop stąd, ciężko mi się czasami rozeznać, co i jak.

Karpień milczał. Był zmęczony, zbyt zmęczony, ŝeby tak od razu dać się sprowokować. Mów dalej, pomyŝłał. Mów, Jasiński...

– Kiedy przepadleŝ w tej swojej Warszawie, to mi, szczerze mówiąc, nawet ulŝyło. Nie tylko dlatego, ŝe właŝciwie zająłem twoje miejsce, to teŝ, widzisz, szczerzy jestem... – Karpień skinął głową na znak, ŝe to docenia. – Chodziło głównie o to, ŝe ty jakoŝ tak ciemne chmury przyciągałeŝ. Zawsze się wszystko wokół ciebie pieprzyło. Nie zrozum mnie źle, jesteŝ dobrym policjantem, ale coŝ z tobą nie tak jest...

Karpień jednak nie wytrzymał. Parsknął śmiechem, o mało nie opluwając Jasińskiego piwem.

– Proszę cię, daruj, kurwa... No nie rób ze mnie demona. Ha, ha! – Teraz śmiał się juŝ pełną piersią. – Egzorcystą zostałeŝ czy co?

Jasiński wyglądał na speszonego. Milczał. Znowu wpatrywał się w swoją szklanę.

– Jasiński, błagam, powiedz, o co chodzi. Czego ode mnie chcesz? Mówiłeŝ, ŝe potrzebujesz rady, więc pytaj. Nie sądŝę, ŝebym mógł ci w czymkolwiek pomóc, ale pytaj, a nuŝ...

– Nie wiem, co to oznacza – podjął wreszcie Jasiński. – Moŝe to jakaŝ podpucha, moŝe pułapka. Miałem rozmowę, dziwną... Wiesz, starosta chce, ŝebym został komendantem po Derebasie. Chciałem spytać, co ty o tym sądziŝ. Przyjąć to?

Karpiel znów o mało nie parsknął piwem na Jasińskiego, jednak tym razem się nie śmiał.

## 14.

– Jak tam twoja Ela, Karpiel? Tęskni? – spytał nagle Hermann, kiedy wchodzili do budynku, w którym mieściła się fundacja.

– Na pewno – mruknął w odpowiedzi Karpiel.

Rzadko rozmawiali o prywatnych sprawach. Raz jeden w Warszawie Karpiel zaprosił go do siebie i spędzili wieczór w trójkę, on, Ela i Hermann. Karpiel bał się tego spotkania, bo pułkownik był nieprzewidywalny, jednak Ela nalegała, bo bardzo chciała poznać jego szefa, o którym tyle opowiadał, poza tym to wypada, tłumaczyła. Był przekonany, że Hermann odmówi, powie wprost, że nie, albo wymyśli jakiś gładki wykręt, ale nie, bardzo chętnie, powiedział i spytał od razu: „Kiedy?”.

Przygotowali więc kolację dla Hermanna, Ela się postarała, i to bardzo, wszystko było idealne, i jedzenie (dlaczego dla niego tak nie gotuje?), i wino, i cała reszta. Ku zaskoczeniu Karpiela wyszedł z tego całkiem sympatyczny wieczór. Nigdy nie widział pułkownika tak czarującego, a Ela i on też szybko się rozluźnili i zapomnieli o wcześniejszych obawach. Hermann wcale nie mówił o pracy, jakby rozumiał, że to nie miejsce i nie czas na to, opowiadał za to dużo o filmach, które były jego wielką pasją i wiedział o nich prawie wszystko. Właściwie podczas całego wieczoru był tylko jeden moment, kiedy zapadło kłopotliwe milczenie. Wtedy, gdy Hermann spytał: „To jak? Zostaniecie w Warszawie? Urządziliście się już jakoś?”.

Spojrzeli wtedy na siebie, Karpiel i Ela, żadne nie chciało wziąć odpowiedzialności za odpowiedź na to pytanie. Milczeli o wiele za długo, co zdecydowanie zmieniło nastrój wieczoru. Nic już potem nie mogło go uratować i Hermann posiedział jeszcze z kwadrans i sobie poszedł. A oni zostali z tym pytaniem, które nadal wisi nad nimi jak topór kata.

– Na pewno tęskni – powtórzył Karpiel, gdy wsiadali do windy.

## 15.

Więc się zaczęło? Spotkali się. Rozmawiali. Byli na miejscu. Obejrzeni to sobie.

Jest ich trzech. Ten jeden jakiś dziwny. Ma siwe, prawie białe włosy i zawsze nosi ciemne okulary. Krótka, prawie żołnierska fryzura, wyprostowany jak struna, porusza się lekko jak kot. Wygląda jak jakiś tajniak. To chyba szef.

Drugi to komendant policji. Wie, bo gdzieś widział jego zdjęcie. Facet ze zmęczoną albo znudzoną twarzą. A może jedno i drugie? To on tym oficjalnie kieruje? Chyba tak. Ale to ten siwy zawsze idzie pierwszy. Porusza się zdecydowanie i nikomu nie ustępuje miejsca. Więc jest dwóch szefów: formalnie to komendant, a naprawdę mężczyzna w okularach.

I jeszcze ten młody. Po gębie widać, że to ktoś stąd. Ten góralski nos... Poza tym jest w nim taka pewność i swoboda, jakby był u siebie.

Co działają? Zobaczymy. Czy zauważą ślady? A przynajmniej te, które zauważyć powinni?

Mógł im się przyjrzeć z bliska. Minęli się w wejściu do budynku. Nawet na niego nie spojrzeli, kiedy przepuszczali ich w drzwiach.

„Jak tam twoja Ela, Karpiel? Tęskni?” – usłyszał, jak ten siwy spytał młodego.

## 16.

Hermann, Karpel i Derebas stali bez ruchu i przyglądali się zwykłemu obrotowemu fotelowi z jasnym beżowym obiciem. Niezwykła była tylko duża brunatna plama na siedzisku i na wykładzinie pod fotelem. Krew ofiary. Zakrzepła krew.

Biuro fundacji było duże. W części, w której się teraz znajdowali – podłużnym otwartym pomieszczeniu – przy ścianie z oknami znajdowało się dziesięć stanowisk pracy, wszystkie na pierwszy rzut oka identycznie wyposażone: takie same biurka, fotele, takie same komputery. Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się można było zauważyć drobiazgi, które nadawały stanowiskom indywidualne cechy – maskotki, nalepki na sprzęcie, kwiatki w doniczkach, kolorowe kubki, jedne puste, pewnie na kawę, inne wypełnione długopisami i ołówkami.

Na białych ścianach wisiąco kilka reprodukcji w antyramach, w jednym z rogów stała duża palma w donicy. Poza tym wystrój był dość ascetyczny.

– Panowie, kiedy będziemy mogli to wreszcie sprzątnąć i wrócić do pracy? – odezwał się cichym, ciepłym głosem stojący za nimi mężczyzna.

Wszyscy trzej jak na komendę odwrócili się w jego stronę.

Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

– Fotel stoi tu od dwóch dni. Wasi ludzie obejrzeni go już ze sto razy. Zaczęliśmy sprzątać, ale kazali mi się wstrzymać do waszej wizyty. Rozumiem, że to ważne, ale zrobiliście mu tyle zdjęć, że już chyba można go stąd zabrać?

– Rzeczywiście wystarczy. Technicy zabiorą go do laboratorium – odrzekł Derebas. – Kiedy wyjdziemy, może pan dokończyć sprzątanie. Ale teraz chcielibyśmy zamienić z panem kilka słów, panie Sobczyk.

– Jasne – odpowiedział mężczyzna. – Może zaproszę panów do mojej części biura, tam będzie trochę wygodniej rozmawiać. Poza tym wiem, że

panowie są pewnie przyzwyczajeni, ale dla mnie ten fotel... ta krew... To jest straszne i wolę na to nie patrzeć. Nawet kiedy sprzątniemy, długo będę czuł się tutaj nieswojo.

Sobczyk otworzył drzwi i gestem ręki zaprosił policjantów do gabinetu. Weszli do o wiele mniejszego pomieszczenia, w którym na środku stało ciemne biurko. Poza fotelem za biurkiem było tam kilka regałów zastawionych segregatorami i parę prostych krzeseł.

– Siadajcie, proszę.

Hermann, Karpel i Derebas zajęli miejsca naprzeciwko Sobczyka.

Pierwszy odezwał się Hermann:

– Co tu się stało?

Do tej pory milczał, ale jak to on (Derebas i Karpel znali już dość dobrze jego zwyczaje), rozglądał się uważnie po biurze, by w końcu przejąć inicjatywę.

– Nie wiem. To znaczy widziałem nagranie z kamery, więc znam przebieg tego... – Sobczyk szukał odpowiedniego słowa – tej tragedii, ale nie potrafię powiedzieć nic więcej. Cały wczorajszy dzień spędziłem w Krakowie. Byłem służbowo w towarzystwie dwóch współpracowników. Wróciliśmy dopiero dzisiaj wcześniej rano. Jak zwykle przyszedłem pierwszy do pracy, żeby otworzyć biuro. Najczęściej ja to robię. Ale drzwi były otwarte i zastałem tu... no wiecie, panowie...

– Zwłoki – podsunął Hermann.

– Zwłoki – powtórzył Sobczyk. – Niestety nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, które panowie pewnie chcą mi zadać w pierwszej kolejności: dlaczego ktoś zabił tego człowieka w tym miejscu. Nie wiem. Jak Boga kocham, nie wiem. Nie dbaliśmy jakoś szczególnie o bezpieczeństwo biura. Nawet nie wymieniliśmy zamków po poprzedniej firmie. Kod do alarmu też był ten sam. Dziś wydaje się to lekkomyślne, ale do głowy nam nie przyszło, że coś takiego może się zdarzyć...

– A znał pan ofiarę? Tego Lewcuna?

– Nie. W życiu go nie spotkałem i nigdy o nim nie słyszałem. Zresztą ja mieszkam w Zakopanem dopiero od pół roku. Nie znam tu zbyt wielu ludzi.

– To może pana żona? – dopytywał się Hermann.

– Nie, rozmawialiśmy o tym. Ona też nic nie wie.

– Ma pan wrogów? – wtrącił się Karpiel.

Sobczyk się uśmiechnął.

– No wie pan... Niestety nie mogę zaprzeczyć. – Spowaźniał. – Choć jestem zaskoczony, bo wydawało mi się, że nie robię tu nic złego. Ale tak się jakoś wszystko poukładało...

– A co pan właściwie robi? – chciał wiedzieć pułkownik.

– Mam fundację. Rozdaję pieniądze. Rozdajemy. Z żoną.

– No i pan się dziwi, że ma wrogów? – powiedział ze śmiechem Derebas.



## 17.

Milczenie to straszna broń. Karpiel nauczył się z niej korzystać, pracując z Hermannem. Ludzie źle znoszą ciszę, mówił pułkownik, w końcu zawsze zaczynają gadać i zdradzają to, co chcieliby ukryć.

Więc Karpiel milczał, siedząc naprzeciwko rodziców w izbie w rodzinnym domu na Skibówkach. Nie widział ich prawie dwadzieścia lat. To znaczy nie widział ich razem, bo matka pojawiała się w Polsce co jakiś czas, ostatnio była chyba miesiąc, gdy Zosia straciła w wypadku nogi. Ojciec nie przyjechał nigdy.

Obiecał sobie kiedyś, że tego „nigdy” mu nie wybaczy. Tak jak nie wybaczy mu ciągłego wtrącania się w jego życie. Ojciec zawsze robił to w taki sam sposób: kiedy dowiadywał się o czymś, co go zaniepokoiło, najpierw dzwonił z awanturą do Karpiela. Ponieważ zwykle nie udawało mu się nic wskórać, zaczynał obdzwaniać innych: dziadka, Zosię, dalszą rodzinę, znajomych... I wokół Karpiela rozpętywało się prawdziwe piekło. Dzwoniły do niego wszystkie osoby indagowane przez ojca. Na początku Karpiel cierpliwie tłumaczył, przekonywał, że ojciec daleko w Ameryce, w innym świecie, że nic nie rozumie, a on już dorosły, ma prawo do swojego życia i swoich decyzji. Ludzie reagowali różnie. „Nie rób tego ojcu, on się tak dla was poświęca”, mówili, albo: „Pomyśl o matce, serce jej pęknie”. Karpiel za każdym razem dziwił się, jakie wpływy ma jego ojciec, mimo że mieszka w Chicago od tak wielu lat.

W ostatniej fazie tej trudnej relacji Karpiel przestał odbierać od niego telefony. Najbardziej szkoda mu było matki, to ona zapłaciła najwyższą cenę za kłótnie męża i syna. Nie miała własnego telefonu, więc Karpiel, odrzucając automatycznie połączenia z Ameryki, rezygnował także z rozmów z nią. Oczami wyobraźni widział smutną twarz matki i czuł lekkie ukłucie w sercu, jednak zdania nie zmienił. Na nią też był zły. Za to, że tak

ulega ojcu, że stała się bezwolna, że zawsze mu przytakuje, że nie walczy o swoje zdanie. Że nie broni go przed ojcem, że... Trochę się tego uzbierało.

Oboje bardzo się zmienili. Matka zrobiła się jakby mniejsza, skurczyła się w sobie. Zawsze skromna i cicha, teraz wyglądała, jakby zaraz miała zniknąć. Była już prawie zupełnie siwa, włosy upięte w mały kok postarzały ją jeszcze bardziej. Ojciec siedział sztywny, wyprostowany jak żołnierz, i wpatrywał się w niego. Wyglądali trochę jak para ze staroświeckiego monidła.

Grę w milczenie przegrała Zosia.

– A może napijemy się herbaty? – spytała nagle.

I to właśnie wtedy się stało, tak, to musiało być wtedy, wystarczyła ta jedna chwila, ta jedna sekunda, kiedy Karpiel sięgnął po dzbanek z herbatą i zrobił to tak nieporadnie, że gorący napój rozlał się jasnobrązową plamą na białym obrusie. Odruchowo spojrział w stronę ojca, oczekując, że go skarci albo znacząco ściągnie brwi, tak jak to robił zawsze, gdy Karpiel coś przeszkrobał. Tym razem jednak oczy ojca nie zareagowały. Wciąż patrzyły w ten sam punkt. I wtedy Karpiel pojął, że wszystko jest inne, niż myślał. To zdanie też często powtarzał pułkownik: „Karpiel, pamiętaj, nie daj się zwieść pozorom, zawsze wszystko jest inne, niż myślisz”. A teraz ta prawda dotknęła go jak nigdy, pojął swój błąd i oblał go zimny pot. Zrozumiał, że ojciec jest ślepy.

## 18.

– Dlaczego nie spyta pan od razu o to, co wszyscy? Pewnie i pan chce to wiedzieć. Odpowiadałem na to pytanie wiele razy, ale panu chętnie powiem wszystko. Albo przynajmniej więcej...

– Tak? Dlaczego akurat mnie? – spytał szczerze zdziwiony Karpień.

– Tak właściwie to nie wiem, wzbudza pan moje zaufanie, wydaje się pan szczerzy i bezpośredni, a ja lubię takich ludzi. A może jestem już zmęczony opowiadaniem kolejnej bajki albo okrojonej wersji prawdy, więc może ma pan szczęście i trafił na ten szczególny moment zmęczenia, kiedy nie mam już ochoty kręcić i wymyślać i muszę w końcu komuś powiedzieć prawdę.

– Okej. Więc o co według pana naprawdę chcę spytać?

Piotr Sobczyk się zaśmiał. Siedział za biurkiem w biurze fundacji, w tym samym, w którym znaleziono ciało Jana Lewcuna. Był ubrany w jasną lnianą koszulę i dżinsowy komplet, kurtkę i spodnie. Ślady krwi na podłodze zniknęły. Karpień zastanawiał się, czy przypadkiem nie wymienili całej wykładziny.

Sobczyk siedział tam, jakby nic się nie stało, i chciał opowiedzieć Karpieńowi swoją historię. Karpień usadowił się w fotelu naprzeciwko niego. To był pomysł Hermanna, żeby następną rozmowę z Sobczykiem przeprowadził tylko jeden z nich. W cztery oczy. Żeby było bardziej osobiście, po ludzku. Padło na Karpieła. Niech będzie, pomyślał komisarz. Niech będzie bardziej po ludzku.

Ponad głową Sobczyka w dużym oknie widział zepsuta przybudówkami i antenami bryłę domu towarowego Granit. Zawsze wydawała mu się nieskończenie brzydka, ale kiedyś na jakiejś wystawie zobaczył pierwotny projekt budynku i zrozumiał, że gdyby zostawiono go w takiej formie, bez dziesiątek bezsensownych poprawek, mógłby być ozdobą Zakopanego. Kolejna zmarnowana szansa w tym mieście, pomyślał.

– Pan chce spytać, jak to jest być tak obrzydliwie bogatym – powiedział Piotr Sobczyk, uśmiechając się łagodnie. – I chciałby pan także wiedzieć, jak czują się ludzie, którym w jednej chwili spadły z nieba tak niewyobrażalne pieniądze. Jak to przetrwać, co zrobić, żeby nie zwariować? Mam rację?

– Ma pan rację – odparł Karpiel. – Rzeczywiście jestem tego ciekaw, chociaż bardziej nurtuje mnie, dlaczego morderca wybrał to miejsce – znacząco rozejrzał się po biurze. – Dlaczego wybrał to miejsce na zbrodnię. Liczę, że gdy odpowie pan na pierwsze pytanie, to może przynajmniej częściowo odpowie na drugie.

– Może tak rzeczywiście będzie – powiedział Sobczyk i na chwilę zamilkł. – Pan w to zapewne nie uwierzy – podjął po chwili – ale nie chcieliśmy być bogaci. To wszystko przez głupi dowcip. Dostaliśmy ten kupon na loterię Powerball na rocznicę ślubu w zeszłym roku, w październiku. Wśród wielu innych zwariowanych prezentów, które miały być zabawne i nie do końca praktyczne. Wie pan, jak to jest, trudno wymyślić jakiś sensowny i niebanalny prezent dla małżeństwa z dwudziestopięcioletnim stażem. A my na dodatek jesteśmy trochę hipisami, żadnego zacięcia do dorabiania się, do posiadania domku, dwóch aut i kolekcji sztuki nowoczesnej na ścianach. Dzieci nie mamy, więc nie musimy się martwić o to, jak je ustawić, zapewnić im start i byt. No to znajomi wymyślili, że zrobią nam kawał. Że to niby my, tacy antymieszczkańscy nonkonformiści, dostaniemy los na loterię. A jeśli wygramy i dostaniemy kupę pieniędzy, to nasz świat stanie na głowie...

– I wygraliście. I przestało być zabawnie?

– Żeby pan wiedział. Wygraliśmy sześćset sześćdziesiąt trzy miliony dolarów, po zapłaceniu podatków zostały z tego prawie dwa miliardy złotych. I przestało być śmiesznie.

Karpiel podrapał się po głowie.

– Uff! To rzeczywiście masa forsy! Ja bym chyba jednak zwariował. – Zaśmiał się.

Sobczyk popatrzył na niego i pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Od razu po tym, gdy się okazało, że wygraliśmy, wyjechaliśmy na dwa

tygodnie na wakacje. Nie, nie zafundowaliśmy sobie all inclusive na Malediwach. Wręcz przeciwnie, tak, jak wcześniej zaplanowaliśmy, poleciliśmy do Europy, wynajęliśmy starego kampera i wyruszyliśmy w podróż po Skandynawii. Pilnowaliśmy się jak dzieci, żeby nie wydać jednego euro więcej niż zwykle, niż zaplanowaliśmy. Żeby nie wziąć ani odrobiny z tej kupy pieniędzy, która na nas spadła. I wie pan, przez ten czas ani razu nie wspomnieliśmy o wygranej. Serio. Było ciężko, naprawdę, ale udawaliśmy, że nic się nie zmieniło, chociaż wiedzieliśmy, że zaraz zmieni się wszystko. To nad nami wisiało... Wiedzieliśmy, nie, raczej czuliśmy, że w chwili, kiedy wydamy pierwszy grosz z wygranej, całe nasze życie się zmieni. Nieodwracalnie. A z drugiej strony to były chyba nasze najwspanialsze wakacje, bo cieszyliśmy się nimi, jakby były ostatnie... Dziwne, prawda?

– Dziwne – potwierdził Karpiel. – Ale jednej rzeczy nie rozumiem.

– Tak?

– Skoro stanowiło to dla was taki problem, to można go było łatwo rozwiązać. Wystarczyło wybrać kilka fundacji albo jakiś szpital i przekazać pieniądze. Zrobilibyście dobry uczynek i mieli to z głowy.

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Bo to nie były dwa miliony, tylko dwa miliardy.

– A na czym polega różnica?

– Na odpowiedzialności. Za dwa miliony może pan kupić domek, auto i objechać dookoła świat. Albo kupić złote serduszko na aukcji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. To pieniądze, które można sobie wyobrazić. I można sobie wyobrazić, że się skończą. Z dwoma miliardami jest inaczej. Może pan mieć za to absolutnie wszystko. Może pan kupić nie domek, ale wyspę. Za dwa miliardy może pan zmienić świat. Tyle pieniędzy to władza. A władza to odpowiedzialność.

– Robi się patetycznie – zauważył komisarz.

Sobczyk wzruszył ramionami.

– Nie musi mi pan wierzyć.

– Wierzę, choć to trochę zwariowane. Podobno nadal jeździ pan starym

citroënem. Naprawdę nie miał pan żadnych marzeń? Mam na myśli takie zwykłe, materialne...

– Lubię to auto. Jeśli kupię inne, to nic się nie zmieni. I tak dotrę na miejsce. Może wygodniej, odrobinę szybciej, ale dojadę. Zamiast inwestować w dobra materialne można zrobić coś pożytecznego. Wie pan, nie chcieliśmy pomnażać tych pieniędzy. To pierwsze, co przychodzi wielu do głowy: zainwestować, żeby było ich jeszcze więcej. Właściwie zrobiliśmy tylko jeden wyjątek: żona wynalazła jakąś młodą firmę, jak to się teraz mądrze mówi: start-up. Polską firmę, chłopaków stąd, którzy jak Bill Gates zaczynali prawie w garażu. To naprawdę wyjątek. Ale skoro pan tak mówi, to przyznam się panu do czegoś jeszcze.

– No?

– Umówiliśmy się, że za te pieniądze każde z nas, ja i żona, będzie mogło spełnić jedną swoją zachciankę.

– Więc jednak! Ale tylko jedną?

– Tak, jedną. Aha, ten start-up się nie liczył. – Sobczyk uniósł palec wskazujący i się zaśmiał.

– I co pan wybrał? Jeśli to nie tajemnica...

– Kupiłem sobie harleya.

Karpiel zachichotał.

– No wie pan? Mógłby pan sobie pewnie kupić całą ich fabrykę? A żona?

– Ciągłe się zastanawia. Choć zostało jej niewiele czasu. – Sobczykowi nagle słowa uwięzły w gardle. Po chwili dodał prawie szeptem: – Jest chora. Bardzo chora. I wie pan, żadne pieniądze świata już jej nie pomogą.

– Przykro mi. Więc to nieprawda, że za dwa miliardy można mieć absolutnie wszystko.

Sobczyk w odpowiedzi pokiwał smutno głową.

## 19.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?! No dlaczego?! – krzyczał Karpiel.

– Nie podnoś na mnie głosu! – odpowiedział stanowczo dziadek. – Mam już dość tego twojego pyskowania! Tak możesz sobie rozmawiać z kolegami, a nie ze mną. Mam już swoje lata i wymagam odrobiny szacunku! Jasne? Przyjeżdżasz tu jak w gości, kiedy ci pasuje, to się zjawiasz, a kiedy nie, to cię nie ma miesiącami, więc się nie dziw, że cię pewne rzeczy omijają.

Karpiel oniemiał. Nie spodziewał się takiej reakcji. Dziadek był uosobieniem spokoju, prawie nigdy nie podnosił głosu, a na niego to już naprawdę nigdy.

– Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziałeś, że ojciec nie widzi? Co to za tajemnica? – dopytywał się łagodniejszym tonem.

– Tajemnica jak tajemnica! W rodzinach nie takie rzeczy się zdarzają. Sam dowiedziałem się niedawno. A to przecież mój rodzony syn.

– O Boże! Ale co się stało? Jak do tego doszło? – Karpiel zrezygnowany usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

Siedzieli w pokoju dziadka. Karpiel wpadł tam zrozpaczony i wściekły, gdy tylko skończyła się herbatka z rodzicami. Ledwie mógł usiedzieć na miejscu, nie wiedział, jak się zachować, jak patrzeć na ojca, co mówić, więc milczał, próbując opanować mętlik w głowie. Na szczęście sytuację uratowała Zosia, która trajkotała jak najęta, nie dopuszczając do chwili ciszy. Wyszło groteskowo, chyba rodzice też tak to odebrali, bo poza kilkoma monosylabami ani ojciec, ani matka nie powiedzieli zbyt wiele.

– Podobno to jakiś wirus. Złapał go kilka lat po przyjeździe do Ameryki – odezwał się dziadek po chwili milczenia. On też się uspokoił. Już nie krzyczał, choć głos trochę mu drżał. – To w każdym razie wersja twojej matki...

– Jezu, kilka lat po przyjeździe? I... jaka „wersja matki”? Jest jakaś druga? Co to wszystko ma znaczyć?

– Wiesz co, synku, porozmawiaj z nim. Porozmawiaj ze swoim tatą. Niech on ci to wytłumaczy, ja się pogubiłem. Za stary jestem, za głupi...



## 20.

– Wszystko się pieprzy – powiedział na powitanie Derebas. – Pojawiają się jakieś głupie sprawy, które odciągają mnie od naszego śledztwa. Jakby ktoś specjalnie rzucał mi kłody pod nogi.

Rozsiadł się na tym samym krześle co ostatnio.

– Daj to Jasińskiemu albo jeszcze komuś innemu. Masz dość ludzi – poradził Hermann.

– Niby racja, ale i tak ostatecznie muszę to jakoś kontrolować. Mówiłem, że mogą się zacząć dziać dziwne rzeczy. Na dodatek mam mnóstwo papierkowej roboty przed odejściem. I strasznie mnie o to cisną. Sto telefonów dziennie. Ale to wszystko pierdoły, nieważne...

– To znaczy? – Karpiel podał Hermannowi i Derebasowi po butelce piwa. Poszedł do kuchni po trzecią dla siebie, ale nasłuchiwał, czy Derebas nadal opowiada o problemach w komendzie. – Co to za inne sprawy? – spytał, wracając do pokoju.

– Wczoraj w nocy ktoś zdewastował grób na nowym cmentarzu przy Nowotarskiej. Zadał sobie dużo trudu, żeby porozbijać płyty z marmuru... I nikt nic nie widział, nic nie słyszał. Rozpętało się piekło. Nie wiem, kto gorszy, media czy kler...

– Jakiś kontekst? Nie wiem, rasizm, antysemityzm i tego typu rzeczy? Może to grób jakiegoś komucha? – spytał Hermann.

– Nie, to raczej coś osobistego. Czerwonym sprayem napisali: „Zdychaj, świniu”. Dziwne, co? Taki napis na grobie. Takie rzeczy pisze się przecież, życząc komuś śmierci. Aha, i ukradli popiersie z brązu.

– Więc może to po prostu wandalę albo złodzieje? – zastanawiał się Karpiel.

– Może. I masz rację, Hermann. Niech się tym zajmie Jasiński. Póki mogę mu jeszcze coś kazać...

## 21.

– Tato – odezwał się cicho Karpiel.

Ojciec drgnął i odwrócił się w jego stronę. Karpiel unikał patrzenia mu w oczy. Znowu tchórzysz, pomyślał. Jest tak samo jak z Zosią i jej kalectwem. Nie chcesz się z tym zmierzyć, tchórz.

– Tomek? – To było coś między stwierdzeniem a pytaniem, jakby Tadeusz Karpiel chciał się upewnić, że rozpoznał głos syna.

– Tato, czy możemy porozmawiać? Mam ważną sprawę.

– Sprawę? Zabrzmiało prawie służbowo...

– Bo trochę tak jest. Prowadzę śledztwo i wydaje mi się... wydaje mi się, że możesz mi pomóc.

– Ja? Nie było mnie tu tyle lat...

– Tak, właśnie chodzi o historię sprzed lat.

– No to pytaj, synku.

To paranoja, pomyślał Karpiel. Jak długo będę unikał tematu ślepoty ojca? Po raz kolejny okazuje się, że nie jestem w stanie sprostać wyzwaniom, jakie niosą kontakty z najbliższymi. To samo działo się w jego związku z Elą. Cisza, przemilczanie problemów, odkładanie rozwiązań na później, nadzieja, że wszystko jakoś samo się ułoży. Kamień w piersiach był coraz cięższy, a szum w głowie coraz bardziej nieznośny. Ojciec też nic nie mówił, on w ogóle nic nie mówił. Jakby nie było tematu. Są aż tak bardzo do siebie podobni?

– No co tam, synku? O co chodzi?

„Synku”? Nagle taka serdeczność? Rozmowy przez telefon były bezpieczniejsze. Tworzyły dystans i wykluczały takie sytuacje. Ale przez telefon mówił „synu”. Dziwne.

– Chodzi o Jana Lewcuna. Pamiętam go z dzieciństwa. Że z nim pracowałeś, że bywał u nas w domu. Muszę wiedzieć więcej. Jaki to

człowiek? Co możesz mi o nim powiedzieć?

Tadeusz Karpiel milczał długą chwilę. Wreszcie spytał:

– Po co ci to? Zrobił coś złego?

– Hmm... Właściwie nie wiem. Nie o to chodzi. Ktoś go zamordował.

Znowu chwila milczenia. A potem, tak, Karpiel dobrze to widział – jego ojciec uśmiechnął się i powiedział, zamykając niewidzące oczy:

– Nie. Nie chcę o nim rozmawiać. Nie pomogę ci. Wybacz, synku.

## 22.

Co oni robią? Prosta sprawa. Policjanci. Psy. I to trzech naraz, w tym dwóch szefów i tubylec. Pewnie uważają się za nie wiadomo jakich sprytnych. Ale gdy przychodzi co do czego, nie widzą najprostszych rzeczy. Byli tam. Słyszał ich rozmowę. Zwykły podsłuch, który zostawił na miejscu zbrodni, działa bez zarzutu. Siedzieli w biurze ze dwie godziny. Nie zauważyli najważniejszego. Tego się obawiał: że będzie musiał się włączyć i naprowadzić ich na trop. Bał się? Naprawdę? A może jednak podświadomie tego chciał? Może od początku chodziło o rozpoczęcie gry, myślał. Bo co jest w życiu bardziej ekscytujące niż gra? Więc czas ją rozpocząć.

## 23.

– Stop! – krzyknął Hermann.

Karpiel wcisnął pauzę na pilocie. Obraz na dużym ledowym telewizorze znieruchomiał. Film był czarno-biały, w nie najwyższej rozdzielczości, poza tym nagrano go w nocy w sztucznie oświetlonych przestrzeniach biurowych, co dodatkowo obniżało jego jakość.

Dlatego siedzieli z Karpiem z nosami w ekranie, żeby nie umknął im żaden szczegół. Pułkownik zdjął nawet na chwilę ciemne okulary, żeby lepiej widzieć. Karpiel się wzdrygnął. Nienaturalnie jasne tęczęwki oczu Hermanna widział już wiele razy, jednak zawsze robiły na nim wrażenie. Przyjął do wiadomości, że to jakieś zaburzenie genetyczne, ale nie zmieniało to faktu, że Hermann bez ciemnych okularów wyglądał trochę makabrycznie.

W mieszkaniu Karpiela byli teraz tylko oni dwaj, Derebas musiał wyjść. Zadzwonili po niego z komendy, było jakieś samobójstwo w kamienicy przy Krupówkach, służba nie druźba. Wzruszył przeprasząco ramionami i poszedł, zostawiając im film z kamery w biurze, w którym zabito Lewcuna. „Potem obejrzę”, powiedział.

Wyglądało na to, że kamera zarejestrowała przebieg całego zajścia.

Akcja rozpoczęła się o pierwszej zero trzy, kiedy ktoś włączył w biurze światło. Na ekranie zrobiło się jaśniej, choć w polu widzenia obiektywu nie było jeszcze nikogo widać.

– Tam jest tylko jedna kamera? W całym biurze? – zdziwił się Hermann.

– Tak. Derebas mówił mi, że pytał już o to właściciela.

„Lokal przejęliśmy po jakimś biurze rachunkowym, odpowiedział Derebasowi Sobczyk. Mieli tylko tę jedną kamerę. Zastanawialiśmy się, czy nie zamontować ich więcej, ale na razie zostawiliśmy to tak, jak jest. Przecież nie ma tu niczego cennego. Same papiery, i to dotyczące działań

stowarzyszeń i osób, które raczej nie miały nic do ukrycia. Kto miałby się tu włamywać? Po co? Dla dziesięciu komputerów? Nikt tego nie monitoruje w czasie rzeczywistym. Po prostu nagrywa się i można to odtworzyć, kiedy zachodzi potrzeba”.

Przez długą chwilę na ekranie nic się nie działo. Dopiero o pierwszej trzydzięci cztery w kadrze pojawił się fotel. Wjechał na pierwszy plan, ktoś go pchał. Zatrzymał się dokładnie na środku kadru. Na fotelu siedział Jan Lewcun. Hermann i Karpiel znali go ze zdjęcia. Szeroką srebrną taśmą skrępowano go na wysokości piersi, miał zaklejone usta, przedramiona aż do nadgarstków starannie przytwierdzono do podłokietników. Nogi od ud do kostek okręcono taką samą taśmą. Było jej tak dużo, że w pierwszej chwili nie dało się odgadnąć, jak Lewcun jest ubrany. Po chwili obaj stwierdzili, że ma na sobie białą albo bardzo jasną koszulę i ciemny sweter w serek.

– Elegancko – zauważył pułkownik Hermann. – Jak na spotkanie, takie półoficjalne.

Tak więc ofiara już była. Wydawało się, że Lewcun jest nieprzytomny lub co najmniej oszołomiony. Kiedy fotel się poruszał, jego głowa kiwała się bezwładnie na boki.

Po chwili na scenie ukazał się sprawca. Był niski i szczupły. Lewcun, nawet siedząc, był zdecydowanie bardziej postawny niż jego oprawca.

Miał na sobie ciemnoszary robotniczy kombinezon, na głowie czarną wełnianą czapkę nasuniętą na oczy, na twarzy maseczkę chirurgiczną. Mimo to uważał, żeby być odwróconym do kamery tyłem lub bokiem, by utrudnić ewentualne rozpoznanie.

– Oczywiście wie o kamerze – zauważył Karpiel.

– No pewnie, inaczej po co przesuwalby fotel – odpowiedział Hermann. – Postawił go centralnie przed kamerą, żeby to wszystko się nagrało. Pytanie po co? Dla kogo to przedstawienie? Dla nas? Żeby nas wciągnąć w jakąś grę? Co on sobie myślał? Kto musiałby ten film na pewno zobaczyć?

– Właściciele biura, może jacyś pracownicy... No i policja.

– No właśnie. Zatrzymaj! – krzyknął nagle Hermann, a Karpiel wcisnęła pauzę. Sprawca odwrócony plecami do obiektywu kamery prawie całkowicie zasłonił postać Lewcuna.

– Zobacz tu. – Hermann postukał w ekran palcem wskazującym. – Widzisz? On ma coś napisane na plecach.

– Może pożyczył kombinezon z jakiejś firmy? Albo ukradł. Może to ich logo albo nazwa?

– Przewiń bardzo powoli.

Kilka kadrów dalej zobaczyli to wyraźnie. Morderca miał na plecach napis, i to nie było żadne logo, tylko namalowana odręcznie jasną farbą duża cyfra 4.

– Cztery? Czy to coś znaczy? – zastanawiał się Karpiel.

– Skąd mam wiedzieć, Karpiel? To przecież twoje miasto.

## 24.

Karpiel nie chciał sam rozmawiać z Sobczykową. Nie był pewny, czy poradzi sobie z przepytaniem umierającej kobiety, dlatego poprosił Hermanna, żeby mu towarzyszył. „Ale przesłuchujesz ty”, zastrzegł Hermann. „Przesłuchuję ja”, potwierdził Karpiel.

– Proszę od razu wejść, drzwi będą otwarte – poradził mu Sobczyk. – Żona leży w pokoju na wprost wejścia. Nie wstanie, żeby panu otworzyć. Tu jest adres. – Na małej kartce napisał kilka słów i podał ją Karpielowi. – Zadzwoń do niej i powiem, że ją pan odwiedzi.

– Nie boją się państwo? Tak bez zamykania... – zaczął zdziwiony Karpiel.

– Nie. Nigdy nie zamykamy. Taki nawyk.

Karpiel pokręcił z niedowierzaniem głową, ale nic już nie powiedział, tylko obrócił się na pięcie i opuścił biuro Fundacji PioMar.

To była stara drewniana willa, trochę zaniedbana, ale wciąż bardzo piękna. Wchodziło się od Grunwaldzkiej, lecz dom stał w drugim szeregu, zasłonięty przez budynki stojące przy samej ulicy. Nie wyglądał na siedzibę miliarderów, jednak Karpiel przyzwyczajał się powoli do tego, że Sobczykowie są dość oryginalni w tym swoim nagłym bogactwie. Grube belki, z których zbudowano dom, nabrały koloru ciemnego miodu, gont na dachu był ciemnoszary, po impregnacji, jeśli jakiś w ogóle był, nie pozostało ani śladu. Jedyne oznaki renowacji to wymieniona stolarka okienna. Wyróżniała się jasnym świeżym drewnem i solidnością wykonania.

Furtka zaskrzypiała niemiłosiernie, zanim wpuściła ich na podwórko, a właściwie do dużego sadu. Drzewa, jabłonie i chyba śliwki, pomyślał Karpiel. Rosły dziko, ścieżka prowadząca do domu była zarośnięta, zaniedbana. Kiedy podeszli do drewnianych schodów prowadzących na ganek, Hermann przystanął i się rozejrzył.



– To rozumiem – powiedział. – To mi się podoba.

– Ale że co? Że tak dziko?

– Że tak autentycznie.

Weszli na drewniany ganek. Ciężkie rzeźbione drzwi rzeczywiście były otwarte. Znaleźli się w dużym ciemnym przedpokoju. Na wprost zobaczyli kolejne drzwi. Te były lekkie, z mlecznymi szybami w górnej części.

Stali przed nimi przez chwilę, aż Hermann ruchem głowy zachęcił Karpiela, by zapukał.

– Proszę wejść – usłyszeli cichy głos.

Karpiel nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Wnętrze przywitało ich jeszcze większym mrokiem niż ten na korytarzu. Zatrzymali się zdezorientowani w progu.

– Witam, widzę, że jest panów dwóch. Mąż mówił, że będzie pan sam, komisarzu Karpiel. – Głos, nadal cichy, dobiegał z drugiego końca pokoju.

– Ach tak, to pułkownik Hermann, prowadzimy razem śledztwo – wyjaśnił Karpiel.

Ich wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Zaczęli wychwytywać kontury mebli i przedmiotów. Na ścianie naprzeciwko nich zamajaczył duży prostokąt okna. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, jednak odstawały trochę od ściany i wpuszczały do środka odrobinę światła. Obok okna zauważyli duże łóżko. Coś się na nim poruszyło.

– W porządku. To mi nie robi różnicy – odpowiedziała Maria Sobczyk. Siedziała oparta o dużą poduszkę, teraz widzieli zarys jej postaci. – Przepraszam za tę ciemność. Bardzo źle znoszę światło. Miewam silne bóle głowy. Mam nadzieję, że panom to nie przeszkadza...

– Nie, oczywiście, że nie – zapewnił Karpiel, choć mówiąc to, zawahał się i spojrzał na Hermanna, jakby szukał potwierdzenia, że rzeczywiście tak jest. O mało nie wybuchnął śmiechem, tak idiotyczny wydał mu się widok pułkownika, który mimo prawie nieprzeniknionych ciemności miał na nosie ciemne okulary. Poważna mina Hermanna przywołała go jednak do porządku.

– Gdzieś tu powinny być krzesła. – Maria Sobczyk wykonała ręką gest obejmujący przestrzeń całego pokoju.

– Nie trzeba, postoiimy – powiedział Karpiel.

Hermann stał za jego plecami i milczał. Wcześniej uprzedził Karpiela: „Będę się tylko przysłuchiwał i obserwował”.

– Mam glejaka wielopostaciowego mózgu, ostatnie stadium, z przerzutami. Umieram i nic tego nie zmieni – powiedziała Sobczykowa bez ogródek. – Zresztą mój mąż pewnie panów uprzedził... Za późno to wykryli. Za późno na chemię, za późno na jakąkolwiek operację. Parę razy w ciągu dnia wpada tu pielęgniarka, raz dziennie lekarka. Mam morfinę, wygodne łóżko i święty spokój. Tyle musi mi wystarczyć. Ironia losu, co? Mam na myśli tę wygraną. Spadła na mnie w momencie, kiedy na nic mi się już nie przyda. Ale panowie nie przyszli o tym rozmawiać, prawda?

– Prawda – odparł Karpiel. – Przyszliśmy porozmawiać o Janie Lewcunie.

– Niestety nie pomogę panom. Nigdy o nim nie słyszałam. I nie mam pojęcia, dlaczego ktoś zrobił coś tak strasznego właśnie w naszym biurze. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód oprócz tego, że ktoś chciał w ten sposób skompromitować naszą fundację.

– Ale kto? I po co miałyby to robić?

– Oj, niech pan nie zgrywa naiwnego – głos Marii Sobczyk nagle nabrał siły. – Panowie już pewnie słyszeli, że namieszaliśmy trochę w tym mieście.

Karpiel wpatrywał się w miejsce, gdzie powinna być twarz kobiety, próbował wyrwać z mroku rysy jej twarzy, jednak było zbyt ciemno.

– À propos miasta... To pani zdecydowała, że przeniesiecie się z mężem właśnie tutaj? Tak mówił pani mąż. Można wiedzieć dlaczego?

– Dlaczego? To proste, zawsze o tym marzyłam. O górach, o życiu tutaj. W takim domu jak ten. Z takim ogrodem, z widokiem na Tatry. A teraz to mam i gównno mi z tego.

Zapadła niezręczna cisza.

– Ale nigdy tu pani wcześniej nie mieszkała? To znaczy w Zakopanem? – spytał po chwili Karpiel.

– Nie, raz byłam tu na szkolnej wycieczce. To wszystko.

Znowu chwila ciszy. Karpielowi wydawało się, że w jakiś niepojęty sposób potęguje ją mrok pokoju.

– Przepraszam, muszę zadać to pytanie, choć w pani stanie może się wydać absurdalne...

– Tak? – Maria Sobczyk poprawiła się na łóżku.

– Co pani robiła późnym wieczorem, to jest koło pierwszej w nocy w ubiegły piątek?

Chichot kobiety, który był odpowiedzią na pytanie, zabrzmiał dość makabrycznie. Maria Sobczyk szybko się jednak opanowała i odpowiedziała poważnie:

– No tak, przepraszam. Wiem, że panowie muszą o to spytać. Akurat dobrze pamiętam, co robiłam tamtego wieczoru. Jest taka kobieta, nazywa się Anna Kowalska, tak, tak właśnie się nazywa, to prezeska Stowarzyszenia Ochrony Zabytków w Zakopanem. Trochę się przyjaźnimy... Wspieram jej działania. Siedziałyśmy do późna w nocy i rozmawiałyśmy. Planowałyśmy... No tak – znowu chichot – ona planowała. Była tu u mnie...

– Rozumiem. Dziękujemy pani. To już chyba wszystko.

Karpiel odwrócił się do wyjścia. Hermann zrobił to samo. Nadal milczący, pozwolił wyprzedzić się Karpielowi. Komisarz podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i w tej samej chwili Hermann przypadkiem lub nie oparł się o włącznik światła, jasny punkt przy framudze drzwi. Nagła jasność, która rozświetliła pokój, zaskoczyła drobną kobietę skurczoną na łóżku w kącie pokoju i młodego komisarza, który zamarł z ręką na klamce, nie zaskoczyła natomiast starego policjanta w ciemnych okularach, który odwrócił się, żeby dokładnie przyjrzeć się twarzy kobiety.

## 25.

– Myśli pan, że to było konieczne? – spytał Karpiel, kiedy wyszli z willi Sobczyków.

– Co? Ten numer ze światłem? Tak. To było konieczne. Karpiel, na miłość boską, zastanów się! Przesłuchanie w ciemności? To z daleka pachnie jakimś kręactwem. Z jej strony. A z naszej strony nierzetelnością. To tak, jakbyś przesłuchiwał świadka w masce. Twarz to najważniejszy element tożsamości człowieka – tłumaczył Hermann. – Podstawa jego identyfikacji. Nawet jeśli naprawdę jest chora, to choć nie mamy powodów w to wątpić, ja bym na wszelki wypadek to sprawdził. A jej choroba nie zdejmuje z nas odpowiedzialności za przeprowadzenie tej identyfikacji w możliwie optymalny sposób. Przyjrzałeś się jej?

Karpiel skinął głową. Błysk nagle włączonego światła na chwilę go oślepił, lecz w następnych sekundach miał czas, żeby spojrzeć na Sobczykową. Na dużym łóżku wydała się mała i krucha. Jasna pościel, jasna piżama i ona blada jak ściana. Na głowie miała chustkę i ta chustka była jaskrawoczerwona. W pierwszej chwili ta jaskrawość przyciągnęła wzrok Karpiela, dopiero po sekundzie przestał patrzeć na tę czerwień i spojrzął na twarz Marii Sobczyk. Wyglądała staro. Miała ostre rysy, zapadnięte policzki i małe czarne oczy.

Tyle zobaczył komisarz Karpiel, zanim Hermann rzucił krótkie „przepraszam” i wyłączył światło.

## 26.

– Co cię gryzie, synku?

Karpiel nie odpowiedział. Nawet nie spojrzał na dziadka. Dopiero po kilku długich sekundach odchrząknął i rzucił cicho, gapiąc się w podłogę:

– Nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

– Nie wiesz? Jak to, nie wiesz? Co ty gadasz, Tomeczku?

– Nie wiem i już – odburknął Karpiel i zaraz się zawstydził, bo pomyślał, że dziadek nie zasłużył na takie traktowanie.

– Dawniej nie wyobrażałem sobie życia poza Zakopanem. A już Warszawa... Wydawała się przeciwieństwem tego miejsca. – Podniósł głowę i kiwnął w stronę okna, jakby to miało wystarczyć na określenie całego Skalnego Podhala. – Ale dziś nie jestem pewny...

– Ale co ty, Tomuś? Jak możesz tak mówić? Warszawa?

– Jestem tam szczęśliwy, dziadku. Choć tęsknię za górami. Ale jestem szczęśliwy.

– A tu nie możesz być? – Dziadek stał nad wnukiem z wyciągniętą ręką, w której trzymał skrzypce.

Karpiel patrzył na instrument jak zaczarowany. To był zawsze klucz do porozumienia z dziadkiem. Symbol powrotu do domu, związku z tym miejscem. Muzykowali razem przy każdej okazji. Po prostu w pewnym momencie stary góral zdejmował ze ściany jeden z instrumentów, które zawsze tam wisiały, i podawał wnukowi. Wystarczało. Zazwyczaj. Tym razem nie. Karpiel pokręcił głową i odwrócił wzrok.

Jak mu to wytłumaczyć? – zastanawiał się. Jak mam mu wytłumaczyć, że tam, w Warszawie, jest moja Ela, dziewczyna, z którą mi dobrze? Dziewczyna? Już nie dziewczyna, prawie żona. Tak właśnie o tym myślał: „dobrze”. Nawet w myślach nie używał słowa „szczęście”, chyba dlatego że bał się zapeszyć. Głupie to, myślał sobie, dziecinne. Mimo to tak robił.

Problem w tym, że Ela nigdy nie zgodzi się wrócić do Zakopanego. Unikali tematu powrotu. Przy kolejnych wypadach Karpiela do rodzinnego miasta znajdowała jakiś wykręt, żeby z nim nie jechać. On na początku nalegał, potem zrozumiał, że go zwodzi i że to nie ma sensu. Ale nie miał odwagi podjąć rozmowy, więc grali w tę głupią grę.

On: Wiesz, w przyszłym miesiącu chciałbym wpaść na chwilę do Zakopanego. Zosia ma urodziny. Wypada... Pojedziesz ze mną?

Ona: Ale wiesz już, kiedy dokładnie? Muszę spytać szefowej, czy czegoś ważnego nie mamy w biurze.

On: Chyba w piątek dwunastego. Pojechalibyśmy tym pociągiem do Krakowa o piętnastej.

Ona: Dwunastego? (*udaje, że się zastanawia*) Kurczę, dwunastego nie dam rady. Mamy szkolenie. Wiesz, ja to organizuję, nie mogę tak sobie wyjechać. Przykro mi... Może następnym razem...

On: Szkoda, naprawdę szkoda. Nie będę długo, tylko na weekend. Wrócę w niedzielę wieczorem.

Ona (*z trudem ukrywając ulgę, że znowu jej się udało*): Jedź, należy ci się chwila wytchnienia. Tylko nie zapomnij do mnie wrócić.

On (*także z ulgą, że ma ten spektakl za sobą*): Jasne, że wrócę. Co ja bym tam bez ciebie robił?

Nie rozmawiali o jej przeszłości w Zakopanem, taka niepisana umowa, aż do tego wieczoru, kiedy wrócił z Zakopanego, usiedli razem na kanapie przed telewizorem, on otworzył zimne piwo, Ela naląła sobie wina. A potem wtuliła się w niego bardzo, bardzo mocno i powiedziała cicho:

– Nie wrócę tam, Tomek, nie wrócę...

– Nigdy?

– Nigdy. Aż wymrą wszyscy, którzy mnie pamiętają z tamtych czasów.

Wszyscy...

Teraz Karpiel przypomniał sobie te słowa i go olśniło. Przeprosił zdezorientowanego dziadka i mimo późnej pory zadzwonił do Derebasa. Komendant był bardziej zdziwiony niż zły.

– Co tam, Karpiel? Nie mogło poczekać? Jest późno...

– Wiem, komendancie, ale to ważne. Przepraszam, muszę coś wiedzieć.

- No dobra, tylko szybko. O co chodzi?
- To zbeczeszczenie grobu... czyj to był grób?
- Dlaczego pytasz? To ma jakiś związek z naszą sprawą?
- Jestem niemal pewny, że ma. Więc czyj?
- Daj mi chwilę, co? Minutę...

Cisza w słuchawce trwała jednak trochę dłużej.

– Andrzej Siuty – odezwał się wreszcie Derebas. – Leżała tam jeszcze jakaś jego rodzina, ale umarli bardzo dawno temu. A ostatnim zmarłym był właśnie Andrzej Siuty.

– A kiedy zmarł?

– W maju zeszłego roku. Dokładnie piętnastego maja. Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

– Nie wiem, mam przeczucie. Założę się, że drogi Lewcuna i tego Siutego gdzieś się wcześniej przecięły. I to na dłużej. Musieli się znać. Na pewno.

– Ciekawe... Karpień? Wiesz co? Opowiesz mi to wszystko jutro, dobrze? Jutro rano. Wpadnę do ciebie przed pracą. Tylko wstań i obudź przy okazji Hermanna. Nie chciałbym was zastać w negliżu. Ha, ha!

## 27.

Karpień szedł w górę Krupówek. Już z daleka zauważył zbiegowisko. To wcale nie było takie proste, bo Krupówkami w lecie zawsze walił tłum. Łaził deptakiem w górę i w dół, nadając sens istnieniu tej najbardziej znanej ulicy w kraju.

Ten tłum był jednak wyjątkowy. Szumiał i pomrukiwał, słychać to było z daleka. Ludzie, na oko ze sto osób, stali w pobliżu oczka wodnego, na skrzyżowaniu z ulicą Staszica, wpatrzeni w fasadę wielkiej galerii handlowej, która wyrosła w tym miejscu zaledwie dwa lata temu. Karpień przecisnął się między ludźmi, żeby zobaczyć, jaki jest powód zbiegowiska. W dużych szybach galerii odbijały się góry i błękitne niebo nad nimi. W Zakopanem chyba nikt tego budynku nie lubił. Ogromny, ciężki grafitowy kłoc stał się symbolem pychy zakopiańskich inwestorów, których nie obchodzi wygląd miasta. Symbolem przekonania, że na swoim można wszystko, że za pieniądze można wszystko, że o gustach się nie dyskutuje... Budynek zabrał Krupówkom mnóstwo słonecznego światła i zasłonił widok na góry. A miejscowi zaczęli mieć dość odpowiadania na pytanie oburzonych turystów: „Kto na to pozwolił?”.

Karpień też go nie lubił. Przypomniała mu się historia sprzed lat. Wtedy w tym samym miejscu też stał w tłumie. Tamtego dnia, pamiętał to dobrze, była tam wielka maszyna z ogromną burzącą gruszką. Właśnie po raz kolejny, rozbijana na grubym łańcuchu, uderzyła w ścianę budynku, w którym mieścił się sławny Koktajl Bar. Po uderzeniu posypał się gruz, a potem uniosła chmura pyłu. Kawiarnia była rozbierana, a właściwie brutalnie burzona. On był zwykłym mundurowym policjantem. Aspirantem. Znalazł się tam przypadkiem. Było zgłoszenie jakiejś awantury i wysłali właśnie jego. I trafił w sam środek awantury. Ludzie pomstowali. Krzyczeli, grozili. Ktoś rzucił kamieniem w kabinę koparki i rozbił szybę. Bogu ducha



winny operator uciekł w popłochu. Inni robotnicy też zniknęli. Przez chwilę było bardzo gorąco. To był chrzest bojowy Karpiela. Sam jeden musiał opanować sytuację i przemówić ludziom do rozsądku. Jakoś się udało, chyba dlatego, że kilka osób rozpoznało w nim wnuka Karola Karpiela i z szacunku dla dziadka w końcu go wysłuchali i się uspokoili. Do dziś pamiętał jednak drżenie rąk, strugi potu na plecach i strach, że za chwilę stanie się coś bardzo złego, a on będzie za to odpowiedzialny. Uff, jak to było dawno temu, pomyślał z ulgą.

Przesunął się jeszcze kilka metrów do przodu. Był już na tyle blisko, że w jednej z tafli szkła zobaczył swoje odbicie. Zmęczona policyjna morda, pomyślał. Nikt nie uwierzy, że mam trzydzieści pięć lat. Wyglądam na czterdzieści, pomyślał.

Przed wejściem ustawiono mikrofon i dwie duże kolumny głośnikowe. Zauważył też kilku lokalnych dziennikarzy z przygotowanymi aparatami fotograficznymi i kamerami. W Zakopanem wieści rozchodzą się błyskawicznie, a Sobczyk najwyraźniej zadbał o to, by informacja, że chce wygłosić oświadczenie, dotarła do możliwie dużej liczby osób. Karpieł wiedział, że coś się szykuje, od samego Sobczyka. „Niech pan będzie koło oczka wodnego o piętnastej”, powiedział. „Zobaczy pan, za co mnie tak lubią w mieście”, dodał, uśmiechając się tajemniczo.

Co on kombinuje? – zastanawiał się Karpieł. Może chce odnieść się do wydarzeń w biurze fundacji? Tylko po co? Co mu to da?

W tej właśnie chwili pojawił się Piotr Sobczyk. Nadal miał na sobie dzinsowy komplet, jedyną różnicą było to, że na szyi zawiązał kolorową bandankę. Długie siwe włosy zaczesał do góry i za uszy, jego krótka, równo przystrzyżona broda była już całkiem biała. Na nosie miał okrągłe okulary, lenonki. Jeśli chciał uchodzić za podstarzałego hipisa, nie mógł lepiej dobrać garderoby. Spokojnym, miękkim krokiem podszedł do mikrofonu. Pomajstrował przy nim chwilę, ustawił wysokość i odetchnął głęboko.

– Dzień dobry. Słyszać mnie tam dalej? – spytał, zadzierając głowę i stając na palcach. – Tak? Obiecuję, że będzie krótko. – Uśmiechnął się. –

Otóż, jak pewnie wiecie, miesiąc temu kupiłem ten budynek od poprzedniego właściciela, pana Sylwestra Strączka. Budynek, oczywiście

działkę, na której stoi, i długi, którymi jest obciążony. Mieści się w nim galeria handlowa z butikami i kilkoma większymi sklepami. Zresztą wszyscy dobrze wiedzą, co tu jest...

Tłum zaszemrał, że wie.

Sobczyk zamilkł na moment i wtedy dopiero się okazało, z jakim napięciem wszyscy słuchali jego słów. Przez ciszę, jaka zapadła, natychmiast przebił się zwykły codzienny gwar Krupówek, kakofonia podnieconych głosów, śmiechów, nawoływania sprzedawców i muzyka z pobliskich knajp.

– Teraz ja i moja żona – ciągnął Sobczyk – jesteśmy jedynymi właścicielami tego budynku. I postanowiliśmy... – zawiesił głos, a Karpelowi wydawało się, że zauważył wymienionego właśnie z nazwiska poprzedniego właściciela stojącego w pewnym oddaleniu, z boku, jakby chciał odseparować się od tłumu, lecz nie stracić ani słowa z tego, co mówi Sobczyk. – Postanowiliśmy w trybie natychmiastowym zamknąć galerię, rozebrać ją, a zamiast niej urządzić tu mały park. Uważamy, że przyda się bardziej niż galeria... A właścicielom sklepów wypłacę odszkodowania.

Ostatnich słów Sobczyka chyba nikt już nie usłyszał, bo tłum wybuchł hałasem rozmów, dyskusji i przekrzykiwania się. Dziennikarze ruszyli w jego stronę, słychać było seryjne klekotanie migawek aparatów.

– Zaczekajcie! To jeszcze nie koniec! – krzyknął do mikrofonu Sobczyk, podnosząc prawą rękę. – Pomyślałem sobie, że niektórzy z was mogliby w to nie uwierzyć i sądzić, że to żart albo coś w tym stylu. Dlatego... –

Sobczyk spojrział nagle w bok, w swoją lewą stronę, i skinął głową. Jednocześnie sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej zwykłe robocze okulary ochronne i założył je, zdjawszy uprzednio lenonki. Z drugiej kieszeni wyciągnął robocze rękawice. Skinął głową i wtedy podszedł do niego jakiś mężczyzna i wręczył mu ogromny budowlany młot.

– Proszę się odsunąć! – krzyknął Sobczyk do mikrofonu. – Proszę się odsunąć! Jeszcze dalej! Jeszcze kilka metrów!

Tłum cofnął się niemrawo. Karpieł obejrzał się za siebie, a kiedy zauważył, że stojący za nim zrobili mu miejsce, też cofnął się kilka kroków.

Piotr Sobczyk podszedł do jednej z ogromnych szklanych tafli,

zamachnął się i uderzył w nią młotem. Szkło eksplodowało z hukiem, a potem deszczem tysięcy odłamków posypało się na bruk.

Karpiel zobaczył kątem oka, jak Sylwester Strączek łapie się za serce i osuwa na ziemię.

## 28.

– Zrób mi kawę, Karpiel – rzucił Derebas, wyglądając przez okno w mieszkaniu Karpiela. Nawet w Zakopanem są miejsca, gdzie widok z okna jest po prostu nieciekawym. Mieszkanie komisarza Karpiela było właśnie takim miejscem. Komendant patrzył na zapuszczoną okolicę starych hal produkcyjnych niewielkich zakładów, w których od dawna niczego nie produkowano. Powoli zamieniały się w biura dla większych lub mniejszych przedsiębiorstw, których nie stać było na wynajmowanie lokali w centrum miasta. Tu miejsca było dość za relatywnie nieduże pieniądze.

– To mi od razu też zrób – poprosił Hermann, wchodząc do pokoju. Musiał dopiero wyjść spod prysznicy, bo jego białe, zaczesane do góry włosy były mokre. Ale nawet w takiej sytuacji nie zapomniał o ciemnych okularach.

Derebas odwrócił się od okna, uściślił sobie dłonie i usiedli na tych samych miejscach przy stole co zwykle. To znaczy co zwykle od kilku dni, bo mieszkanie Karpiela stało się ich sztabem.

Karpiel przyszedł z kawą i postawił dwa kubki przed Derebasem i Hermannem. Pomyślał, że jego gościnność w ciągu tych paru dni zrobiła z niego służącego starszych kolegów. Karpiel, przynieś piwo. Karpiel, zrób kawę. Trochę go to wkurzało, dlatego dla poprawy nastroju przypomniał sobie, że wciąż ma szansę na stanowisko komendanta po Derebasie. Jeszcze nie powiedział „nie”, choć czuł, że z każdą godziną propozycja starosty staje się coraz mniej aktualna. Miło było jednak pomyśleć, że przynajmniej teoretycznie gdzieś tam istnieje jakaś przyszłość, w której to ktoś jemu będzie robił kawę. Pomyśleć i odłożyć decyzję o jeszcze jeden dzień.

– Siadaj i mów, o co chodzi z tym zdewastowanym grobem – zarządził Derebas.

Karpiel wreszcie usiadł przy stole.

– Ciągłe myślałem o tym nożu – zaczął. – Kurczę, to nie może być przypadek, że morderca wybrał właśnie takie narzędzie zbrodni. Powiem więcej, uważam, że to nie jest przypadek, że wybrał ten konkretny nóż. Bo przecież przyniósł go z sobą, nie? Sobczyk potwierdził, że nie pochodził z biura. Więc mamy nóż, zwykły, kuchenny, zrobiony gdzieś w latach osiemdziesiątych albo jeszcze wcześniej. To wskazuje na jakąś historię z przeszłości...

– Mówiliśmy już o tym... – przerwał mu Hermann. – Chyba że sprawca igra z nami i myli tropy. Musimy wziąć to pod uwagę, Karpiel. Są dwie możliwości: albo to bardzo ważne i coś znaczy, albo jest zasłoną dymną, żeby nas skołować. To samo dotyczy czwórki na plecach mordercy i tego, że sprawca zadał cios w serce. To coś znaczy albo... nie znaczy zupełnie nic.

– Dobra. – Karpiel siorbnął kawę. – Idźmy więc tą pierwszą drogą i przyjmijmy na chwilę, po prostu założmy, że to jednak coś znaczy. Że to jakiś rewanż za coś, co zdarzyło się w latach siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych. Lewcun miał wtedy trzydzieści, czterdzieści lat. To początek jego kariery w Zakopanem. Przypuśćmy, że zrobił coś strasznego i że nie zrobił tego sam. Ktoś chce się po latach zemścić na obu. Zabija Lewcuna, jednak z drugim sprawcą jest jeden problem: umarł kilka miesięcy wcześniej. Co może zrobić w akcie zemsty?

– Zbezczęścić grób? – odgadł Derebas. – To masz na myśli? Dlatego pytałeś o nazwisko tego pochowanego, którego nagrobek zniszczono...

– Tak. To Andrzej Siuty. Założę się, że znali się z Lewcunem – powiedział Karpiel.

– No dobrze, jakaś teoria to jest. To by nawet pasowało do tego napisu na grobie. „Zdychaj, świnio”? Tak to było? Może warto sprawdzić. Kto może to wiedzieć? Żona Lewcuna? – myślał głośno Derebas. – Trzeba ją czym prędzej przesłuchać.

– Zrób to – zwrócił się do niego Hermann. – My z Karpiem zajmujemy się rodziną tego Siutego.

– Dowiedziałeś się czegoś o Lewcunie od ojca? – spytał Karpiela Derebas.

– Pracuję nad tym – odburknął Karpiel.

– Zobacz, zobacz, odpowiada jak prawdziwy zawodowiec – zakpił Hermann. – „Pracuję nad tym”.

## 29.

– To pierdolone SB, synku. To oni mi to zrobili.

– Nie rozumiem, tato.

– To oni zarazili mnie tym wirusem.

– Dlaczego mieliby to zrobić?

– Z zemsty. Bo uciekłem przed nimi do Ameryki.

– To chyba za mało, nie uważasz?

– Im wystarczy. Prześladowali wszystkich, którzy uciekli. Ale nie wszystkich dopadli. Mnie udało im się skrzywdzić.

– Daj spokój, tato. To niemożliwe. Ilu wyjechało? Dziesiątki tysięcy? Wszystkich was mieliby prześladować?

– Wszystkich. Nie wiesz, jak było. Przez co musieliśmy przejść. Niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku. Śledzili nas. Nie bałem się nawet tak bardzo o siebie, jak o matkę...

– O mamę? Żartujesz!

– Nie żartuję! Nie mów tak! Nie masz pojęcia, jak nam było ciężko.

– Nam też, tato. Nam też było tu ciężko bez was.

Karpiel był prawie dumny z siebie, że wreszcie powiedział coś, co odnosiło się do długoletniej nieobecności rodziców. Ojciec nie podjął jednak tematu. Machnął ręką, jakby chciał odgonić od siebie niewygodną myśl.

– Słyszałeś o Litwinience? Też go załatwili – powiedział.

– Boże, tato, to był prawdziwy agent. Zdradził samego Putina. Ktoś z jego kręgów. Z całym szacunkiem, ale ty byłeś zwykłym obywatelem, który nie lubił komuny.

– Nie wierzysz mi? Nikt mi nie wierzy.

– Tato, proszę...

Ileż można? – pomyślał Karpiel. Jak długo można wysłuchiwać tych bzdur? Ale co miał zrobić? Ojciec był przekonany, że ktoś dokonał zamachu

na jego życie. Karpiel postanowił dla świętego spokoju raz, jedyny raz przyjąć w rozważaniach tezę, że jakimś cudem ojciec ma rację. Rozmyślał o tym przez godzinę, rozpatrując wszystkie za i przeciw, zastanawiając się, czy to ma jakikolwiek sens. Godzina, tyle wystarczyło, żeby ostatecznie uznać teorię ojca za bzdurę i rojenia chorego starca. Potem pomyślał, że istnieje jeszcze inna możliwość, pośrednia, która tłumaczyłaby trochę zachowanie ojca – może wirus, skoro taka jest już oficjalna wersja, zaatakował nie tylko jego oczy, ale nabałaganił także w jego mózgu? Ojciec zawsze miał skłonność do snucia teorii spiskowych, więc nie trzeba było dużo...

– Opowiedz mi o Lewcunie, tato. Proszę. Dlaczego, kiedy o niego spytałem pierwszy raz, ty chciałeś od razu wiedzieć, czy zrobił coś złego? Skąd taka myśl?



## 30.

Hermann siedział wciśnięty w kąt Costa Coffee przy Krupówkach. Siedział sam i o to mu chodziło. Przy jego stoliku były dwa miejsca, lecz na fotel naprzeciwko rzucił płaszcz, żeby przypadkiem nikomu nie przyszło do głowy się dosiąść. Miał więc to, czego potrzebował: dobry punkt obserwacyjny i święty spokój.

Nie lubił ludzi. Prawie wszystkich. Niektórych, takich jak Karpiel czy Derebas, tolerował, ale na dłuższą metę i oni potrafili go zmęczyć i zirytować. Przyjął zaproszenie Karpiela, lecz spędzał w jego mieszkaniu możliwie jak najmniej czasu. Wychodził wcześniej rano i wracał wieczorem, choć od kiedy wynikła sprawa morderstwa, spotykali się tam czasem z Derebasem na piwie, żeby omówić postępy śledztwa.

Nie lubił ludzi. Najbardziej takich przesadnie towarzyskich, co to od razu z sercem na dłoni. Takich, którzy po półgodzinie rozmowy z kimś przypadkowo poznanym w pociągu gotowi są opowiedzieć mu najbardziej osobiste historie ze swojego życia. Takich, którzy odczuwają jakąś dziwną presję nawiązania kontaktu. On nie odczuwał. W ogóle coraz mniej czuł. Nawet nie wiedział, skąd to się wzięło. Ta obojętność i chłód. Nieważne. Wypielęgowaną, prawie kobiecą dłonią sięgnął po filiżankę i dopił trzecie espresso.

Siedział tu prawie od dwóch godzin. Okno kawiarni wychodziło na Krupówki, ale znajdowało się około dwóch metrów nad poziomem ulicy. Rzadko kto, spacerując deptakiem, zadzierał tak wysoko głowę, Hermann miał więc komfort obserwowania innych bez zwracania na siebie uwagi.

Odstawił pustą filiżankę i spojrzał ponad głowami turystów na parking na Kościuszki, krzyżującej się w tym miejscu z Krupówkami. Był to parking naprzeciwko wejścia do biura Fundacji PioMar. Stał tam granatowy ford focus Derebasa. Zaparkowany tyłem, żeby Hermann mógł widzieć przód

auta. Za wycieraczkę włożona była kartka z wiadomością dla Sprzątacza. Przynęta. Zasadzka. Hermann z daleka widział biel papieru.

Sam tak się nazwał: Sprzątaczn. Tak podpisał informację, którą tym samym sposobem przekazał im nie dalej jak wczoraj. Znaleźli ją za wycieraczką samochodu, kiedy wyszli z biura fundacji Sobczyka. Na złożonej na pół kartce formatu A4 widniały wydrukowane dużą czcionką słowa:

## **SPÓJRZCIE NA TO CHŁODNYM OKIEM. SPRZĄTACZ**

– To jakiś żart? – Zdumiony Karpiel rozglądał się, jakby oczekiwał, że autor informacji tylko czeka w pobliżu, żeby zostać rozpoznany.

– Raczej nie – odrzekł Derebas. – To wygląda na wiadomość dla nas. Jest napisane: „spójrzcie”. Więc wie, że jest nas trzech. Obserwuje nas.

– No cóż, panowie – wtrącił Hermann, oglądając dokładnie kartkę – albo pojawił się jakiś nowy gracz, albo ktoś robi sobie z nas jaja.

– A może to sprawca? – podsunął Karpiel. – Może chce się z nami zabawić albo zmylić trop?

– Może... wszystko możliwe – mruknął pułkownik.

– Czy to miejsce jest wolne?

– Co? – Hermann dopiero po sekundzie podniósł wzrok i zobaczył uśmiechniętego mężczyznę w średnim wieku, który stał nad nim i wskazywał palcem fotel z płaszczem. W drugiej ręce trzymał wysoką szklankę latte.

– Nie – odburknął Hermann.

A kiedy znów spojrział na szybę, za wycieraczką granatowego forda focusa kartki już nie było.

## 31.

Hermann wybiegł z kawiarni, potrącając w drzwiach jakąś młodą turystkę, nie miał jednak czasu i głowy, żeby zareagować na jej pełne oburzenia: „No co pan?”.

Zbiegł po kilku schodkach, przecisnął się między straganami ustawionymi wzdłuż deptaka, cały czas rozglądając się za Sprzątaczem. Problem w tym, że nie miał pojęcia, jak on wygląda. Wiedział tylko, że jest niewysoki i szczupły. Taki był człowiek na filmie z miejsca zbrodni. Toteż naprawdę nie wiedział nic. Po co więc biegł? Bo nie mógł pogodzić się z tym, że tak łatwo wyslizgnął mu się jedyny trop, który mieli. Bo nigdy nie godził się z przegraną. Taka głupia zasada, która przyniosła mu w życiu chyba tyle samo porażek, co sukcesów. Więc fifty-fifty, czyli o wiele więcej niż nic. Warto próbować, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

Był już przy samochodzie Derebasa. Rozejrzał się. Wokół mnóstwo ludzi zajętych sobą. Gdzie tamten zniknął? Ruszył w górę Krupówek (Hermann założył optymistycznie, że nie poszedł w dół ulicy, boby się na niego natknął) czy skręcił w lewo i poszedł Kościuszki w stronę dworca?

Hermann stanął na palcach i rozglądał się zdesperowany. Dokąd on, kurwa, polazł?

I wtedy go zauważył. Mężczyzna był już daleko, właściwie już na końcu parkingu, kiedy się odwrócił i ich spojrzenia się spotkały. Na sekundę, może dwie, lecz Hermannowi to wystarczyło. Poznał go. To znaczy w pierwszej chwili pomyślał, że gdzieś go już widział i jeszcze nie wiedział gdzie, ale to wystarczyło. To nie mógł być przypadek. I na dodatek tamten spojrzał na niego tak, jakby też go rozpoznał.

Po chwili przyszło objawienie. Oczywiście! O mało nie klepnął się w czoło. No jasne, mijali go w drzwiach, kiedy po raz pierwszy przyszli do fundacji. Hermann miał pamięć do twarzy, w tym zawodzie to przydatna

cecha. Obraz odkładał się w mózgu i czekał, aż się przyda. Szpakowaty facet z wyraźną łysiną, ubrany w jasnoniebieską kurtkę przeciwdeszczową.

Niestety tamten też chyba zrozumiał, że został rozpoznany. Odwrócił się i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Hermann wiedział, że to dla niego ostatnia szansa. Biegł, starając się nie stracić Sprzątacza z oczu. Zobaczył, że tamten skręca nagle w prawo. Co tam jest? No tak, duży parking wzdłuż szeregu bloków przy alejach przecinających Zakopane i ciągnących się z północy na południe, przypomniał sobie. Był już w miejscu, w którym mężczyzna skręcił. Dostrzegł go, lecz ten po chwili znowu zniknął. Co jest? Gdzie się podział?

Hermann wciąż biegł. Krew pulsowała mu w skroniach, adrenalina dodawała sił. Otarł pot z czoła. Zatrzymał się i rozejrzał. Stał teraz u wylotu pasażu handlowego łączącego Krupówki z parkingiem. Mężczyzna musiał skręcić właśnie w tym miejscu. Nie widział go, ale on by tak zrobił. Kurwa, tracę czas, pomyślał. Ruszył pasażem w stronę Krupówek. Był tu już kilka razy. Dziwne miejsce – przyszło mu to do głowy już za pierwszym razem, kiedy przeszedł się między schludnymi drewnianymi butikami. Ta mała uliczka była przeciwieństwem bazarowych i hałaśliwych Krupówek, tu panowały powściągliwość, porządek i snobizm. Nawet szyldy nad wejściami do sklepów samych znanych firm były zrobione według narzuconego przez kogoś wzoru.

– To dlatego, że to teren prywatny – tłumaczył mu kiedyś Karpiel. – A właściciel tak sobie to właśnie wymyślił, postawił warunki najemcom i stąd ten porządek. To tylko dowód na to, że wygląd miasta zależy od dobrej woli i gustu samych mieszkańców.

Na szczęście dla Hermanna było tu niewiele przechodniów i nie musiał przeciskać się przez tłum. Najwyraźniej krzykliwe Krupówki dla większości turystów odwiedzających miasto pod Giewontem były bardziej atrakcyjne niż schludny pasaż.

A jeśli schował się w jednym ze sklepików? – zastanawiał się Hermann, nieco zwalniając.

Nie, raczej niemożliwe, to przeważnie małe butiki, przez okno wystawowe widać całe wnętrze, odpowiedział sam sobie. To byłaby dla

Sprzątacza pułapka. Przecież nie wie, ile osób go ściga. Wystarczy, by kilku policjantów obstawiło uliczkę i sprawdziło sklep po sklepie. Na wszelki wypadek jednak, biegnąc truchtem, mijając zdziwionych jego pośpiechem turystów, zaglądał do sklepów. Bez rezultatu.

Wreszcie wypadł na Krupówki. Był piętnasty września, poniedziałek, ale po Zakopanem kręciło się mnóstwo ludzi. Stał na palcach, by lepiej widzieć. W prawo, tam akurat nic nie zasłaniało mu widoku. Nie, tam go nie ma. W lewo... i tu pojawił się problem, bo dwadzieścia metrów powyżej miejsca, gdzie stał Hermann, przy jednej z restauracji rozłożył się ogródek piwny. Mimo to ponad głowami siedzących tam ludzi zauważył Sprzątacza. Dziwne, mężczyzna znowu się zatrzymał i patrzył w jego stronę. Jakby na niego czekał. A potem to samo: ich spojrzenia spotkały się na sekundę, a potem tamten odwrócił się i ruszył dalej.

Hermannowi przestało się to podobać. Nagle poczuł, że coś jest nie tak, że chociaż to on wymyślił pułapkę na Sprzątacza, nie jest już panem sytuacji. Przebiegł kilkadziesiąt metrów i choć wydawało mu się, że przez cały czas widzi łysinę mężczyzny, nagle stracił go z oczu.

Stał bezradny na deptaku, potrącany przez mijających go ludzi. Był na skrzyżowaniu Krupówek z ulicą biegnącą w prawo, która prowadziła do... No właśnie, dokąd? Ach, tam jest ten wielki plac z kinem, a z drugiej strony do placu przylega duży park.

Gdzie zniknął Sprzątacz? Oczywiście mógł wejść do jakiegoś sklepu albo restauracji, ale to znowu oznaczałoby pułapkę, którą Hermann już wcześniej wykluczył.

Spojrzał w lewo. Coś tam było, coś dziwnego. Między dwiema kamienicami znajdowała się wnęka, jak gdyby uliczka. Bardzo wąska. Co tam jest? Tylko wejście na podwórko czy jakieś przejście?

Nie ma czasu, muszę zaryzykować, pomyślał. Wszedł w uliczkę. Prowadziła na jakieś podwórko, ale niezamknięte ogrodzeniem, wręcz przeciwnie, okazała się skrótem wiodącym przez parking w stronę alei 3 Maja. Gdyby Sprzątacz chciał, mógł tędy przejść i zniknąć mu z oczu. Miał na to dość czasu.

To chyba koniec, pomyślał zrezygnowany Hermann. Odwrócił się, by

wrócić na Krupówki, i nagle jego spojrzenie padło na drzwi wejściowe do kamienicy. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. A może... Co mu szkodzi spróbować? Nacisnął klamkę starych solidnych drzwi i z trudem je otworzył. W ciemnej klatce schodowej powitały go zapach stęchlizny, stare betonowe schody i błagające o malowanie brunatne odrapane ściany. Wszedł na samą górę. Nikogo. Zaczął schodzić. Na pierwszym piętrze znajdował się mały korytarz. Hermann przystanął przy jedynych drzwiach, które wyglądały tak, jakby prowadziły do mieszkania. Reszta miała tabliczki z nazwami firm. Wcisnął guzik dzwonka. Wydawało mu się, że coś usłyszał, jakieś poruszenie po drugiej stronie. Zadzwoił jeszcze raz. Tym razem odpowiedziała mu cisza. Odczekał jeszcze chwilę i zszedł po schodach do wyjścia. Znowu stał na Krupówkach.

– Kurwa mać – zaklął po cichu. Był na siebie zły. Nie dlatego, że zgubił Sprzątacza, ale dlatego, że popełnił straszny błąd. Powinien poprosić o pomoc Karpiela. Jak można ścigać kogoś po mieście, którego się nie zna? Dlaczego nie zadzwonił do młodszego kolegi? Bo chciał się popisać, pokazać smarkaczowi, że potrafi się odnaleźć w każdym terenie, że nie potrzebuje żadnego pomocnika tubylca. Że jest supergliną.

Starzejesz się, Hermann, pomyślał. Potrzebujesz poklasku młodszych. Zły znak. Chyba się kończysz.

Ruszył Krupówkami w dół. No tak, musi jeszcze wrócić do kawiarni i zapłacić za trzy espresso.

## 32.

– A może ja bym spróbowała? – spytała aspirant Szeliga.

– Ty? Dlaczego? – zdziwił się Derebas.

– Bo jestem kobietą i na pewno łatwiej jej będzie otworzyć się przed drugą kobietą niż przed oschłym mężczyzną.

– Ja jestem oschły? No wiesz...

– Jezu! Nie czepiaj się słów! Po prostu daj mi szansę. Może mam dość bycia tylko miłą buzią Komendy Powiatowej Policji w Zakopanem? – Tym razem jej ton był dość ostry. – Nie pomyślałeś, że mogę mieć większe ambicje?

Komendant Derebas milczał. Był zaskoczony postawą podwładnej. Podwładnej i kochanki w jednej osobie. W całej tej historii z jego odejściem na emeryturę to jedno było dobre: nareszcie nie będą musieli udawać, że są tylko kolegami, choć, wiedzieli to oboje, ich tajemnica od dawna już tajemnicą nie jest. Tym bardziej męcząca i absurdalna była ta nieustanna gra pozorów. Mieszkali razem, ale do pracy przyjeżdżali osobno, w komendzie unikali rozmów o życiu prywatnym, pytań, choćby takich najprostszych i najbardziej oczywistych, czyli kto dziś kupuje coś na kolację albo co robimy wieczorem. Unikali też setek innych słów i gestów, które byłyby naturalne, gdyby nie musieli grać.

Aspirant Małgorzata Szeliga rzecznikiem komendy była od kilku lat. Śliczna filigranowa brunetka o uroczym uśmiechu szybko zjednała sobie wszystkich lokalnych dziennikarzy. Była błyskotliwa i wyszczekana, dowcipna i zawsze doskonale przygotowana, dlatego nikt, z Derebasem na czele, nie wyobrażał sobie na jej miejscu nikogo innego. A tu taka niespodzianka, kotka pokazała pazury. A wszystko zaczęło się od tego, że Derebas zastanawiał się głośno, jak podejść do przesłuchania wdowy po Janie Lewcunie. Umówili się z Hermannem i Karpielem, że weźmie to na

siebie. A on zwierzył się nieopatrnie Małgosi, że nie pali się do tej rozmowy.

– No więc jak będzie? – Nie dawała za wygraną. – Zobaczysz, że się przydam.

Komendant Derebas nadal milczał, wpatrując się w groźne błyski w oczach Małgosi. Czego ja bym dla ciebie nie zrobił, pomyślał, wreszcie się do niej uśmiechając.

– W porządku. Ale będę przy tym, zgoda?

– Zgoda – odparła radośnie policjantka.

Pojechali więc razem do mieszkania Lewcunów. Mieściło się w nowo wybudowanym apartamentowcu przy Bulwarach Słowackiego, tuż nad potokiem Bystra.

Potok pędził z gór w stronę centrum Zakopanego korytem wyłożonym płaskimi kamieniami. Co jakiś czas zdarzało się, że ktoś do niego wpadał, na ogół po pijaku, albo kierowany niepojętą głupotą wskakiwał, myśląc, że to rodzaj naturalnego rollercoastera i doskonała zabawa. Jednych i drugich wyławiano zwykle gdzieś na dolnym odcinku potoku albo już w rzece Zakopiance, którą tworzył po połączeniu z Cichą Wodą. Byli przeważnie w ciężkim stanie, poobijani i przemarznięci, czasem martwi. Hermann, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszał, nie mógł uwierzyć, że ludzie są aż tak głupi, lecz potem zdarzyła się ta historia z dwoma braćmi z Białegostoku, którzy, lekko podpici, dali się podpuścić swoim kompanom i wskoczyli do Bystrej. Sprawa wydawała się prosta, ponieważ co kilkaset metrów nad potokiem ustawiono metalowe rusztowanie, z którego zwisał łańcuch, będący szansą ratunku dla pechowców – mogli spróbować się go złapać i wygramolić na brzeg albo przynajmniej zaczekać na pomoc. W rzeczywistości było to prawie niewykonalne.

Derebas stał chwilę nad potokiem, wpatrując się w jego wartki nurt. Wtedy, pamiętał to dokładnie, udało się uratować tylko jednego z braci. Drugi, ten młodszy, jak wynikało z sekcji, musiał zginąć po pierwszych kilkudziesięciu metrach od skoku, bo uderzył głową o jeden z wystających kamieni. Zanim w ogóle zbliżył się do pierwszego łańcucha, już nie żył.

Domofon znajdował się przy bramie wjazdowej na posesję. Aspirant



Szeliga odnalazła na liście nazwisko Lewcun, wcisnęła odpowiedni przycisk, a kiedy dotarło do nich ciche: „Kto tam?”, pochyliła się do mikrofonu i przedstawiła ich oboje. Po chwili usłyszeli brzęczenie otwieranego zamka, Derebas pchnął furtkę i znaleźli się na dużym podwórzu podzielonym skrupulatnie na ścieżki, trawniki i miejsca parkingowe.

Weszli do klatki schodowej, a kiedy odszukali mieszkanie z podanym numerem, zapukali.

Otworzyła im kobieta w czerni o smutnych błękitnych oczach.

### 33.

Stał z uchem przy drzwiach i nasłuchiwał. Wstrzymał oddech, żeby nie umknął mu choćby najmniejszy szmer po drugiej stronie. Cisza. Poszedł sobie? Odetchnął z ulgą. Poszedł. Poczuł, jak strużka potu spływa mu po plecach. Było blisko. Ten z białymi włosami i w okularach o mało go nie złapał. Jak go nazywają tamci dwaj? Pułkownik Hermann? Dziwne, z tego, co wiedział, w policji od dawna nie ma takiego stopnia. W każdym razie jest sprytny. Jak go rozpoznał? Kiedy zatrzymał się przy parkingu i na chwilę odwrócił, tamten od razu podchwycił jego wzrok. Skąd wiedział? Czy zdradziło go to jedno spojrzenie? Jak to możliwe? A potem... Jak znalazł go w tej kamienicy? Jak wpadł na to, do którego mieszkania zadzwonić? I wreszcie: czy ta gra jednak go nie przerosła? Przecież wiedział doskonale, że kartka za wycieraczką samochodu to podstęp. A jednak podjął wyzwanie i niewiele brakowało, a by go złapali. Musi bardziej uważać.

Odwrócił się od drzwi i stąpając możliwie jak najciszej, przeszedł przez mały przedpokój i wszedł do dużego pokoju dziennego. Coś sobie przypomniał. Kartka. Sięgnął do kieszeni kurtki i ją wyjął. Była złożona na cztery, tak samo jak ta, którą zostawił wczoraj za wycieraczką auta. Nie przeczytał jej od razu na parkingu, nie było na to czasu. Zrobił to teraz. Uśmiechnął się, a potem głośno zaśmiał.

– Naprawdę? – spytał na głos sam siebie.

Kartka wypadła mu z ręki. Zawirowała w powietrzu i wylądowała pośrodku dużej zakrzepłej plamy krwi na starym parkiecie. Rozejrzał się po pokoju. Znowu się uśmiechnął. Tyle krwi, tyle sprzątanina, pomyślał.

## 34.

– Co właściwie napisałeś na tej kartce? – spytał Derebas.

– „Ujawnij się. Potrzebujemy twojej pomocy” – odpowiedział Hermann, krzywiąc się. – Wiem, to głupie, ale nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. – Wzruszył ramionami. – Szansa na to, że posłucha, była prawie równa zeru, ale jednak jakaś była. Chciałem, żeby zrozumiał, że ma wyjście i że nie jest podejrzany. Teraz przynajmniej wiem, jak wygląda. Trzeba sporządzić portret pamięciowy i zacząć przepytывать ludzi powiązanych ze sprawą, czy go kojarzą.

– Z tym może być kłopot. – Derebas podrapał się w głowę. – Nadal wolę, żebyście nie pojawiali się na komendzie. Atmosfera jest napięta. Wszyscy węższą, co będzie, kiedy się już mnie pozbędą. Mają mnie w dupie, bo wiedzą, że jestem na wylocie. Muszę kilka razy dziennie odpowiadać na pytanie, czy na pewno chcę sam, osobiście, prowadzić takie trudne śledztwo. Jeśli was tam zobaczą, to już w ogóle nad tym bałaganem nie zapanuję.

– Sam to tak wymyśliłeś – przypomniał mu Hermann z przekąsem.

– Wiem, wiem...

– To nie jest problem. Nie musimy pracować na komendzie – wtrącił się Karpiel. – W internecie można znaleźć kilka całkiem niezłych programów do portretów pamięciowych. Może nie są takie dobre, jak te policyjne, ale i tak dziesięć razy lepsze niż to, czym dysponowała policja jeszcze parę lat temu.

– No dobra, to jest jakieś wyjście – zgodził się pułkownik. – Zajmij się tym, Karpiel. Gdy ściągniesz program, usiądziemy na chwilę i zobaczymy, czy to rzeczywiście wystarczy.

– A co z informacją od Sprzątacza? Co ze „spójrzcie na to chłodnym okiem”? – spytał Karpiel. – Może warto się nad tym zastanowić? Facet najwyraźniej z nami pogrywa. Ale to może oznaczać, że w tym zdaniu tkwi

jakiś element łamigłówki, że coś powinno nam podsunąć rozwiązanie.

– Zgoda – rzucił krótko Hermann. – Pomyślmy wspólnie. Co to znaczy „patrzeć na coś chłodnym okiem”? Jakiś pomysł?

– No... to znaczy bez emocji, racjonalnie... – odpowiedział Derebas.

– Ale przecież tak właśnie robimy. Jesteśmy zawodowcami i żaden z nas nie ma osobistych powiązań z tą sprawą. Mam rację? – Hermann spojrzał pytająco najpierw na Derebasę, a potem na Karpiela. Obaj kiwnięciem głowy potwierdzili, że się z nim zgadzają. – No właśnie. Jak możemy być jeszcze bardziej obiektywni, niż jesteśmy? Nie, tu chodzi o coś innego...

Karpiel nagle poderwał się z krzesła i zamarł. Hermann i Derebasę spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Jeszcze raz, pułkowniku – powiedział, ściągając brwi. – Już to prawie mam. Powiedział pan: obiektywni? Kurde, jasne! Obiektywni! Obiektyw-ni! – Karpiel wykonał dłonią taki gest, jakby oddzielał od siebie dwie rzeczy. –

Obiektyw! To jest to! Kamera! Chłodne oko to kamera. On chce, żebyśmy jeszcze raz obejrżeli film. Coś przeoczyliśmy, coś ważnego. To na pewno to.

– Brawo, brawo, Karpiel. – Hermann pokiwał z aprobatą głową. – Może masz rację. Co sądzisz? – spojrzał pytająco na Derebasę.

Komendant uśmiechnął się i odrzekł:

– Wiesz, Karpiel, w sumie szkoda, że to nie ty będziesz po mnie komendantem.

Karpiel przełknął ślinę i wydawało mu się, że zrobił to tak głośno, iż zadrżały ściany jego mieszkania w bloku na Szymonach.

## 35.

– Ty się w ogóle nie znasz na kobietach! – powiedziała do Derebasa trochę rozbawiona, a trochę zła Szeliga, stawiając przed nim talerz z ryżem z sosem curry, jej specjalność. Przeważnie przyrządzała to danie na obiad, jednak tym razem była to wczesna kolacja.

Spojrzał na nią zaskoczony, ale zobaczył, że się uśmiecha. Więc to ironia? Igra z nim?

– W ogóle się nie znasz! – powtórzyła. – Naprawdę niczego nie zauważyłeś?

– A co miałem niby zauważyć? – odpowiedział lekko poirytowany. – Przesłuchaliśmy ją. Czuję, że coś kręci, że nie mówi wszystkiego. O to chodzi? A jeśli jest coś więcej, to oświeć mnie, pani psycholog. Co według ciebie kryje się za jej milczeniem? Może po prostu żałoba, może tylko tyle? Nie otrząsnęła się po śmierci męża, nie ma ochoty na wynurzenia...

– Sądzę, że kryje się bardzo dużo – odrzekła Szeliga poważnie.

Derebas przypomniał sobie rozmowę z żoną Lewcuna. Siedziała naprzeciwko nich ze spuszczonej oczami, ręce złożone na kolanach drżały, głos, niezwykle cichy i nieśmiały, także. Patrząc na nią, pomyślał, że kiedyś musiała być oszałamiająco piękna. Nadal jest, poprawił się w myślach, tylko coś, czego nie potrafił bliżej określić, starość, zmęczenie czy żal tę urodę przesłoniły. I oczy! Uciekała spojrzeniem, ale i tak to zauważył. Uprzytomnił sobie, że chyba nigdy nie spotkał kogoś, kto miałby tak błękitne oczy. Zawsze myślał, że to takie kokietyjne określenie dla niebieskiego koloru, jednak jej oczy naprawdę były błękitne.

– Więc o co chodzi? Czego nie zauważyłem? – wrócił do tematu.

– Mowy jej ciała. To ono za nią mówiło. Milczała, jednak nie potrafiła nad nim zapanować. To prawda, że była smutna i załamana. Albo inaczej: takie sprawiała wrażenie. Jednocześnie była w niej lekkość i jakaś taka... –

Szeliga szukała w myślach odpowiedniego słowa – ulga. Tak, to była ulga. A potem w jednej chwili to się zmieniło. Wiesz kiedy?

– No, kiedy?

– Kiedy padło nazwisko jej męża. Gdy przywołaliśmy wspomnienie o nim. A najbardziej wtedy, gdy spytałam ją, jakim był człowiekiem i jak im się układało. Wtedy przez jej ciało przeszedł jakby skurcz, pojawiło się jakieś gwałtowne napięcie. Naprawdę nie zwróciłeś na to uwagi? A oczy?

– Co oczy? – zachnął się Derebas. – Powiedz wreszcie, bo mnie wkurzasz.

– W jej oczach był strach. Nawet więcej niż strach. Przerazenie.

– Co sugerujesz? Maltretował ją? Bił?

– Myślę, że lał ją niemiłosiernie. I znęcał się nad nią psychicznie. Na sto procent.

– Nawet jeśli masz rację, to na razie niczego nie zmienia. Ona musi to potwierdzić. Poza tym jakie to ma znaczenie dla naszej sprawy? Przecież pytałaś, ona ma alibi na tę noc.

– To proste – odpowiedziała zdecydowanym tonem Szeliga. – Jeśli bił ją, to mógł to robić innym kobietom. Teraz czy wcześniej... A to już wystarczy za motyw, czyż nie? Nie musiała tego zrobić żona...

Komendant Derebas wpatrywał się w nią przez chwilę.

– No dobrze. Trzeba z nią porozmawiać jeszcze raz. Jutro znowu się do niej wybierzemy.

– Nie. Ja z nią porozmawiam. Jak kobieta z kobietą. Mnie to powie, zobaczysz. Mnie tak, tobie nie.

– No dobrze. Poddaję się – powiedział Derebas, unosząc ręce.

## 36.

Grób Andrzeja Siutego znajdował się w północnej części cmentarza przy Nowotarskiej. A raczej to, co z niego zostało. Dwóch robotników usuwało właśnie kawałki czarnych marmurowych płyt, z których zrobiono nagrobek. Rozbite w drobny mak rozrzucone były w promieniu kilku metrów, a niektóre leżały nawet na sąsiednich nagrobkach. Zbierali je i wrzucali do taczek ustawionych kilka metrów dalej, przy głównej alejce.

– Ktoś rzeczywiście go nie lubił – powiedział Karpień do Hermanna, kiedy stanęli w pobliżu, przyglądając się robotnikom. – W życiu nie widziałem tak zdewastowanego grobu. To musiała być jakaś furia. Jak to w ogóle możliwe, że nikt tego nie słyszał?

– Na nieszczęście dla nieboszczyka, choć chyba teraz już bardziej dla jego rodziny, która musi posprzątać ten bajzel, jego grób jest daleko od głównych alejek. – Hermann się rozejrzał. – Jeśli ktoś to zrobił o drugiej czy trzeciej w nocy, mógł dokazywać niezauważony. A jeżeli sprawców było dwóch albo trzech, to była szybka akcja. Przyszli, machnęli parę razy młotami i po kilku minutach została po nich tylko kupa gruzu.

– A wy coś tutaj chcecie, czy ino tak stoicie i rozmyślacie nad ludzką marnością? – zaczął ich jeden z robotników.

Karpień i Hermann spojrzeli po sobie, uśmiechając się jak na komendę, i precyzyjnie się między grobami w stronę mężczyzn. Teraz stali przy zniszczonym grobie. Karpień wyjął odznakę i przedstawił siebie i Hermanna. Drugi robotnik też przerwał pracę i uważnie im się przyglądał.

– To aż dwóch policjantów w takiej sprawie? – zdziwił się ten pierwszy. – I to jeden pułkownik? O, panie, to rzeczywiście coś się w tej policji zmieniło. Jak mi kilka lat temu ukradli samochód w Krakowie przed hipermarketem, to się pies z kulawą nogą nie zainteresował. Po dwóch godzinach przyjechał radiowóz, spisali mnie i pojechali. A po dwóch

miesiącach przyszło pismo, że umorzone, bo nie trafili na żaden ślad. Panie...

– Dobra, dobra, niech się pan tu nie użala – nie dał się sprowokować Karpiel. – Lepiej powiedzcie, czy pojawi się tu dzisiaj ktoś z rodziny. Jak się umawialiście?

– Umawialiśmy się, że jak skończymy, to damy znać. Żona tego, co tu leży, dała nam swój numer.

– Poda mi go pan? To nie będę musiał szukać... – Karpiel wyjął z kieszeni notes.

– Podam, co mam nie podać. Obcym bym nie dał, ale policji... – Uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby i grzebiąc w kieszeni kurtki. Nagle spojrzał gdzieś nad głowami policjantów i zaśmiał się krótko. – Albo wam jednak nie dam, bo ta pani właśnie tu idzie, to sobie pogadacie.

Policjanci odwrócili się i zobaczyli starszą tęgą kobietę, która skręciła właśnie z głównej alejki i szła przez labirynt wąskich przejść między grobami. Nie była sama. Krok w krok podążał za nią mężczyzna. Miał około pięćdziesięciu lat, był okrągły jak ona. Łysina, śmieszne odstające uszy. Na pierwszy rzut oka widać było podobieństwo. Matka i syn.

Była zdziwiona, kiedy Karpiel ją zagadnął. Już wszystko powiedziała policjantom, którzy pojawili się po zgłoszeniu dewastacji grobu. Nie, mąż nie miał wrogów, był uczciwym człowiekiem, który na stare lata w spokoju korzystał z emerytury. Syn potwierdził jej słowa i przy okazji wygłosił tyradę na temat braku opieki nad nagrobkami na cmentarzu i nieróbstwa policjantów. Karpiel mu przerwał i zapytał o Lewcuna. Na chwilę zapadła cisza. Kobieta zrobiła zdziwioną minę, jej syn również. Ależ oczywiście, powiedziała wreszcie, to był najlepszy przyjaciel jej męża. Dlaczego o niego pytają?

Karpiel nie odpowiedział. W tej chwili miasto jeszcze nie wie o śmierci Lewcuna, lecz zaraz się to zmieni.



## 37.

Komendant Derebas siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Rozglądał się po pokoju, który od prawie ośmiu lat był jego miejscem pracy. I tak długo wytrzymałem, pomyślał. Jak na to, ile chciałem tu zostać, i na to, ile lat trwa przeciętny staż pracy na tym stanowisku.

Dobrze wiedział, jak było z poprzednikami. W ciągu dziesięciu lat poprzedzających jego przejście do Zakopanego urzędowało tu czterech komendantów, a rekordzista utrzymał się trzy lata, więc on pobił go już prawie trzykrotnie. A przecież nic tego nie zapowiadało, bo jego początki w tym mieście były trudne. Nie mógł się tu odnaleźć. On, mieszcuch z wrocławskiego tak zwanego dobrego domu, nie rozumiał góralskiej mentalności, czuł dystans podwładnych, którzy w większości byli właśnie góralami, nie układały mu się też stosunki z burmistrzem i starostą, oczywiście także pochodzącymi stąd. A jednak przewyciężył jakoś te problemy i udało mu się przetrwać siedem lat. Mało tego, teraz wiedział, że po przejściu na emeryturę zostanie w Zakopanem. Wszystko za sprawą kobiety, którą tu poznał i pokochał. To cud, że się odnaleźli, myślał, a jeszcze większy, że ich związek nie doprowadził do katastrofy. Oboje są policjantami, w dodatku on jest jej przełożonym. Boże, jak to się udało? Uśmiechnął się do siebie w zamyśleniu.

Wiedział, że to dzięki szczególnemu talentowi Małgosi do zjednywania sobie ludzi. Policjanci w komendzie ją lubili i w jakiś sposób ta sympatia przeszła na niego. Przecież go wybrała, więc coś musiało być na rzeczy. Od kiedy z nią był, podwładni nabrali do niego szacunku. Zdziwiło go to, ale oczywiście bardzo mu się podobało.

Poza tym Małgosia została jego przewodniczką po tym dziwnym zakopiańskim świecie, o wiele bardziej skomplikowanym, niż wydaje się to komuś, kto przyjeżdża tu na przykład na wakacje albo ma tu dom, w którym

bywa tylko dwa razy w roku po dwa tygodnie. To ona tłumaczyła mu godzinami, dlaczego tutejsi są przewrażliwieni na punkcie swojego honoru, skąd ta ich miłość do ślebody, czyli wolności. Radziła mu, jak ma się zachowywać w konkretnych sytuacjach: że nic mu się nie stanie, jeśli, nawet na komendzie, odpowie na „szczęść Boże” takim samym pozdrowieniem, że nie musi się oburzać, gdy ktoś przyniesie mu wódkę weselną po zaślubinach swoich albo dziecka, że pod żadnym pozorem nie może mówić, że ma dość góralskiej muzyki, że nie musi na każdym kroku powtarzać, że woli wino i whisky od zwykłej wódki, że ma się śmiać z najbardziej rubasznych żartów, że od czasu do czasu dobrze pokazać się w kościele, żeby nigdy nie zapominał o imieninach burmistrza, starosty i księdza dziekana... Mówiła to niby żartem, dystansując się od swoich krajan, Derebas jednak wiedział, że sporo w tym prawdy i że warto, przynajmniej w niektórych sprawach, jej posłuchać.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu stojącego na biurku. Odebrał, słuchał przez chwilę, po czym polecił:

– Poproście go tu.

Po chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł mężczyzna. Derebasowi wydawało się, że go zna, przynajmniej z widzenia. Miał koło sześćdziesiątki, był tęgawy, lecz poza tym trzymał się nieźle. Szpakowaty, lekko łysiejący, opalony. I elegancko ubrany. Miał na sobie ciemne spodnie, klubową marynarkę i białą koszulę. Na widok Derebasa jakby skruchał, skurczył się i zgarbił. Komendant pomyślał, że gdyby facet trzymał w rękach czapkę, gniótłby ją jak pańszczyźniany chłop, który boi się pana.

– O co chodzi? Chciał pan podobno ze mną rozmawiać? – powiedział, przyglądając się uważnie mężczyźnie.

– Nazywam się Kacper Sepioł... – zaczął gość.

– Słucham pana.

– Chciałem powiedzieć, że ja tego nie zrobiłem. Przysięgam.

– Czego pan nie zrobił?

– Nie zabiłem Jana Lewcuna. Jak Boga kocham, nie zrobiłem tego. Musi mi pan uwierzyć.

## 38.

Medialna bomba wybuchła w środę rano. Mniej więcej pół godziny przed tym, gdy Kacper Sepioł pojawił się w Komendzie Powiatowej Policji w Zakopanem, czyli około dziesiątej piętnaście, „Dziennik Tatrzański” w internetowym wydaniu opublikował artykuł o tajemniczej śmierci mieszkańca Zakopanego, Jana Lewcuna. Tekst zawierał bardzo dokładny opis przebiegu zbrodni, oczywiście przy okazji przypomniano krótką i burzliwą historię fundacji założonej w Zakopanem przez Sobczyków. Artykuł zawierał też kilka pytań dotyczących śledztwa. Kim był Jan Lewcun? Kto miał powód, żeby go zabić? Dlaczego zamordowano go w biurze fundacji? Czy Sobczykowie go znali? Jaki mieli związek z tą sprawą? Na koniec zapraszano do lektury czwartkowego papierowego wydania „Dziennika”, w którym pojawią się kolejne informacje.

Prawdziwą sensacją był jednak film zamieszczony poniżej – ni mniej, ni więcej tylko dokładnie to samo nagranie z miejsca zbrodni, którym dysponowali policjanci.

Telefon na biurku Derebasa zaczął dzwonić, jeszcze gdy rozmawiał z Sepiołem, lecz go ignorował. Komórki też nie odbierał. Aż do momentu, kiedy przyszło mu do głowy, by zapytać mężczyznę, skąd właściwie wie o śmierci Lewcuna. Ten spojrział na niego tak, jakby nie rozumiał pytania, a potem powiedział: „Jak to skąd? Z internetu. W »Dzienniku« o tym piszą”.

Derebas włączył komputer, wszedł na stronę internetową zakopiańskiej gazety, przebiegł wzrokiem ekran i złapał się za głowę. Natychmiast zadzwonił do Małgosi.

– No właśnie chciałam ci powiedzieć, ale nie odbierałeś – powiedziała zdenerwowana.

– Jesteś u siebie? Zaczekaj, zaraz do ciebie przyjdę – rzucił do słuchawki.

– Pan tu zostaje i czeka, aż wrócę, jasne? – zwrócił się do Sepioła, zanim

wypadł z gabinetu.

Mężczyzna pokornie skinął głową.

W pokoju Małgosi jeszcze raz na spokojnie przeczytał artykuł.

– O Boże – jęknął. – Ale przeciek. Ale gówno.

Ona siedziała przed komputerem, a on stał nad nią i masował sobie skronie, czując, jak pod palcami pulsuje mu krew. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Gosiu, powiedz, czego nie ma w tym tekście. Czego nie ma, a powinno być? Gdyby to odbyło się normalnie, jak trzeba...

Od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

– Nie ma nas – odrzekła. – Nie ma w ogóle stanowiska policji.

– No właśnie. To dziwne. Przecież zawsze tak robią, prawda? Gdy mają jakiś kryminalny temat, to dzwonią do ciebie albo do mnie, pytają, chcą komentarza... Nie można się od nich opędzić. A tu co? Puszczają tekst bez jednego zdania na temat śledztwa, jakby, jakby...

– Jakby już wszystko wiedzieli – dokończyła Szeliga.

– Kurwa mać! Ktoś dał im cały materiał. Dostali na tacy wszystkie informacje, film, Bóg wie, co jeszcze. Jesteśmy ugotowani. Urwą mi za to głowę! Urwą mi głowę, Małgosiu!

## 39.

Karpiel tęsknił. Do szaleństwa. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał z Warszawy, wydawało mu się, że sobie z tym poradzi, a potem wszystko odbywało się tak samo. Na początku nie dzwonił, wysyłał tylko SMS, że dojechał szczęśliwie, i jeszcze, czasami, wiadomość na dobranoc. Chciał zademonstrować – nie wiedział do końca, czy bardziej jej, czy sobie – męskie opanowanie i chłód. Ela się dostosowywała – tylko odpowiedzi na jego wiadomości, nic więcej.

Już na drugi dzień pojawiał się niepokój. Irracjonalny. Karpiel niby zdawał sobie z tego sprawę, lecz powoli emocje zaczynały brać górę nad rozsądkiem i sytuacja wymykała się spod kontroli.

Wtedy on zaczynał tę swoją grę w przetrzymanie – przeciągał okresy ciszy w nieskończoność, łaknął kontaktu jak kania dżdżu. Tak bardzo chciał, żeby to ona wykazała inicjatywę, nie wytrzymała, żeby pokazała mu, jak bardzo jej zależy. A ona milczała. Dlaczego? Bo była mądrzejsza od niego? Bardziej cierpliwa? Bo znała te jego gierki i nie chciała, znudzona czy poirytowana, po raz kolejny ich podejmować? Czy dlatego, że jej już nie zależy? Co teraz robi? Czy myśli o nim? Zapomniała już, jak się pożegnali? Jak stał w drzwiach z podróżną torbą w ręku, trochę już spóźniony, a ona patrzyła na niego z kuchni. Zatrzymała się w połowie drogi między kuchennym blatem a stołem, z elektrycznym czajnikiem w ręku – na stole czekał już kubek z herbatą do zaparzenia. Miała na sobie luźną sportową bluzę (tę z nadrukiem: *In Another Life, When We Were Cats*) i czarne legginsy. Rozpuściła włosy, głowę pochyliła lekko w prawo i patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Nie usłyszał nawet, jak puszczona torba upadła na ziemię, a ona nawet nie drgnęła, kiedy ruszył w jej stronę. Gdy zaczął ją całować, najpierw w usta, objęła go lewą ręką, a w prawej nadal trzymała czajnik z gorącą wodą. I nie puściła, gdy podciągnął jej bluzę i z radością

odkrył, że nie ma stanika. Więc wiedziała, pomyślał, musiała wiedzieć, że to się wydarzy. Zaczął całować jej piersi, miękkie, ale ciągle cudownie jędrne, z sutkami szybko nabrzmiewającymi z podniecenia. Kątem oka, pochylony nad piersiami Eli, do których przyciskała go mocno lewą ręką, widział jej palce zaciśnięte na białej plastikowej rączce czajnika i nagle wyobraził sobie tę scenę z oddalenia, zobaczył, jak ona w wyprostowanej ręce trzyma czajnik, a on, całując jej piersi, sięga ręką pod legginsy, dociera palcami do miejsca, które na krótką chwilę stało się dla niego centrum wszechświata, i które okazuje się wilgotne i gotowe. Ten obraz wydał mu się równie zabawny, jak podniecający. Prawą ręką szarpał pasek od spodni i rozpiął rozporek i był jej tak niewiarygodnie wdzięczny, że od razu zrozumiała, że natychmiast poczuł jej ciepłą delikatną dłoń obejmującą jego męskość, najpierw przez slipki, a potem dotykającą czulej skóry. Kilkoma ruchami – tak, w tym niewiarygodnym podnieceniu wystarczyło kilka ruchów – doprowadziła do wytrysku. I dopiero po dłuższej chwili, kiedy ich oddechy się uspokoiły, kiedy oboje przestali drżeć, kiedy znowu pocałował ją w usta, dopiero wtedy ona oderwała się od niego, on wrócił z kosmosu na ziemię, a ona, lekko się uśmiechając, wlała do kubka wrzątek z czajnika, rozchlapując część wody na stół.

Z zamyślenia wyrwał go ostry głos Hermanna.

– Karpiel, ile razy w ciągu pięciu minut można sprawdzać komórkę?! Skoncentruj się, kurwa mać! Wytłumacz mi, jak i gdzie mógł zniknąć ten pierdolony Sprzątacznik! Gdzie przepadł? Pomyśl, Karpiel! Mówiłeś, że znasz tu każdy kąt!

## 40.

– Powtórz jeszcze raz dokładnie, co ci opowiedział ten cały Sepioł – poprosił Hermann Derebasa, chodząc w tę i we w tę po pokoju. Mieszkanie Karpiela nie było duże, Pułkownik musiał więc wytyczyć sobie drogę między kanapą a telewizorem, od okna na jednym końcu do drzwi na drugim. Wystarczało na zaledwie kilka kroków w jedną stronę, nawrót i tyle samo z powrotem. Nie były to zresztą kroki duże ani też zbyt energiczne. Ot, po prostu chodził tam i z powrotem, od czasu do czasu masując sobie tył głowy.

Karpielowi jednak to wystarczyło, żeby zacząć się niepokoić. Znał Hermanna i wiedział, że takie zachowanie zdarza się bardzo rzadko. Pułkownik podczas wszelkich narad zwykle był opanowany, a często wręcz nonszalancki i arogancko flegmatyczny. Ta historia ze Sprzątaczem bardzo go dotknęła, pomyślał. Nie może pogodzić się z tym, że zgubił podejrzanego? Starzeje się?

– Powiedział, że jakiś miesiąc temu, nawet podał dokładną datę, osiemnasty sierpnia, dostał mejla z nieznanego adresu – odpowiedział komendant Derebas. – Był zatytułowany „Poważna propozycja pracy. Przeczytaj”, albo coś w tym stylu, dokładnie nie pamięta. Adresu nadawcy podobno też nie. Najpierw zignorował wiadomość, jednak kilka dni później ją otworzył. Tak przynajmniej twierdzi. W treści rzeczywiście była oferta pracy. Wyjątkowa. Bardzo wyjątkowa: ktoś zaproponował mu sporą sumę za zamordowanie Jana Lewcuna.

– Czyli ile? – chciał wiedzieć Karpiel. – Ile było dla tego kogoś warte życie człowieka?

– I tu pojawia się problem – podjął Derebas. – Nie było podanej sumy, tylko zaproponowano spłatę długów Sepioła. Strasznie kręcił i nie chciał powiedzieć, ile tego było, ale gdy go w końcu przycisnąłem, to powiedział:

kilka milionów.

– Kilka milionów! Ja pierdzielę! Jak się robi takie długi?! – wybuchnął Karpiel.

– Na nieudanych inwestycjach – wyjaśnił komendant. – Trochę powęszyłem, popytałem... Sepioł miał parę działek w dobrych miejscach. W Zakopanem, na Jaszczurówce i na Antałówce. Odziedziczył po ojcu. Podobno. Kilka lat temu sprzedał je za niezłe pieniądze i otworzył za to knajpę przy Jagiellońskiej, niedaleko komendy. No, nie tylko za to. Wziął duży kredyt w banku. Wiecie, restauracja miała być wyjątkowa, jak wszystkie, które się tu otwiera, miała przebić konkurencję pod każdym względem. Piękny wystrój, najlepsi kucharze, barmani i bariści. Zero kompromisów. Więc to wszystko kosztowało majątek. Nazywała się Klimatyczna. Kojarzycie ją? Na początku szło niezłe, ale wiecie, to biznes dla wytrwałych, sprytnych i z rezerwą finansową na chudsze miesiące poza sezonem. Raz czy drugi spóźnił się z ratą i bank zażądał spłaty całego kredytu. Sepioł twierdzi, że bank go oszukał, że nie musieli od razu zagrać tak ostro... Ale kto go tam wie...

Kiedy Karpiel usłyszał, jak Derebas mówi: „powęszyłem, popytałem”, poczuł lekkie ukłucie zazdrości. On węszył, on pytał? W jego mieście, w jego Zakopanem? Człowiek, który jeszcze parę lat temu nie miał pojęcia o żyjących tu ludziach, nie rozumiał góralskiej gwary i przy każdej okazji szukał wsparcia jego albo Jasińskiego, który był wielkim słoniem w składzie porcelany, strzelał jedną gafę za drugą, ten sam Derebas ma teraz swoje kontakty i wygląda na to, że wie o mieście więcej niż on? Wyrobił się, pomyślał, trzeba mu to przyznać. Znowu zakłuło.

– I co? Mówisz, że on tego mejla już nie ma, tak? Że jakimś cudem zniknął z jego komputera? A więc nie ma żadnego dowodu, że sobie tego nie wymyślił? – dopytywał się Hermann.

– Tylko po co miałyby to robić? – odparł Derebas. – Nie ma w tym żadnego interesu.

– Oj, Derebas, nie wiesz, jak to jest? – prychnął pułkownik. – Ile już mieliśmy takich historii, że ktoś chciał zaistnieć przy okazji sławnej zbrodni? Może od tego bankructwa poprzestawiało mu się w głowie? Kto



powiedział, że wszyscy myślą racjonalnie i zastanawiają się nad tym, co robią? Zobaczył w internecie opis zbrodni, obejrzał film i przybiegł do ciebie. Nie sądzisz, że to dziwny zbieg okoliczności?

– Ale on sam przyznał, że to nie jest żaden przypadek. Zobaczył w internecie film i się przeraził, że może jakoś być w to wplątany – tłumaczył Derebas. – W tym mejlu były rzekomo dokładne instrukcje, jak to ma się stać. Po pierwsze, miało być w jakimś miejscu, gdzie jest kamera i to wszystko się nagra. Opisano mu też sposób, w jaki ten ktoś ma być uśmiercony. Uwaga: cios w serce zwykłym kuchennym nożem...

– To było na filmie. Mógł to dopasować do tego, co zobaczył – zauważył Karpel.

Derebas pokręcił energicznie głową.

– Nie. Jest jeszcze jedna rzecz. Coś, co według mnie wskazuje na to, że facet mówi prawdę: miał mieć na plecach namalowaną cyfrę pięć. Rozumiecie?

Chyba zrozumieli, bo Karpel zaniemówił, a Hermann zatrzymał się nagle między kanapą a telewizorem i wbił wzrok w Derebasa.

## 41.

Jakaż ona odmieniona, pomyślała aspirant Szeliga, patrząc na wdowę po Janie Lewcunie. Tak jak uzgodniła z Derebasem, zadzwoniła do niej i umówiła się na jeszcze jedną rozmowę. Kobieta, która siedziała teraz przed nią na wzorzystej kanapie, przez te dwa dni, które upłynęły od ich poprzedniego spotkania, przeszła prawdziwą metamorfozę. Zrzuciła wdowią czerń i zastąpiła ją jasnymi kolorami i lekkim sportowym stylem: miała na sobie jasnoniebieskie dzinsy, biały T-shirt i różową bluzę z kapturem. Była też starannie umalowana, skutecznie ukryła pod makijażem zmarszczki i ciemne kręgi pod oczami, które tak ją postarzały i dodawały powagi. Stateczny kok został zastąpiony długimi rozpuszczonymi włosami, które lekko się kręciły. Odmłodziła się w ten sposób o co najmniej dziesięć lat, pomyślała Szeliga, i nie omieszkała jej tego powiedzieć. Po pierwsze, ta odmiana rzeczywiście zrobiła na niej, jako kobiecie, wrażenie, po drugie, uznała, że taka pochwała sprawi, iż atmosfera będzie luźniejsza i kontakt lepszy.

– Ja? Odmieniona? – odrzekła Helena Lewcun z uśmiechem. – Może trochę. Wie pani, postanowiłam przestać się nad sobą użalać i wziąć byka za rogi. – Znowu się uśmiechnęła. – Tak się chyba mówi, kiedy trzeba się zmierzyć z przeciwnościami losu, nie?

Szeliga kiwnęła głową, odwzajemniając uśmiech. Nagle przyszło jej do głowy, że dla niej nowy nastrój Lewcunowej nie musi być sprzyjającą okolicznością, bo kobieta może nie mieć ochoty wrócić do smutnej i dramatycznej przeszłości. Od czego by tu zacząć? Sama wymyśliła to przesłuchanie, wywalczyła je u Derebasa, więc musi sobie teraz radzić.

Przez pół godziny rozmawiały o wszystkim i o niczym, jak dwie dobre znajome: trochę o modzie, trochę o urządzaniu mieszkania, nie zabrakło nawet najbardziej oczywistego w Zakopanem narzekania na kiepską pogodę.

Wreszcie Szeliga, zniecierpliwiona tym, że sama unika właściwego tematu rozmowy, zapytała wprost:

– Gdy rozmawialiśmy poprzednio, powiedziała pani, że nikogo nie podejrzewa, że mąż był przyzwoitym człowiekiem i nie miał wrogów. Mamy powody przypuszczać, że to nie do końca prawda. To nie był taki wspaniały facet, jak nam pani opowiadała, prawda? Może wręcz przeciwnie, był z niego kawał skurwysyna?

Lewcunowa zamarła i trwała w bezruchu dłuższą chwilę, zaskoczona pytaniem jak niespodziewanym ciosem, jakby naprawdę przez chwilę naiwnie wierzyła, że policjantka przyszła do niej ot tak, pogadać o zbyt wielu deszczowych dniach w Zakopanem. I wtedy Szeliga stała się świadkiem cudu kolejnej przemiany: tym razem w ciągu kilku sekund wróciła Helena Lewcun z poprzedniej rozmowy. Błękitne oczy wypełniły się łzami, dłonie powędrowały na kolana, splotły się i zaczęły drżeć, głowa opadła, a plecy się przygarbiły.

Po chwili kobieta podniosła wzrok na Szeligę i pokręciła głową.

– Co też pani mówi. Nie chcę... Nie mogę o tym rozmawiać... Jeszcze nie teraz. Rozumie pani? Jeszcze nie teraz...

– Bił panią? – rzuciła Szeliga, jakby nie przyjęła do wiadomości tego, co dopiero usłyszała od kobiety. – Niech mi panie powie. Muszę to wiedzieć. Nie mogę czekać. On panią bił, prawda?

– Ale... jakie to ma znaczenie? To moja sprawa. Nawet jeśli tak, to bił mnie. Mnie. Nikogo innego. A teraz go nie ma. Sprawa zamknięta. Ja się nie skarżę, a jego nie ma.

– Ale co też pani opowiada! – Szeliga nie kryła oburzenia. – To przestępstwo. Zwyczajne przestępstwo. Żadne tam „moja sprawa”. Za takie rzeczy wsadza się do więzienia. To znaczy wsadzało, bo teraz to znowu nie wiadomo, jak będzie... A dzieci? Dzieci też bił? I to też „pani sprawa”?

Helena Lewcun ciągle jeszcze ze sobą walczyła. Zakryła dłonią usta, jakby jej tajemnica była wielką ciężką kluchą, która zalega jej w trzewiach, a teraz ona chce – a może nie? – wreszcie ją wypluć.

– Już go nie ma. To koniec. Już nikogo nie uderzy. Sprawa zamknięta – wyszeptała i wybuchnęła płaczem.

Szeliga usiadła obok niej na kanapie i objęła Lewcunową. Ta nie protestowała, oparła głowę na jej ramieniu i płakała.

Uspokoila się dopiero po dwudziestu minutach. Szloch i drżenie ciała ustawały powoli – Szeliga czuła to – aż wreszcie wdowa po Janie Lewcunie odsunęła się od niej i opadła na oparcie kanapy. Otarła twarz zewnętrzną częścią dłoni, rozmazując staranny makijaż, po czym spojrzała na Szeligę i zaczęła mówić.

– Ma pani rację. Nie wiem, jak pani to odkryła, ale tak było. Właściwie od początku naszego małżeństwa. Dwadzieścia cztery lata bez dwóch miesięcy. Pierwszy raz uderzył mnie miesiąc po ślubie. Wie pani, o co poszło? Zaskoczę panią. O nic. Nie było żadnej przesolonej zupy, żadnego bałaganu w domu, żadnej sceny zazdrości. On mnie bił, bo to lubił. Nie ukrywał tego i nie szukał pretekstu. Robił to metodycznie, regularnie i z fantazją. A pomiędzy biciem był czarującym mężem i doskonałym ojcem. Nie, nie bił dzieci. Dlaczego? Trudno to może pojąć... Taki układ. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale oboje na to przystaliśmy. Niepisana, nawet niedogadana umowa między nami. On mnie leje, ja się nie buntuję, a w zamian za to zostawia dzieci w spokoju. Pewnie panią przerażę tym, co teraz powiem, ale trudno: uważam, że zrobiłam dobry interes. Uratowałam dzieci. Nie tylko w tym sensie, że on ich nie tknął. Również dlatego że nigdy nie odkryły, jaki był naprawdę. Uważają, że był świetnym ojcem. Niech pani tak na mnie nie patrzy. Trzeba to przeżyć, żeby zrozumieć.

– I naprawdę nikt tego nie zauważył? Przez tyle lat? Znajomi, sąsiedzi, rodzina? To niemożliwe.

– Proszę uwierzyć, że możliwe. Na tym polegała cała sztuka i finezja tej gry. Bo on to traktował jak grę. To go podniecało. Nie tylko samo bicie, lecz także, jak to zorganizować. To jak romans ukrywany starannie przez lata albo nałóg, o którym nikt ma się nie dowiedzieć. A mój mąż miał do tego talent. Tak, jakkolwiek groteskowo to brzmi, to był jego talent.

– Ale pani mu w pewnym sensie w tym pomagała. Podjęła pani tę grę. Nie skarżyła się, nie buntowała...

– Tak, podjęłam. Nauczyłam się jego reguł. Bardzo szybko. Wiedziałam, jak i kiedy. Ukrywałam siniaki, nawet po pewnym czasie nauczyłam się tak

ustawiać, żeby bił po niewidocznych częściach ciała...

– Ależ to potworne. Jak pani to przetrwała? Tyle lat...

– Przetrwałam. Widzi pani? Przetrwałam.

Szeliga była w szoku. Milczała przez chwilę.

– Jeszcze dwa pytania i dam pani spokój.

Lewcunowa kiwnęła głową.

– Powiedziała pani przed chwilą, że już nikogo nie uderzy. Co to znaczy? Kogo miałyby jeszcze bić? Przecież, jak sama pani twierdzi, dzieci udało się pani ochronić.

Lewcunowa spojrzała na Szeligę, mrużąc oczy.

– A drugie pytanie?

– Jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Andrzej Siuty?

Helena Lewcun uśmiechnęła się i ten uśmiech na jej twarzy z rozmazanym makijażem wydał się Szelidze upiornie groteskowy.

– Mądra z pani dziewczyna – odpowiedziała. – I wie pani, o co pytać.

## 42.

### **Brutalne morderstwo w Zakopanem**

**W biurze znanej Fundacji PioMar znaleziono zwłoki mężczyzny.**

**Mamy sensacyjne nagranie zbrodni!**

**Kontrowersyjne małżeństwo miesza w Zakopanem – czy zbrodnia to zemsta za ich działalność?**

**W piątek, 12 września, w lokalu biura Fundacji PioMar przy ul. Kościuszki w Zakopanem doszło do straszliwej zbrodni. Jej ofiarą padł 67-letni zakopiańczyk. Szef fundacji, Piotr Sobczyk, odkrył zwłoki, gdy przyszedł w sobotę rano otworzyć biuro.**

Zamordowany mężczyzna otrzymał cios nożem w serce, zbrodni dokonał zamaskowany osobnik, który włamał się do biura w nocy z piątku na sobotę. Nie jest jasne, co denat robił o tej porze w biurze fundacji, czy został tam doprowadzony siłą, czy też przyszedł z własnej woli. Na pewno został obezwładniony, najprawdopodobniej także odurzony środkami farmakologicznymi, unieruchomiony specjalną taśmą na biurowym fotelu, a następnie zabity.

Przebieg zbrodni jest na szczęście doskonale znany, gdyż dotarliśmy do nagrania z kamery biurowej fundacji. Uwagę zwraca bezwzględność i wyrachowanie, z jakimi sprawca dokonał tego makabrycznego czynu.

Zapraszamy do zapoznania się z nagraniem na naszej stronie:

[www.dzienniktatrzanski.pl/videostreaming/zabojstwopiomar](http://www.dzienniktatrzanski.pl/videostreaming/zabojstwopiomar)

**Ostrzegamy, że nagranie jest drastyczne, dlatego powinny je oglądać wyłącznie osoby pełnoletnie!**

Na zlecenie Prokuratury Rejonowej w Zakopanem śledztwo prowadzi Komenda Powiatowa Policji w Zakopanem. Niestety nie udało nam się skontaktować w tej sprawie ani z komendantem Sławomirem Derebasem, ani z rzeczniczką komendy, aspirant Małgorzatą Szeligą.

Przypominamy, że państwo Sobczykowie zamieszkali w Zakopanem około pół roku temu, po tym, jak w loterii Powerball w USA wygrali około dwóch miliardów złotych. Dzięki wygranej są najbogatszymi zakopiańczykami i jednymi z najbogatszych Polaków.

Maria i Piotr Sobczykowie założyli Fundację PioMar (nazwa pochodzi od trzech pierwszych liter ich imion) w lipcu br. Fundacja zajmuje się finansowaniem inicjatyw społecznych z obszaru kultury, edukacji i sportu. W skład kapituły przyznającej granty wchodzi wielu znanych zakopiańczyków. Według oficjalnych informacji fundacja udzieliła już stowarzyszeniom wsparcia w wysokości ok. 350 tys. zł, a inicjatywy za ok. 500 tys. zł czekają na realizację w najbliższym czasie.

Przypominamy także o kontrowersyjnej sprawie zakupu przez państwa Sobczyków szeregu nieruchomości na terenie miasta Zakopane, w tym obiektów zabytkowych, zdewastowanych lub takich, którym grozi wyburzenie. W wypowiedzi dla „Dziennika” z dnia 14 lipca Piotr Sobczyk potwierdził zakup 13 nieruchomości, jak również to, iż dokonał go na wniosek i po konsultacjach ze Stowarzyszeniem Ochrony Zabytków w Zakopanem.

„Pani Anna Kowalska, prezes Stowarzyszenia, uzmysłowiła nam skalę zagrożenia dla zabytkowej substancji Zakopanego, dlatego postanowiliśmy z żoną wesprzeć jej działania i uratować najbardziej zagrożone zabytkowe budynki. Chcemy w ten sposób odwdziżyć się miastu, które stało się dla nas nowym domem. Wraz ze Stowarzyszeniem przygotowujemy teraz program odnowienia budynków. Oczywiście w zgodzie z zasadami konserwatorskimi” – powiedział Piotr Sobczyk.

Niezadowolona z działań Sobczyków nie kryli inni zakopiańscy biznesmeni. Nieoficjalnie wiemy, że wspomniane obiekty były na liście zakupów kilku inwestorów, którzy chcieli przekształcić je w pensjonaty, hotele lub mieszkania na krótkoterminowy wynajem.

„Tak nie można. To nie fair. Pracujemy tu od lat, niektórzy, można powiedzieć, od pokoleń, na swoją pozycję. Zaczynaliśmy od zera i dorobiliśmy się ciężką pracą. A tu pojawia się ktoś, komu się trafiło jak ślepej kurze ziarno. Los na loterii, dosłownie. I od razu miesza w mieście. Wtrąca się w układy, które funkcjonują tu od lat. To nie wróży dobrze przyszłości miasta” – skomentował sytuację Bohdan Filipiak, szef spółki TatraBud, właściciel sieci pensjonatów i apartamentowców na Podhalu.

Ostatnią, również kontrowersyjną, inicjatywą małżeństwa Sobczyków jest wykupienie działki przy Krupówkach wraz z wybudowaną na niej galerią handlową. Podczas otwartego spotkania przed budynkiem galerii Piotr Sobczyk poinformował, że w najbliższym czasie galeria zostanie zburzona, a na jej miejscu powstanie mały park dostępny dla mieszkańców i turystów. (Nagranie ze spotkania na naszej stronie:

[www.dzienniktatrzański.pl/videostreaming/sobczykgaleria](http://www.dzienniktatrzański.pl/videostreaming/sobczykgaleria)).

Irytacji takim obrotem sprawy nie krył poprzedni właściciel obiektu, Sylwester Strączek.

„Oszukał mnie i już. To świństwo po prostu. Jak się dogadywaliśmy w sprawie sprzedaży, nie było mowy o żadnym wyburzaniu. Jak tak można? To co, że to już jego własność. Ale ta galeria to dzieło mojego życia. Wiecie, ile mnie zdrowia kosztowało, żeby to postawić, ile przepychanek z urzędem? A teraz on to sobie wyburzy. Ja się nie zgadzam” – powiedział oburzony Sylwester Strączek.

Wbrew pozorom z obrotu sprawy nie jest zadowolony także zakopiański magistrat. Burmistrz Zakopanego, Leonard Cyrwus, stwierdził, że „nawet najbogatsi mieszkańcy muszą się liczyć z prawem. Plan zagospodarowania terenu przewiduje w tym miejscu obiekt handlowy i pan Sobczyk nie może sobie po prostu urządzić parku. To swoista samowola budowlana. Będziemy interweniować w tej sprawie w nadzorce budowlaną”.

Czyżby pierwszy raz od lat miała przestać działać niepisana zasada, że „prawo budowlane na Podhalu się nie przyjęło”? Wygląda na to, że jeśli burmistrz spełni swoją groźbę, może doprowadzić do odbudowania samowolnie zburzonego budynku.

Piotr Sobczyk, komentując zaistniałą sytuację, stwierdził:



„I co mi zrobią? Dadzą mi pięć tysięcy kary? A niech dadzą pięćdziesiąt. Stać mnie. Niech raz słabość prawa zadziała na korzyść obywateli. Nie robię przecież nic złego, wręcz przeciwnie”.

A odnosząc się do morderstwa w biurze Fundacji PioMar, oświadczył:

„Podejrzewam, że ta straszna zbrodnia to nic innego jak próba skompromitowania fundacji i działań moich i mojej żony podjętych w Zakopanem. Prawda jest taka, że w niektórych kręgach nie są one zbyt popularne, gdyż krzyżują plany robienia intratnych interesów kosztem miasta. Skoro nie dało się ich zablokować inaczej, próbuje się w ten sposób nas zatrzymać. Mam nadzieję, że policja szybko znajdzie sprawcę tego morderstwa i będziemy mogli nadal spokojnie funkcjonować i działać na rzecz Zakopanego”.

Oczywiście „Dziennik Tatrzański” będzie na bieżąco informował Czytelników o postępach w śledztwie. Zapraszamy do jutrzejszego wydania, w którym przybliżymy sylwetkę ofiary morderstwa w biurze Fundacji PioMar.

**Rzt**

Karpiel skończył czytać na głos artykuł, złożył niedbale gazetę i rzucił ją na stół.

– Niezły pasztet, co, pułkowniku?

– Niezły. Zdaje się, że nasz przyjaciel Derebas ma kłopoty. A my przy okazji też. Stanowczo za dużo wiedzą... I ten film. Trzeba sprawdzić, ile osób tak naprawdę miało do niego dostęp. I jeszcze jedno: ktoś musi wreszcie porozmawiać z panią Kowalską. Po pierwsze, to alibi dla pani Sobczyk, po drugie, jest jakoś wmieszana w interesy Sobczyka. Warto sprawdzić, czy tylko jako działaczka społeczna. Porozmawiasz z nią sam czy znowu potrzebujesz niańki?

Karpiel miał ochotę pokazać Hermannowi język albo środkowy palec, ograniczył się jednak do mruknięcia czegoś pod nosem.

## 43.

Helena Lewcun wróciła z łazienki. Zmyła makijaż. Teraz wyglądała trochę starzej, ale przynajmniej zniknęły smugi rozmazanego tuszu. Aspirant Szeliga nadal siedziała na kanapie. Lewcunowa usiadła obok niej z kolanami podciągniętymi pod brodę.

– Andrzej Siuty to był zły duch mojego męża – zaczęła. – Zresztą to działało w obie strony. Mówiłam już, że mój niewiniątkiem nie był. Ale oni, gdy byli razem, przechodzili jakąś upiorną przemianę. Naprawdę. Janek robił się chamski, wulgarny i brutalny. Siuty też. Jakby popisywali się przed sobą, kto jest większą świnią. Nakręcali się i tracili kontrolę. Oczywiście zawsze przy wódce. Zawsze. Zamykali się w którymś pokoju u nas albo u Siutego i chlali. Od czasu do czasu wzywali służbę, czyli mnie, żebym im zrobiła coś do jedzenia albo przyniosła kolejną flaszkę wódki. Spotykali się często. Bywały okresy, kiedy nawet raz w tygodniu. Ale to się zaczęło chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy zaczęli razem pracować.

– Jak to się objawiało? Mam na myśli chamstwo...

Lewcunowa wzruszyła ramionami.

– Normalne samcze świntuszenie, dowcipy o dupie Maryny, popisywanie się, klepanie mnie demonstracyjnie po tyłku albo łapanie za cycki, żeby kolega nie miał wątpliwości, kto tu do kogo należy... I opowiadanie, wspomnianie ich wspólnych historii. Wie pani, sama się dziwię, że im się przez tyle lat nie znudziło. Przecież na dobrą sprawę ciągle gadali o tym samym. Nawet ja znałam te historie na pamięć, chociaż przecież tam z nimi nie przesiadywałam.

– A żona Siutego? Mówi pani, że czasami spotykali się u niego. U niego wyglądało to tak samo?

– Myślę, że tak. Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. Ale my nigdy nie... Ja nigdy z żoną Siutego na ten temat nie rozmawiałam. Wiem, że

trudno w to uwierzyć, ale to nie był układ dwóch znajomych par. Nie tak, że panowie sobie siedzieli razem przy wódce, a ich żony plotkowały o modzie i dzieciach. Nie, nie. Czasami spotykałyśmy się przypadkiem, oczywiście. Ale prawie w ogóle nie rozmawiałyśmy. „Dzień dobry”, „do widzenia”, i tyle. Przez te wszystkie lata. Teraz myślę, że oni tak tym sterowali, żebyśmy nie mogły się porozumieć, żebyśmy za ich plecami nie spiskowały czy coś w tym stylu. I myślę, że Siuty też swoją żonę bił. – Szeliga pokręciła z niedowierzaniem głową. – Wiem, że trudno to zrozumieć. Ja teraz, kiedy na to patrzę, też nie rozumiem. Ale wie pani, dlaczego dopiero teraz? Bo jestem pewna, że go nie ma i nie wróci. Leży gdzieś w prosektorium pokrojony po sekcji. W szufladzie, w lodówce. I, kurwa mać, jak ja się cieszę, że on tam leży, sam w tym chłodzie. Jak ja się cieszę...

– Czy nie myślała pani, żeby to zgłosić? Żeby się z tego wyrwać? – spytała Szeliga.

Lewcunowa się roześmiała.

– Proszę pani, ja nie jestem głupią gąską, żeby była jasność. Myślałam o tym wiele razy. Chodziłam, sprawdzałam, czytałam, dzwoniłam nawet na telefon zaufania. I parę razy naprawdę niewiele brakowało, żebym to oficjalnie zgłosiła. Wam na policji, no bo komu innemu? Przecież w tym mieście nie ma nawet uchwały antyprzemocowej, pani wie. I to o czymś świadczy. Nawet niby tacy światli ludzie, jak radni, nie potrafią uznać, że lanie kobiety czy dziecka to przestępstwo i zło. To co ja miałam się wyrwać? Do kogo? Kto by mi uwierzył? Przecież Jan Lewcun to taki miły facet. Człowiek zasłużony dla miasta. Znał wielu ważniaków. Szarmancki, uroczy, dowcipny w towarzystwie. Ogólnie lubiany i szanowany. Czym wobec tych opinii byłoby moje oskarżenie? A nawet jeśli czasem przyłoży żonie, to przecież nic takiego. Wielu tak robi, pani wie to lepiej niż ja. Nie wiem zresztą, co on by zrobił, gdybym spróbowała. Przez całe życie z nim zastanawiałam się, do czego jest się w stanie posunąć. Może gdyby podniósł rękę na dzieci, odważyłabym się... A tak? Bałam się. Prosta sprawa. Strach...

– Może trzeba było...

– Może. Ale przetrwałam. Jestem wolna. Dzieci uchroniłam, tak jak

powiedziałam. Koniec.

– Wie pani... to pani perspektywa. Ale ktoś go zabił. I nawet jeśli to był taki potwór, jak pani opisuje, to jest to zbrodnia. Kto to zrobił, jeśli...

– Jeśli nie ja? Nie zabiłam go. Mówiłam pani. Nie ja. W tamten piątek byłam u mojej siostry w Nowym Sączu, może pani sprawdzić. Mówię pani szczerze, rzeczywiście miałam motyw, bo zrobił mi z życia piekło, ale to nie ja.

– Sprawdzę. Na pewno.

Przez chwilę obie milczały ze spuszczonymi głowami. Pierwsza odezwała się Szeliga.

– Powiedziała pani: „już nikogo nie uderzy”. Co to znaczy? Musi mi pani powiedzieć. Kogo jeszcze miałyby uderzyć? Skoro pani go nie zabiła, może była jakaś inna kobieta, która nie wykazała się taką cierpliwością jak pani. Może skrzywdził kogoś jeszcze?

Helena Lewcun wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Tak jakoś mi się powiedziało.

## 44.

Karpiel ukrył twarz w dłoniach, potarł oczy i pokręcił zrezygnowany głową.

– Tu nic nie ma – powiedział do Hermanna. – Oglądam ten film już dziesiąty raz. Nie mam pojęcia, o co chodziło Sprzątacowi. Czego nie zauważyliśmy. Nie wiem, naprawdę nie wiem...

Wstał sprzed telewizora i odwrócił się do pułkownika.

– Więc może to bluff? – Hermann wzruszył ramionami. – Albo mąci nam w głowie, żeby zyskać na czasie. Choć mam przeczucie, że coś musi w tym być. Niewiele by zyskał, utrudniając w ten sposób śledztwo. To by było takie... banalne i głupie, gdyby za tym zupełnie nic nie stało. Wiesz co? Idź tam jeszcze raz i przyjrzyj się temu na miejscu. Idź do fundacji. Może to coś da. Zajrzyj do Sobczyka, przy okazji pokażesz mu ten portret pamięciowy Sprzątacza, może go rozpozna. Spotkaliśmy go w drzwiach na dole, to nie przypadek, musiał się kręcić pod jakimś pretekstem na górze, poza tym w tym liściku do nas sugeruje, że coś wie o miejscu zbrodni. To wszystko wskazuje na jego powiązanie z biurem...

Karpiel wziął do ręki kartkę, która leżała na stoliku. Wydruk z komputera pokazywał twarz mężczyzny w wieku czterdziestu kilku lat, łysego, z niedużym prostym nosem i szarymi oczami. Więc to Sprzątac? Morderca? Tak wygląda morderca? Karpiel ciągle się dziwił, że są tacy normalni. Że nie mają jakichś strasznych charakterystycznych znamion, blizn, które odróżniałyby ich od innych ludzi. Od niemorderców. Jak to możliwe, że tak często na twarzy nie ma żadnego śladu? Jakby nie popełnili największej zbrodni świata, nie pozbawili życia drugiego człowieka.

Usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe – Karpiel prawie nigdy ich nie zamykał – i po chwili do pokoju wszedł Derebas. Tym razem nie był sam. Przyszedł z Szeligą. Miała na sobie granatową sportową bluzę

z kapturem narzuconym na głowę, ręce trzymała w kieszeniach na brzuchu. Wyglądała jak nastolatka. Zatrzymała się w progu pokoju, jakby trochę niezdecydowana, czy aby na pewno chce tu być. Po chwili skinęła głową i powiedziała cicho, jak na nią nawet bardzo cicho:

– Dzień dobry.

Nie zdążyli jej odpowiedzieć, bo Derebas zdecydowanym krokiem podszedł do stołu, wziął do ręki pilota i włączył telewizor. Od razu znalazł kanał krakowskiej telewizji informacyjnej i bez słowa patrzył na ekran, na którym pokazywano właśnie nagranie morderstwa w Fundacji PioMar w Zakopanem. Sprawca w szarym kombinezonie z numerem cztery na plecach wbijał nóż w serce skrepowanego szarą taśmą Jana Lewcuna, a na dole ekranu przesuwiał się czerwony pasek z napisem: BRUTALNE MORDERSTWO W ZAKOPANEM. Tym razem nikomu nie przyszło do głowy, by zadbać o niewinne oczy nieletnich, nagranie nadano bez żadnego ostrzeżenia, że jest drastyczne. Ot, po prostu dobry news.

Patrzyli na to bez słowa, po czym Derebas podszedł do Hermanna i z uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

– To jesteśmy teraz razem w klubie – powiedział. – Właśnie godzinę temu przeszedłem na emeryturę.

– Jak to? – zdziwił się Karpiel.

– Poszło błyskawicznie – odezwała się Szeliga, zsuwając z głowy kaptur i robiąc kilka kroków w stronę pozostałych policjantów. – Przyjechał wojewoda i komendant wojewódzki, wpadli bez zapowiedzi. Akcja nie z tej ziemi, po prostu wparowali do biura komendanta. „Koniec tego”, mówi wojewoda, nie mówi, krzyczy: „Dość niekompetencji i bałaganu, koniec! Niech się pan natychmiast zbiera, pakuje, to kompromitacja, żeby media takie materiały dostały, nie panuje pan nad swoimi ludźmi, trzeba tu nowych porządków!”. I takie tam.

– I co ty na to? – zwrócił się Hermann do Derebasa.

– Powiedziałem mu: „spierdalaj, chuju” – odrzekł spokojnie były komendant.

Pułkownik Hermann się roześmiał.

– Ty? Tak mu powiedziałaś? Przecież ty w ogóle nie przeklinasz.

– Więc na koniec sobie przekląłem – odpowiedział były komendant powiatowy w Zakopanem Sławomir Derebas, rozsiadając się na krześle.

## 45.

– Opowiedz mi o Lewcunie, tato. Wiem, że go znałeś i że coś o nim wiesz. Coś ważnego. Muszę wiedzieć, jaki to był człowiek. Tato, proszę...

Siedzieli na tarasie domu na Skibówkach i grzali się w jesiennym słońcu. Karpień kochał ten dom. Znał tu wszystkie kąty od piwnicy po strych. W nim się urodził i wychował. Wiedział, jak skrzypi każdy stopień drewnianych schodów, które kwatery okienne nie domykają się od lat i gdzie podczas wiosennych odwilży po ścianie leje się woda. To był stary dom, niezmienny i nieprzebudowywany od lat, prosty i niepraktyczny jak większość góralskich chałup, w których duże łazienki i toalety uchodziły w swoim czasie za mieszczańskie fanaberie, a w skosach pod spadzistym dachem mieszkały całe pokolenia niezniszczalnych kun. Karpień przez lata gromadził w głowie pomysły na przeróbki i udogodnienia, których miał dokonać, skoro tylko przejmie go po dziadku (wtedy nie dopuszczał do siebie myśli, że rodzice kiedykolwiek wrócą), a teraz miał własne mieszkanie, a nawet dwa, bo oprócz tego w Zakopanem jest jeszcze to w Warszawie, które wynajmuje z Elą. Mówią o nim „dom”.

– Mówiłem ci, że nie chcę o nim gadać. Ile razy mam ci powtarzać? – powiedział ojciec, mrużąc oczy skierowane wprost w słońce.

– Ale to mnie właśnie zaciekało. Czuję, że wiesz o nim coś, co może nam pomóc.

Ojciec uparcie milczał.

– Pamiętam, że u nas bywał – nie dawał za wygraną Karpień. – Przychodził na twoje imieniny i pojawiał się przy innych okazjach. Ale te imieniny pamiętam najlepiej. Zawsze był dla mnie miły, przynosił cukierki albo czekoladę. Dla Zosi też. A potem nagle przestał przychodzić. No właśnie, tak jakoś nagle... Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że to dość dziwne.



– Był facetem z klasą – odezwał się wreszcie ojciec. – Umiał się ubrać, mimo że to były trudne czasy dla modnisiów, a on, kurczę, zawsze taki elegancki. Pachniał dobrą wodą kolońską. Wiesz, taką oryginalną. Do tego ładnie się wypowiadał i miał miły głos.

– Taki niski, radiowy, prawda? Tak, pamiętam. Kiedyś rozmawiałeś o tym z mamą i powiedziałeś, że ma głos jak Sean Connery. A ja zachodziłem w głowę, kto to jest ten Sean Connery. Pamiętam, jak gadałem o tym z Zosią, kto to może być.

– Naprawdę tak powiedziałem? Nie pamiętam. Tak, można by pomyśleć – człowiek ideał.

– No dobrze, tato, po tym wstępie rozumiem, że gdzieś jest jakiś haczyk, że to tylko jedna strona medalu.

Ojciec nagle odwrócił twarz w stronę syna, a on aż się wzdrygnął, bo przez krótką chwilę wyglądało to tak, jakby nagle odzyskał wzrok.

– Żebyś wiedział, synku. To był bardzo utalentowany człowiek. A jego talent polegał na tym, że wszyscy wierzyli, że jest wspaniały, dobry, kulturalny... I na tym talencie zbudował swój byt. Ale to było jedno wielkie oszustwo. Jan Lewcun był oszustem.

– Nie przesadzasz, tato? Przecież każdy chce się sprzedać jak najlepiej, każdy jest trochę pozerem, nie?

Ojciec znowu odwrócił się od niego i skierował twarz w stronę słońca.

– Nie rozumiesz. Nie rozumiesz, jak wielkie to było oszustwo.

– To mi opowiedz. Proszę.

– A ja właśnie tego się najbardziej boję, że nie zrozumiesz. Czasy się zmieniły. Dzisiaj to normalne, że ktoś, jak to się mówi, kreuje swój wizerunek. Ale wtedy było trochę inaczej. Jakoś prawdziwiej, bez tej całej pomady. Może dlatego wydało mi się to wtedy takie straszne. Kiedy prawda wyszła na jaw... Jest ta stara historia, z książki, o tym człowieku o dwóch twarzach, co się zmienia...

– Doktor Jekyll i pan Hyde?

– No, właśnie to. No to tak było z Lewcunem.

Karpiel się roześmiał.

– Aż tak?

– Aż tak – potwierdził chłodno ojciec. – Wiesz, ja myślałem długo, że to przyjaciel. Jak się poznaliśmy, w latach osiemdziesiątych – to był początek stanu wojennego – to różnie z ludźmi bywało. Trochę się sparzyliśmy na niektórych, było sporo nieufności... A z drugiej strony łaknęło się kontaktu z drugim człowiekiem. I tu się pojawia taki facet, serdeczny, otwarty, a do tego dużo może. No, tak wtedy przynajmniej myślałem. Przyszedł do spółdzielni, już nie pamiętam, jak to się stało, że się tam zjawił. Ale już na pierwszym spotkaniu tak mądrze mówił, nie mądrował się, tylko mądrze gadał... Wszyscy byli pod wrażeniem. Kurde, jaki łebski facet nam się trafił, myśleliśmy. A potem to było już jakoś naturalne, że po kilku miesiącach wszedł do zarządu. I to właśnie wtedy zaczął się u nas pojawiać. Fajnie się z nim rozmawiało przy wódce, znał mnóstwo ciekawych historii, ale i potrafił słuchać. I dowcipny był bardzo. Kurczę, jakie on znał kawały! Do tej pory, jak sobie niektóre przypomnę, to mi się na śmiech zbiera... I tak, bywał u nas...

– Dlaczego przestał przychodzić? Co się stało, tato? – Karpień poczuł, że to odpowiedni moment, by ojca przycisnąć.

– Co się stało? Co się stało? – Ojciec wypowiedział te słowa łamiącym się głosem i ukrył twarz w dłoniach.

Karpień poczuł nagle ukłucie niepokoju, pierwsze blade przecucie, że w tej historii może być coś, co dotyka także jego. Ale było już za późno.

– To nie były moje imieniny, tylko mamy. Tu, w pokoju, była ta impreza. – Ojciec wskazał kciukiem za siebie, na drzwi do domu. – Przyszło kilka osób, między innymi Lewcun. Mama się krzątała, wiesz, jak to ona. Ciągle przynosiła jakieś jedzenie, chodziła po wódkę... Byłem już trochę podпиты, dlatego nie zauważyłem, kiedy... zniknęła. Ona i Lewcun.

Karpień poderwał się z wiklinowego fotela. Nagle poczuł, że brakuje mu powietrza. Musiał odetchnąć głęboko, bo miał wrażenie, że zaraz się udusi.

– Tato?! Co ty chcesz mi powiedzieć? Tato! Jezu!

Ojciec patrzył w słońce, lecz tym razem już nie mrużył oczu. Po jego policzkach spływały łzy.

– Złapał ją, jak wychodziła z kuchni. Nie wiem, musiał to chyba zaplanować. A może tak mu coś odbiło? Ona... Ona pomyślała najpierw, że

to żart. Nawet nie krzyknęła. A on wepchnął ją do małego pokoju, wiesz, tego obok kuchni, po prawej... Rzucił na łóżko. Nie, tam wtedy stała zwykła wersalka. Kiedy zrozumiała, co zamierza, było już za późno. Zrozum, tu tyle ludzi było. Jak się zachować... Krzyczeć? A co oni powiedzą? Jak zobaczą, że ona z nim? A on ją mocno trzymał, zatkał jej usta... to kawał chłopca był. A ja obok piłem wódkę i się śmiałem... Obok, rozumiesz, synku? Byłem obok, gdy Lewcun gwałcił twoją mamę.

## 46.

W takim miejscu jak Zakopane niektóre historie stają się zaskakująco szybko twoimi historiami. Karpiel to wiedział, doświadczył tego niejednokrotnie. Nagle coś, co zaczynało się z dala od niego, bez jego udziału, nawet bez jego wiedzy, dotykało go nieoczekiwanymi konsekwencjami. To miasto jest jak kłębek splątanych kolorowych nici, a próba ich rozplątania ujawniała często zaskakujące powiązania. Nigdy nie wiadomo, co jest na końcu szarpanej nitki i jakiego upiora się wyciągnie. Na zbyt małym terenie dzieje się zbyt wiele, zbyt skomplikowana jest siatka powiązań rodzinnych i biznesowych. Trudno zrobić kilka kroków, żeby nie nadepnąć komuś na odcisk. A gdy to się stanie, najczęściej jest to odcisk kogoś z rodziny lub przynajmniej kogoś znajomego, czasem wroga, czasem przyjaciela.

To sobie myślał Karpiel, kiedy słuchał wraz z Hermannem i Derebasem sprawozdania Szeligi z rozmowy z wdową po Lewcunie. Jak zwykle siedzieli u niego. Tym razem Małgosia Szeliga przyniosła ciasto, więc było jakoś tak milej i bardziej domowo.

Jeszcze wczoraj dla Karpiela byłaby to po prostu historia ofiary morderstwa, którym się właśnie zajmuje, interesująca, ale raczej mu obojętna, a dziś... dziś to już opowiadanie o łajdaku, który zgwałcił jego matkę.

– Dlaczego milczałeś? Dlaczego nic nie zrobiłeś? – spytał ojca.

– A skąd wiesz, że nic nie zrobiłem? Zrobiłem tyle, ile się dało, ile mogłem, potrafiłem i... na ile pozwoliła mi matka. Przecież ja długo w ogóle o niczym nie wiedziałem. To straszne, nawet gdy teraz o tym myślę, to mało serce mi nie pęknie. Jak ona musiała się czuć. A ja wtedy niczego nie zauważyłem. Boże, niczego! Lewcun wrócił pierwszy, pamiętam, bo jej długo nie było, stąd wiem, że wrócił najpierw on. Usiadł obok mnie jak

gdyby nigdy nic, przepił do mnie, zażartował, objął mnie ramieniem... Twoja matka wróciła po jakimś kwadransie. Zauważyłem, że się przebrała. Zobacz, kurczę, to zauważyłem, a że cierpi, że jest cała roztrzęsiona, że coś się stało, to już nie...

– Jak to możliwe? Skąd on mógł wiedzieć, że mama nic nie powie, nie wiem... nie robi rabanu na cały dom, nie będzie krzyczała?

– No właśnie, skąd? Mówiłem ci, że miał talent. Uwierz, pół życia poświęciłem na roztrząsanie tego, skąd on takie rzeczy wiedział. Skąd się brał ten jego tupet i pewność siebie? Wymyśliłem, że to był taki efekt zaskoczenia. Ta zmiana z człowieka miłego, ciepłego, przyjacielskiego w ostatniego skurwysyna następowała tak nagle, że nie byłeś w stanie w to uwierzyć. Ja zresztą też na początku nie wierzyłem...

Karpiel przyglądał się ojcu uważnie.

– Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć?

Ojciec ukrył twarz w dłoniach.

– No... nie uwierzyłem matce. Nie mogłem... To było takie... Zupełnie nie pasowało do tego mojego obrazu Lewcuna. Ja naprawdę miałem go wtedy za przyjaciela. Ale matka była taka zdruzgotana, taka przybita, że wiedziałem, że coś się musiało stać. Milczała przez dwa tygodnie, ale słyszałem, jak płacze po nocach, widziałem, że wszystko leci jej z rąk. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywała. Myślałem, że jest chora, zacząłem ją wypytywać. I pewnego dnia mi powiedziała. A ja nie uwierzyłem.

Karpiel poczuł, jak wielka łapa chwyta go za gardło i ściska tak mocno, że brakuje mu tchu, a w oczach pojawiają się łzy.

## 47.

– I co wy na to? – spytał Derebas, gdy Szeliga skończyła mówić. – Niezły numer z tego Lewcuna, co? Coś czuję, że będziemy mieli zaraz cudowne rozmnożenie podejrzanych. Skoro to naprawdę była taka świnia, to mógł przez lata nagrabić sobie u bardzo wielu osób. A swoją drogą to zadziwiające, że jego oficjalny wizerunek tak odbiega od tego, jak przedstawia go jego żona. Kogokolwiek bym pytał, wszyscy mówią: taki miły człowiek, kto mógłby mieć coś przeciwko niemu, nie miał wrogów... Natomiast śledztwo... No cóż, mnie już w komendzie nie ma, i to dosłownie, bo dostałem godzinę na spakowanie swoich rzeczy i oficjalny zakaz wstępu do budynku, więc poprowadzi je teraz ktoś inny. Nie mam pojęcia kto. To oznacza, że będziemy mieli ograniczony dostęp do informacji zebranych oficjalnie przez policję... Ale robimy dalej swoje... Nadal zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy. Mam nadzieję, że się teraz nie wycofacie...

– A ja? – odezwała się Szeliga. – Póki co nadal jestem rzecznikiem komendy, więc przynajmniej teoretycznie powinnam wiedzieć, co się dzieje. Chyba że mnie też wyleją. To zależy od tego, jak prędko ktoś życzliwy doniesie nowemu komendantowi, co mnie z tobą łączy.

– Ale zaraz, zaraz... Wojewoda nie przywiózł nowego komendanta w teczce? – Hermann wyglądał na szczerze zdziwionego. – Naprawdę nikogo nie mają?

– Plotka głosi, że zaproponowali to komuś z Zakopanego – odrzekła Szeliga. – Na razie p.o. jest Rutkiewicz, zastępca Sławka. Jakiś czas tak może być, ale prędzej czy później kogoś wyznaczą.

– A jaki masz układ z tym Rutkiewiczem? – Hermann spojrzał na Derebasa.

– Jest w porządku, ale to nie materiał na komendanta. Zajmował się u nas

kwestiami organizacyjnymi i finansami. Do tego nadaje się idealnie, ale praca w terenie i kontakty na zewnątrz to nie jest jego mocna strona. A o kandydacie z Zakopanego też słyszałem, ale nie bardzo wiem, kto to miałyby być.

Karpiel poczuł, że robi mu się niedobrze. Tego było już dla niego za wiele. Dlaczego to spada właśnie na niego? Takie spiętrzenie dwuznacznych sytuacji: najpierw ta historia ze stanowiskiem po Derebasie, a teraz to z Lewcunem i rodzicami. Przypomniały mu się słowa Jasińskiego, że przyciąga kłopoty. Wyśmiał go wtedy, ale może coś w tym jest?

Czy powinien im powiedzieć, co wie o Lewcunie? Tylko po co? Co to zmieni? Już przecież wiedzą, że to był kawał skurwysyna. Opowieść wdowy nie pozostawia wątpliwości, co to za człowiek. Choć z drugiej strony może jednak dobrze by było, gdyby powiedział, bo historia jego matki pokazuje, jak Lewcun działał, jaki był perfidny i bezwzględny. I że jego podłość nie ograniczała się do maltretowania żony, krzywdził także innych ludzi. No i nie bez znaczenia może być to, co jeszcze usłyszał od ojca...

– Ale w końcu jej uwierzyłem, synku. Uwierzyłem, bo ostatecznie musiałem przecież wybrać między wiarą w jej słowa a zaufaniem do człowieka, którego tak na dobrą sprawę nie znałem. Tylko chwilę jednak trwało, zanim dotarło do mnie, że go właściwie nie znam. Później oczywiście bardzo się tego przed twoją matką wstydziłem. To znaczy tego, że tak ją zawiodłem. Ale zrozum, to wszystko było dla mnie wielkim zaskoczeniem, więcej, szokiem. A człowiek niechętnie żegna się z wyobrażeniami, które mu odpowiadają. A mnie się podobało, że mam takiego znajomego, przyjaciela.

– Imponował ci? – podsunął Karpiel.

– Bardzo. Ale ziarno nieufności zostało zasiane. Zanim uwierzyłem wreszcie matce, zacząłem uważniej przyglądać się Lewcunowi. Dużo mnie to kosztowało, ale starałem się nie dać po sobie poznać, że coś wiem. Założyłem, że on też się zastanawia, czy matka mi powiedziała, i też mnie obserwuje. A ja nagle zacząłem zauważać pewne rzeczy, na które wcześniej byłem ślepy.

– Na przykład?

– Na przykład to, że był kompletnym leniem i darmozjadem. Że poza tą gładką gadką i ogładą towarzyską nie miał nic do zaoferowania. Że wykorzystywał innych w robocie, a sam zbierał laury. Że był strasznie chciwy na pieniądze i łasy na przywileje, ale sam nic właściwie nie robił. Nagle zauważyłem, że w spółdzielni tak się urządził, że całą swoją robotę zwał na innych. Wiesz, przez chwilę myślałem, że tylko mnie tak sobie upatrzył i wykorzystywał, ale jak pogadałem z resztą załogi, okazało się, że ten cwaniak wszystkich nabiera. On tylko brał potem papiery, szedł na spotkanie zarządu i tam ani słowem nie wspominał, kto to wszystko naprawdę przygotował. Czasami nawet nie zdążył tego przeczytać, ale że był elokwentny i umiał łąć wodę, jakoś sobie radził. Tak, to był jego żywioł, popisywać się, występować publicznie, dawać kwiatki, całować panie po rączkach i ustawiać się do fotografii. Wszystko kosztem innych.

– I co z tym zrobiłeś?

Ojciec zwrócił twarz w stronę syna.

– Przygotowałem mały spiszek. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Po pewnym czasie ta złość na Lewcuna była już tak powszechna, że nie było to specjalnie trudne. To stało się ulubionym tematem rozmów za jego plecami. Dzieliliśmy się z satysfakcją nowinami, co to on znowu wymyślił, jaki numer komu wykręcił. Zdarzało się na przykład, że dostawał od szefostwa jakieś zlecenie, oczywiście za dodatkowe pieniądze, i zlecał to dalej komuś, twierdząc, że to polecenie z góry, oczywiście w ramach pensji. Ale, obiecywał, a jakże, że wstawi się w sprawie premii dla tego pracownika albo wesprze go przy awansie. Wyobrażasz sobie?

Karpiel pokręcił głową.

– Mówiłeś o jakimś spisku – przypomniał.

– Mówię ci, synku, nic tak nie łączy ludzi, jak nienawiść do kogoś. Do tego dochodzi frustracja, że jest się taką dupą wołową i się nie potrafi być takim chytrym, i wstyd, że człowiek taki naiwny i daje się doić cwaniakowi. Ale z drugiej strony jest w nas naturalne tchórzostwo, żeby się jednak nie wychylać i nie narażać. Wiesz, najlepiej, jeśli ktoś inny pierwszy rzuci kamień. Potem łatwiej się przyłączyć.

– I to byłeś ty? Ty rzuciłeś pierwszy kamień?



– No, ja miałem z nim dodatkowe porachunki. Gdy nachodziły mnie jakieś wątpliwości, to wyobrażałem sobie tę scenę u nas w domu: ja siedzę tu, w pokoju, i piję wódkę, a on obok, tuż za ścianą, leży na mojej żonie i ją gwałci. Wyobrażałem sobie to ze szczegółami, z najmniejszymi, aż krew uderzała mi do mózgu...

– Tato, przestań! Błagam cię, przestań! Nie mogę tego słuchać!

Ojciec zamilkł na chwilę.

– Sam widzisz, synku – podjął po chwili. – Tak, miałem dość siły, żeby rzucić pierwszy kamień. Postanowiliśmy rozegrać to na zebraniu załogi, które zapowiedziano z okazji podsumowania roku. To był styczeń osiemdziesiątego siódmego, pamiętam dobrze. Całe zebranie przebiegło jak zwykle, sprawozdania, podziękowania, przemowy. Ale jak doszło do wolnych wniosków, to się zgłosiłem. Miałem wszystko przygotowane, rozpisane na kartce, a i tak trząsałem się na początku jak osika, głos mi drżał. „Mam kilka pytań do zarządu, co do funkcjonowania w naszej spółdzielni pana Jana Lewcuna”, zacząłem. „Chciałbym wiedzieć, jaką ma pensję i jaki jest zakres jego obowiązków w spółdzielni, bo ja i część załogi, a może nawet cała, uważamy, że nic nie robi i jest pasożytem, okropnym pasożytem”.

Na początku mimo wszystko nie miałem odwagi spojrzeć mu prosto w oczy, ale wreszcie to zrobiłem. Był zaskoczony, jednak jeszcze patrzył hardo. Myślę też, że wtedy zrozumiał, że matka mi powiedziała. I myślę, że był przekonany, że wyjdzie z tego obronną ręką. Niech no tylko pozwolą mi zabrać głos, kalkulował sobie pewnie. Ale ja i o tym pomyślałem. Wiedziałem, że jak wystąpię tylko ja, a potem pozwolimy mu się bronić, to nic z tego nie będzie. Prezes potraktuje mnie jak oszołoma i ukręci sprawie łeb. Dlatego po mnie mimo protestów Lewcuna mówili po kolei inni pracownicy i potwierdzali mniej więcej moje słowa. I wywlekliśmy wszystko: że cały dzień nic nie robi, że chodzi tylko z jednego pokoju do drugiego, z jednej kawy na drugą, że się na niczym nie zna, że bierze pieniądze za nie swoją robotę, że ciągle tylko w delegacjach, a nawet to, że popija w pracy. Zarzuty jak zarzuty, można to różnie traktować, wiesz, jak się wtedy pracowało. Ale że tak wszyscy zgodnie wystąpili przeciwko

niemu, to już musiało prezesowi dać do myślenia.

– Ale co? Wystąpił w końcu? Bronił się?

– No, bronił. Oczywiście, że się bronił. Powiedział, że to – uważaj – taki nowoczesny sposób zarządzania. Że najważniejsze przecież, że praca jest dobrze wykonana i on za to odpowiada jako kierownik przed zarządem. Że jego zadanie to wszystko skontrolować i że to też ciężka praca. Próbował też sprytnie zrobić ze mnie kozła ofiarnego, że ja niby coś osobistego do niego mam, on nie ma pojęcia co, a do reszty puszczał oko, że on to wszystko naprawi. Przepraszał ich, wyobrażasz sobie? Ich, nie mnie.

– Cwaniak, rzeczywiście – przyznał Karpiel. – Prowokował cię, żebyś powiedział o mamie, żeby wyszło, że to osobisty uraz.

– Ale ja nie dałem się sprowokować. A na to jego tłumaczenie też się przygotowałem. Zrobiliśmy małą prowokację. Ostatnie sprawozdania na koniec roku zawierały ewidentne błędy. Takie proste byki, na które powinien wpaść każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o tej robocie. A on to przekazał dalej. Czyli albo był niekompetentny, albo leser. I powiedziałem o tym po jego wystąpieniu. I to był jego koniec.

– I jak to się skończyło?

– Wywalili go. Ja dostałem nagane, reszta ustne upomnienia, to za te lipne sprawozdania. Ale jego wypieprzyli z roboty.

– I co się stało z nim dalej? Spotkałeś go jeszcze?

Ojciec się roześmiał.

– Tak! I to jest najlepsze, posłuchaj! Wyobraź sobie, że ze dwa miesiące później spotkałem go przypadkiem w jakimś sklepie. Zauważyłem go z daleka i chciałem jak najszybciej wyjść, żeby na niego nie wpaść, ale on do mnie podszedł. I mało tego! Podszedł jak gdyby nic, z wyciągniętą ręką, uśmiechając się przyjaźnie. Spytał, co u mnie, bo u niego wszystko okej, pracuje w zakopiańskim PKS-ie jako kierownik zaopatrzenia. Czy ty to sobie wyobrażasz? Po tym wszystkim?

– Kpił sobie?

– Nie, Tomek. On taki właśnie był. Nic się go nie imać. Wszystko po nim sływało. Taki był skurwiel gruboskórny.

Gruboskórny? Może. A jednak zwykły kuchenny nóż dał mu radę,

pomyślał z satysfakcją Karpel.

## 48.

Pamiętał ich pierwszy seks. Bał się, jakby to był jego pierwszy raz, nie mógł przestać myśleć o tym, że ona musi być taka doświadczona, z tyłoma przecież była, a on zaledwie kilka razy... Ale było niewiarygodnie delikatnie, może dlatego, że oboje tak się starali, byli przejęci i wiedzieli, że to coś ważnego, o wiele ważniejszego niż zwykły seks, raczej nowy, jeszcze niezdefiniowany początek. Dla niej i dla niego. Nie spieszyli się, to też jakiś cud, bo byli tak bardzo podnieceni i stęsknieni, ale oboje czuli, że tu wydarza się coś wyjątkowego, i powstrzymywali się bardzo, bardzo długo. Ona oplotła go swoim ciałem, tak to potem wspominał, i nawet żartował, kiedy raz jedyny o tym rozmawiali, kiedyś, później, mówił: „Byłaś jak bluszcz, który mnie oplata”. Ona się zaśmiała: „Jaki bluszcz, co ty gadasz, to ty mnie oplotłeś, ty byłeś wszędzie, obcałowałeś każdy centymetr mojego ciała. Każdy, pamiętasz? Skąd wiedziałeś, że właśnie tak chciałam, że tak powinno być, żeby było idealnie?”. A kiedy wreszcie w nią wszedł, była tak gotowa, że na kilka sekund wszystko przestało dla niego istnieć, po prostu zniknął w niej, przepadł, przepadł na zawsze. Więc jak może ją teraz zostawić dla jakiejś głupiej posady, dla własnych ambicji, dla Zakopanego, dla siostry, ojca, matki, dziadka? Nie może. Nie może...

I przypomniał sobie jeszcze słowa Hermanna z tego wieczoru, kiedy odwiedził ich w Warszawie. Odprowadził go wtedy do drzwi, a Hermann spojrzał na niego i powiedział: „Tylko nie spieprz tego, Karpiel. To wspaniała dziewczyna. Druga taka ci się nie trafi, zapewniam cię, że to jednorazowa szansa”.

Puścił klamkę drzwi do sekretariatu starosty, odwrócił się i ruszył korytarzem do wyjścia. Pomyślał, że jeśli ktoś go obserwuje, musi mieć niezły ubaw, bo stał z ręką na klamce jakieś piętnaście sekund.

– Pieprzyć to – mruknął pod nosem. A w myślach dodał: Nic nie muszę.

Nie muszę decydować, nie muszę nic robić. Wszystko się jakoś rozstrzygnie beze mnie. Ważna jest ona, Ela. Ona i tylko ona.

Staął przed budynkiem starostwa i zapalił papierosa. Kiedy się zaciągnął, usłyszał za sobą kroki kogoś schodzącego po schodach, a potem poczuł, że ten ktoś za nim stoi. Odwrócił się i znalazł twarzą w twarz z Jasińskim.

– Cześć – rzucił tamten. – Co tu robisz, Karpiel?

Karpiel wahał się przez kilka sekund.

– Eeee nic. Dowód rejestracyjny mi się skończył – skłamał. – Auto jest zarejestrowane na mnie, więc muszę to szybko załatwić, póki jestem. A ty?

– Nie uwierzysz – wycedził Jasiński przez zęby. – Kurwa, nie uwierzysz, co się stało.

– Co takiego? – Karpiel był zaintrygowany.

– Odwołali starostę. Wczoraj, na posiedzeniu rady. Był jakiś przewrót i wszystko postawili na głowie. Opozycja przekabaciła jakoś kilku radnych. I go odwołali. I wszystko szlag trafił, wszystko nieaktualne. Ale numer. A ja siedziałem jak głupi i myślałem, zastanawiałem się, czy przyjąć tę propozycję. A tu zobacz, wszystko nic niewarte. Ale numer!

## 49.

Tym razem artykuł z „Dziennika” czytała na głos aspirant Szeliga:

### **Śmierć dżentelmena – „Dziennik Tatrzański” na tropie zbrodni**

**W piątek, 12 września, w lokalu biura Fundacji PioMar przy ul. Kościuszki w Zakopanem doszło do morderstwa, którego ofiarą padł 67-letni zakopiańczyk Jan Lewcun. Zwłoki odkrył Piotr Sobczyk, miliarder, właściciel biura i szef fundacji.**

Postanowiliśmy przybliżyć naszym Czytelnikom postać ofiary tej strasznej zbrodni. Oto, co udało nam się ustalić.

Jan Lewcun urodził się w Zakopanem w 1950 roku. Jego ojciec był zakopiańczykiem, prowadził sklep sportowy przy ulicy Nowotarskiej, a matka pochodziła z Rabki i pracowała w kasie na dworcu PKP w Zakopanem. Mężczyzna zostawił dwójkę dorosłych dzieci i żonę.

Jan Lewcun ukończył technikum hotelarskie w Zakopanem, a następnie studia na Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Po uzyskaniu tytułu magistra ekonomii wrócił do rodzinnego miasta. W roku 1975 został zatrudniony w zakładzie mleczarskim w dziale kontroli jakości produkcji, a następnie awansował na stanowisko kierownika produkcji. W roku 1980 został dyrektorem Domu Wczasowego Pracowników Przemysłu Dzierwiarskiego „Wrzeciono” (obecnie hotel Wrzeciono), a w roku 1986 powierzono mu stanowisko kierownika handlowego Spółdzielni Przemysłu Ludowego. W roku 1987 przeniósł się do Państwowej Komunikacji Samochodowej (PKS), gdzie był kierownikiem zaopatrzenia. Pod koniec lat osiemdziesiątych ponownie zwrócił się w stronę branży turystycznej – był

dyrektorem m.in. hotelu Sosna w Zakopanem i Góry w Bukowinie Tatrzańskiej. Od dwóch lat był na emeryturze.

Należy przypomnieć, że Jan Lewcun był także działaczem samorządowym i społecznym. W latach 2006–2010 pełnił funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej Rady Miasta Zakopane.

Lewcun był w Zakopanem osobą dość znaną i powszechnie lubianą. W samych superlatywach wypowiada się o nim burmistrz Zakopanego, Leonard Cyrwus:

„To był wspaniały człowiek, znałem go od lat, byliśmy radnymi tej samej kadencji. Miał niesamowity dar, mówił piękną nienaganną polszczyzną, z przyjemnością się go słuchało. Poza tym to prawdziwy dżentelmen, rzadko kto zachowywał się tak szarmancko wobec kobiet jak on. To wielka strata dla Zakopanego. Myślę, że mógł zdziałać jeszcze bardzo dużo dla naszego miasta”.

Na wniosek prokuratury śledztwo w sprawie morderstwa Jana Lewcuna prowadzi Powiatowa Komenda Policji w Zakopanem. Niestety zbrodnia zbiegła się w czasie ze zmianami kadrowymi w zakopiańskiej policji. Wiemy, że dotychczasowy komendant, Sławomir Derebas, jest obecnie na urlopie i już do pracy nie wróci. Kto go zastąpi, nie wiadomo. Nie udało nam się też ustalić, kto obecnie prowadzi śledztwo.

**Rzt**

– To bzdura! – krzyknęła oburzona Szeliga. – Wcale do mnie nie dzwonili...

– Kto to jest Rzt? – chciał wiedzieć Hermann.

– Roman Zatorski Tatar, specjalista od śledztw różnorodnych w naszej ukochanej gazecie – odpowiedziała Szeliga. – Jeśli trzeba, to dzwoni do mnie dziesięć razy dziennie i wypytuje o duperele. Przymila się, zaprasza na kawę... A tym razem nic. A potem pisze, że nic nie wiedzą, że nie ma kontaktu z komendą. W co oni grają?

Trzasnęły drzwi i do mieszkania wszedł Karpień. Nawet się nie przywitał, tylko wręczył pułkownikowi dużą białą kopertę.

– To chyba przede wszystkim do pana, pułkowniku – powiedział. – Znalazłem ją w skrzynce na listy. Ale nie ma na niej adresu, więc to nie

listonosz. Skubany ma tupet. Wszedł po prostu do bloku i to zostawił.

Koperta była otwarta, Karpiel musiał ją rozerwać niecierpliwie palcem, bo brzegi były poszarpane.

– Co to takiego? – zainteresowała się Szeliga.

– Przesyłka od Sprzątacza – odrzekł Hermann, zanim przyjrzał się zawartości koperty.

W środku był kolorowy wydruk kadru filmu, na którym Jan Lewcun siedzi na biurowym fotelu owinięty szarą taśmą. Dokładnie pośrodku kadru. Sam. Pod zdjęciem było jeszcze kilka słów napisanych na komputerze:

**MÓWIŁEM, SPÓJRZCIE NA TO CHŁODNYM OKIEM.  
SPRZĄTACZ**

– Kurwa! Musimy go złapać – warknął Hermann. – Musimy go mieć za wszelką cenę. Albo coś wie, albo to po prostu on.



## 50.

– Usiądźmy, podsumujmy spokojnie, co wiemy – zaproponował pułkownik.

Derebas i Szeliga usiedli przy stole, Karpiel przyniósł kawę i czekali na to, co Hermann powie.

– Najpierw ofiara – zaczął, posłodzwszy kawę i upiwszy łyk. – Wiemy już, że Lewcun nie był niewiniątkiem, maltretował żonę, miał też dziwne układy z Siutym. Jeżeli Karpiel ma rację, to byli współnikami w jakiejś brudnej sprawie, nie wiemy, czy obyczajowej, czy jakiejś innej. Stąd to zniszczenie grobu. Ktoś się zemścił na Lewcunie, ale na Siutym nie zdążył, bo ten wcześniej umarł. To jednak tylko przypuszczenie. O Siutym nie wiemy zbyt wiele, żona nie była za bardzo rozmowna. Może dlatego, że zagadnęliśmy ją z Karpiem na cmentarzu, to nie były zbyt sprzyjające okoliczności. A może po prostu nic nie wie albo najzwyczajniej w świecie kłamie. A ciekawe na przykład, czy Siuty też pozwalał sobie na przemoc wobec niej. To możliwe, bo była przestraszona naszym wypytywaniem. Czy ktoś może to uzupełnić? Wiemy coś więcej? Karpiel, dowiedziałeś się czegoś o Lewcunie od swojego ojca?

Karpiel poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Teraz albo nigdy, pomyślał. Jeśli tego nie powie, potem już się nie wytłumaczy, dlaczego coś wiedział i to zataił. Ale powiedzieć o matce? Wyobrażał sobie, jak zareagują. Będą wzburzeni, spojrzą na niego ze współczuciem, ale tylko na początku. Najgorsze, że od tego momentu będą podejrzliwie patrzyli na jego działania w śledztwie. Straci wiarygodność bezstronnego śledczego. Pamiętał historię sprzed dwóch lat, kiedy w Zakopanem prowadzono dochodzenie w sprawie śmierci człowieka, który potrafił kiedyś jego siostrę i zrobił z niej kalekę. Przez chwilę Karpiel był nawet jednym z podejrzanych. Nie, nie chciał znowu przez to przechodzić.

– Ojciec powiedział tylko, że według niego Lewcun był nierobem i cwaniakiem, który robił karierę, wykorzystując innych. – Karpiel starał się, żeby jego głos brzmiał normalnie. I odetchnął z ulgą, że ma to już za sobą i jakoś wybrnął z sytuacji.

– Tak? – Hermann był wyraźnie poruszony. – Więc jednak się potwierdza, że miał sporo na sumieniu. To niestety poszerza krąg podejrzanych. Kto wie, ilu ludziom w ciągu ostatnich lat zrobił krzywdę...

– Może na razie powinniśmy trzymać się tropów, które już mamy. To i tak sporo roboty – odezwał się Derebas. – Jeśli z tego nic nie wyjdzie, będziemy drążyć dalej.

– No dobra, więc teraz Sprzątacze – kontynuował Hermann, kiwając głową na znak, że zgadza się ze strategią zaproponowaną przez Derebasę. – Nadal nie możemy rozgryźć jego rzekomej wskazówki. Co znaczy: „Spójrzcie na to chłodnym okiem”? Uznaliśmy, że to sugestia, żebyśmy jeszcze raz uważnie obejrzel film. Zrobiliśmy to z Karpiem wiele razy i nic. Może i wy powinniście to zobaczyć? – Hermann spojrzał na Derebasę i Szeligę. –

Może wam coś rzuci się w oczy? Co poza tym? Mamy jego rysopis. Trzeba go pokazać w fundacji. Sobczykowi, jego żonie, może także innym pracownikom. Skoro spotkaliśmy go w wejściu do budynku, może kręcił się tam częściej. Może to po prostu klient PioMaru? Karpiel, masz się tym zająć (Karpiel skinął głową, że się zgadza). Ciągle się zastanawiam... – Hermann zawiesił głos – zastanawiam się, czy to ktoś stąd, czy nie. Mam wrażenie, że dobrze zna miasto. Zniknął wtedy na tych Krupówkach tak nagle. Jakby zapadł się pod ziemię. Może gdzieś tam mieszka... Ale z drugiej strony wielu ludzi dobrze zna Zakopane, mimo że tu nie mieszkają, więc to nie musi nic znaczyć...

Derebas uniósł rękę jak dziecko w szkole, które chce coś powiedzieć, jednak Karpiel, który najwyraźniej tego nie zauważył, odezwał się pierwszy:

– Niepokoi mnie to, że tak wiele odbywa się poza nami. Nie macie takiego wrażenia? Sprzątacze zachowuje się tak, jakby wiedział, co robimy. Media dużo wiedzą o tej sprawie, nie wiadomo skąd. Mają film i zachowują się tak, jakby nas w ogóle nie potrzebowały... Ktoś to rozgrywa za naszymi plecami, nie sądzicie?

– Może to właśnie Sprzątaczkę? – podsunęła Szeliga, która do tej pory siedziała cicho i tylko przysłuchiwała się rozmowie. – Może to on dostarcza tych materiałów i urządza sobie zabawę? A z drugiej strony... – nagle urwała.

– Co „z drugiej strony”? Mów! – zniecierpliwiał się Hermann. – Szukamy pomysłów. Wszystko, co nam przychodzi do głowy, może być jakimś tropem.

– Przepraszam, że tak mówię – podjęła Szeliga. – Pomyślcie, że mam jakieś babskie skrzywienie, ale po tym, co usłyszałam od wdowy, nie mogę sobie wyobrazić, że nie chodzi o zemstę jakiejś kobiety... To był straszny facet, pogardzał kobietami... Nie tylko swoją żoną. Wszystkimi...

Karpiel znowu poczuł, że kurczy mu się żołądek. Miał to już prawie na końcu języka: tak, to prawda, miał ochotę wyrzucić to wreszcie z siebie, z Lewcuna był drań, jakich mało, skrzywdził też moją matkę. Zaciśnął jednak zęby i przetrzymał to i tym razem.

– No ale co w związku z tym? – spytał Derebas. – Jak szukać tych kobiet? Kogo pytać? W tym momencie w kręgu podejrzeń byłaby przede wszystkim żona Lewcuna, ale podobno ma alibi...

– Jeszcze to sprawdzę, ale wygląda na to, że była w tamtym czasie w Nowym Sączu u siostry – wtrąciła Szeliga.

– ...poza tym mamy jeszcze Sobczykową, która leży umierająca w domu i – nawet biorąc pod uwagę hipotetyczną możliwość, że to mogłaby być ona – ma alibi na czas zabójstwa. Wśród pracowników fundacji są jeszcze cztery kobiety, ale sprawdziliśmy – też nie mogły tego zrobić – podsumował Derebas.

– Nie zapominajcie o Sepiole – powiedział Karpiel. – Jeśli to prawda, co mówił, ktoś urządził sobie konkurs na zbrodnię. A więc skoro on dostał propozycję zlikwidowania Lewcuna za spłatę długów i miał mieć na plecach piątkę, a morderca nosił czwórkę, musi to oznaczać...

– ...że było jeszcze, poza nim i mordercą, co najmniej trzech potencjalnych kandydatów, którzy też dostali ofertę – dokończył Hermann. – A więc mamy dwóch albo dwoje sprawców. Kogoś wybranego spośród pięciu kandydatów oraz kogoś, kto to zlecił. I w ten sposób w pewnym

sensie te wszystkie alibi są nic niewarte. Ktoś zabił Lewcuna, ale zaplanowała to inna osoba.

– No tak, oprócz zabójstwa jeszcze podżeganie i pomocnictwo. Robi się ciekawie... – Szelię westchnęła.

– Jeśli to w ogóle prawda – zastrzegł Derebas. – Sprawdziliśmy komputer Sepioła. Żadnych śladów tego mejla z ofertą zabójstwa. Informatycy w komendzie twierdzą, że to niemożliwe, żeby to tak zniknęło... Bez śladu...

– A ja słyszałem gdzieś o takiej technologii. – Hermann zmarszczył czoło. – Jacyś amerykańscy geniusze podobno już to wymyślili. Właśnie coś takiego, że można bez śladu wycofać już wysłanego mejla.

– Cudowny pomysł! – Szelię się roześmiała. – Trochę związków mogłoby się przez to uratować. Wyobraźcie sobie: wkurzony chłopak wieczorem rzuca dziewczynę i wysyła jej mejla z bluzgami, a przez noc mięknie, rozumie, co stracił, wstaje wcześniej rano i go wycofuje, a potem jak gdyby nigdy nic idzie do niej z kwiatami...

Pozostali też się uśmiechnęli, kiwając głowami, jakby wyobrazili sobie tę sytuację.

– Tak właściwie takie wycofanie już wysłanego mejla jest możliwe – stwierdził Karpel. – Niektóre portale obsługujące pocztę już to oferują. Ale, po pierwsze, musi się to odbyć w określonym czasie po wysłaniu, po drugie, jeśli ktoś ściągnie taką wiadomość na swój komputer albo zrobi na przykład zrzut ekranu, to przepadło. A tu, z tego, co rozumiem, nie ma nic. To trochę tak, jakby wiadomość zostawiała w komputerze wyraźny ślad, po którym specjalne oprogramowanie do niej dociera i ją kasuje. Dziwne...

– Jest jeszcze motyw wysuwany przez Sobczyków – kompromitacja ich fundacji – przypomniał Hermann. – Nie uważacie jednak, że to trochę zbyt naciągane? To miałyby sens wtedy, gdyby okoliczności zbrodni jednoznacznie wskazywały na nich. A te wszystkie historie ze Sprzątaczem, z numerami na plecach, to jest zbyt odległe od takiego zamysłu. Chyba że wyjdzie jeszcze na jaw coś, o czym nie wiemy. Ja zostawiłbym sobie ten motyw w rezerwie...

– Bo ja wiem... – mruknął Derebas w zamyśleniu. – Chodzi o naprawdę

grubą kasę. Myślę, że to możliwe.

– Mam pomysł – oznajmił Karpiel. – Znam dość dobrze dziennikarza, który opisuje sprawę w „Dzienniku”. Spotkam się z nim, pociągnę go za język, może powie, skąd ma te informacje o sprawie. A przy okazji dowiem się może czegoś więcej o aferze z zabytkami wykupionymi przez Sobczyków. Potem porozmawiamy z tymi, których Sobczyk podkupił. No i koniecznie trzeba przesłuchać Strączka. To od niego Sobczyk odkupił galerię przy Krupówkach. Też go na pewno nie kocha.

– I jest jeszcze jedna kobieta, z którą dotąd nikt nie rozmawiał, Anna Kowalska – przypomniała Szeliga. – Jakoś też wiąże się z tą sprawą. Jej nazwisko ciągle gdzieś wypływa...

– Racja, chciałem, żeby porozmawiał z nią Karpiel, bo był przy naszej rozmowie z Sobczykową, ale jeśli masz ochotę w tym uczestniczyć, to proszę bardzo. Przyda się kobiecie spojrzenie – odrzekł Hermann.

Aspirant Szeliga uśmiechnęła się w odpowiedzi i spojrzała z triumfem na Derebas, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, ktoś mnie tu jednak docenia”.

– Czy coś jeszcze przychodzi wam do głowy? – Hermann powiódł wzrokiem po zebranych. – Sławek, ty coś chciałeś wcześniej powiedzieć.

– Coś mi zaświtało na sekundę w głowie, ale potem umknęło. – Derebas uśmiechnął się przepraszająco. – Może mi się przypomni.

– A ja mam jeszcze taką myśl à propos tego podżegania, czyli konkursu na zabójstwo – odezwał się Karpiel. – Przecież w tym punkcie lista podejrzanych nam się jednak znacznie skraca.

– To znaczy? – Hermann spojrzał na niego z ciekawością.

– Ktoś się zaoferował, że spłaci długi Sepioła, tak? Z tego, co wiemy, kilka milionów. A ile osób w Zakopanem na to stać?

– No, kilka by się znalazło – powiedział Derebas. – Ale jednych stać na to bardziej niż kogokolwiek innego.

Wszyscy spojrzeli na siebie znacząco.

– To prawda. Ich na pewno byłoby na to stać – zgodził się Hermann.

## 51.

Kiedy Karpiel poznał Elę, właśnie zaczęła wychodzić na prostą. Była krótko po powrocie z kolejnego odwyku, poszła na zaoczne studia do Krakowa, odcięła się od starego kręgu znajomych, którzy od kilku lat ciągnęli ją na dno, a rany po wkłuciach w różnych miejscach ciała zaczęły się goić i zamieniać w blizny.

Swoją historię opowiedziała Karpielowi na ich trzecim albo czwartym spotkaniu. Karpiel coś wyczuwał, bo Ela była bardzo skryta, a on szybko zauważył, że wprawdzie chętnie słucha jego opowieści o zwariowanych kumplach i ich sztubackich przygodach, lecz w odpowiedzi tylko się uśmiecha i milczy. Był już w niej jednak zakochany po uszy i ignorował wszelkie myśli, które mogłyby go od niej oddalić. Potem, kiedy rozeszło się po mieście, że się spotykają, a wystarczyło na to zaledwie kilka tygodni, zaczęły się znaczące miny i aluzje jego znajomych. Karpiel zbierał się na odwagę, żeby coś z tym zrobić, w myślach układał sto różnych wariantów pytań, które miał jej zadać, ale wtedy nieoczekiwanie sama wszystko mu powiedziała.

Siedzieli w parku na ławce, tym razem to ona mówiła, a on słuchał, i z każdym jej słowem krew coraz bardziej uderzała mu do głowy. Drewno ławki powoli zamieniało się w rozżarzone węgle, chciał wstać, biec, zniknąć, tak, najbardziej chciał wtedy zapaść się pod ziemię.

Ale jednak został, może po prostu z tchórzostwa, a może ponieważ zobaczył, że cała drży, i zrozumiał, ile ją ta rozmowa kosztuje.

Dużo było tego, jak na jeden raz. Opowiadała o tym, jak wzięła pierwsze ecstazy na dyskotecę, jak odkryła, że łatwo, dziecinnie łatwo znaleźć w Zakopanem dilera, jak brała coraz mocniejsze rzeczy, jak przez pierwszych pięć lat udawało jej się skutecznie ukrywać uzależnienie, aż w końcu zaczęła brać heroinę i wszystko pękło. Opowiedziała o wieczorze,

gdy zawalił jej się świat, kiedy rodzice przyłapali ją naćpaną na kradzieży pieniędzy z portfela ojca. Zbił ją wtedy i zamknął na tydzień w mieszkaniu. Tylko na tydzień, bo potem uciekła i uznała, że teraz ma więcej powodów, by ćpać. Odwyków było kilka, w tym jeden we Francji, załatwiony po znajomości i bardzo drogi. Stamtąd też uciekła, ale nie wróciła już do domu, zatrzymała się u znajomych na Olczy, narkomanów jak ona. Wtedy już nie miała oporów, żeby oddawać się za pieniądze, tak zarabiała na swoją część czynszu... I na dragi...

Zamilkła, wiedziała, że to będzie dla Karpiela najtrudniejsze. I dla niej też.

Karpiel nic nie mówił. Siedział sztywno na ławce ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt w oddali i milczał.

– Nie biorę od trzech lat – podjęła po chwili. Ona też nie patrzyła na Karpiela, tylko przed siebie. – Mam pracę, zaczęłam studia... I bardzo cię lubię.

Po czym wstała i odeszła.

## 52.

– No proszę, kto to do mnie dzwoni? Komisarz Tomasz Karpiel, nie wierzę – odezwał się w słuchawce męski głos.

Karpiel pomyślał, że Roman Zatorski Tatar, redaktor „Dziennika Tatrzańskiego”, musiał mieć zapisany jego numer w komórce jeszcze z dawnych czasów, kiedy Karpiel pracował jako komisarz w zakopiańskiej komendzie. Było dla niego jasne, że dziennikarze kolekcjonują kontakty i na wszelki wypadek nigdy ich nie usuwają, bo przecież nie wiadomo, kiedy stary znajomy znowu przyda się w jakiejś sprawie jako źródło informacji. On sam też tak robił, w efekcie w spisie numerów często natrafiał na nazwiska, które nic mu nie mówiły. Niektóre z nich należały do osób, które zmarły jakiś czas temu albo po prostu zniknęły gdzieś w świecie i nie miał z nimi do czynienia od wielu lat.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiał z Zatorskim. To musiało być dawno temu, chyba zanim rzecznikiem komendy została Szeliga, bo potem to ona stała się siłą rzeczy pierwszym kontaktem dla mediów, zresztą bardzo lubianym. Wiadomo, jeśli dziennikarz ma do wyboru porozmawiać z inteligentną i piękną kobietą albo z innym mężczyzną, prawie na pewno wybierze to pierwsze. No, chyba że to dziennikarka, wtedy bywa różnie. Karpiel dobrze wiedział, że niektóre redaktorki nie znosiły Szeligi, zresztą z wzajemnością.

Zatorskiego znał dobrze z czasów szkolnych. Byli rówieśnikami, uczyli się w liceum w równoległych klasach. Przez pierwsze dwa lata mijali się na korytarzach, kiwając sobie głową na powitanie. Poznali się bliżej, gdy przy szkole powstał klub kick-boxingu. Roman miał już wtedy ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył z dziewięćdziesiąt kilogramów. Potem jeszcze trochę urósł i zmężniał. Na treningach wszyscy unikali, jak mogli, starć z wielkoludem, Karpiel na początku też. Aż pewnego dnia zauważył, że



nadrabiając zwinnością i szybkością, potrafi sobie z nim poradzić, i od tamtej pory często ćwiczyli razem. Nie przeniosło się to jednak na zażyłość towarzyską, nie spotykali się poza treningami i Karpiel nie potrafił sobie teraz przypomnieć, dlaczego tak było. Może po prostu i w męskiej przyjaźni potrzebna jest jakaś chemia? Na czas studiów stracili się z oczu, choć spotkali się raz czy dwa w Zakopanem, dlatego Karpiel wiedział, że Roman poszedł do Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, potem jednak zrezygnował z kariery w armii i przez kilka lat był korespondentem wojennym. Jeździł po świecie i pisał dla różnych gazet, niektórych całkiem dużych i znanych, aż wreszcie wrócił do Zakopanego, założył rodzinę i znalazł pracę jako dziennikarz, najpierw w lokalnej rozgłośni radiowej, a potem w „Dzienniku”.

– Cześć, Romek – rzucił Karpiel. – Masz chwilę?

– Chwilę mam. Ale krótką. Siedzę nad artykułem do jutrzejszego wydania. Muszę go zaraz oddać, bo mi naczelny głowę urwie. Wiesz, jak jest...

– Wiem. Czyli nie ma szans na piwo gdzieś w mieście?

– No nie, dopiero jutro. A chcesz pogadać o starych dobrych czasach czy to coś pilnego? Jak pilne, to możemy teraz przez telefon? Możemy? –

Karpiel zastanawiał się przez kilka sekund. – No dobra, szkoda czasu na zabawy w kotka i myszkę, Tomek – powiedział dziennikarz, nie mogąc się doczekać odpowiedzi. – Wiem, że prowadzisz śledztwo w sprawie zamordowania Lewcuna. Nie jestem głupi, więc domyślam się, że dzwonisz w tej sprawie, bo ty z kolei wiesz, że ja o tym piszę. Jest tak?

– Skąd wiesz o śledztwie? – spytał zaskoczony Karpiel.

– Jak to skąd? Jestem dziennikarzem, nie? – Zatorski się zaśmiał. – To moja praca wiedzieć takie rzeczy. Zakopanego nie znasz? Tu nic się nie ukryje. Słyszałem, że węszysz w tej sprawie z tym twoim Hermannem z Warszawy. Chodźcie, pytacie... Plotka głosi, że nadał to wam komendant Derebas. To znaczy były komendant, bo właśnie wyleciał na wcześniejszą emeryturę. Zgadza się?

– Do czego się zresztą przyczyniłeś swoimi tekstami i tym cholernym filmem – zauważył Karpiel.

– Tak? Przykro mi. Nic do niego nie mam. Dziś takie czasy. Nigdy nie wiadomo, jakie konsekwencje będzie miał materiał, który się opublikuje. Gdybym się nad tym zastanawiał, to musiałbym zająć się czymś innym, a nic innego nie potrafię. Więc sorry, kolego...

– Romek, przestań pieprzyć – prychnął poirytowany Karpiel. – Macie materiały z pierwszej ręki. Wiem, że nie od policji, więc skąd? Nawet nie dzwonicie na komendę, żeby się czegoś dowiedzieć. Ktoś wam to podał na tacy i nadal to robi. To samo z filmem. Jakim cudem do niego dotarliście? Nie macie go od nas ani od Sobczyka, więc skąd?

– Tomek, litości, no chyba nie myślisz, że zdradzę ci moje źródło? Nie jestem samobójcą. Ta sprawa to dla gazety żyła złota. Wiesz, jaki mamy teraz nakład?

– Gównu mnie to obchodzi. Posłuchaj, skoro tyle wiesz, to pewnie i to, że nasze śledztwo jest nieoficjalne. Nigdzie, w żadnych aktach nie pojawi się twoje nazwisko, jasne? Ale potrzebuję tej informacji, żeby złapać mordercę. Możesz mieć gdzieś Derebasa czy mnie, ale po twoim rodzinnym mieście grasuje zabójca i to powinno cię trochę ruszyć. Ty też masz tu żonę i dzieci. Nie martwi cię to?

W odpowiedzi Karpiel usłyszał w słuchawce śmiech.

– No, komisarzu Karpiel, to teraz pojechałeś ostro. Naprawdę myślisz, że mnie ruszają takie teksty? Nie wiesz, z kim rozmawiasz? Jestem zgorzkniałym, pozbawionym sumienia przedstawicielem mediów dwudziestego pierwszego wieku. A rzeczywistość, w której żyję, jest brutalna: albo mam temat i dobry tekst, albo tracę robotę...

– Więc czego chcesz? Jaka jest cena? – spytał oschle Karpiel.

Zapadła cisza.

– Daj mi chwilę. Dziesięć minut. Muszę pomyśleć. Oddzwonię. Słowo.

I Zatorski się rozłączył.

Zadzwonił po kwadransie.

– Okej, stawiam trzy warunki – powiedział bez żadnych wstępów.

– Słucham.

– Po pierwsze, po wszystkim, kiedy zakończycie sprawę i będziecie go mieli, spotkamy się i zdasz mi dokładną relację z waszego śledztwa, ze

wszystkimi szczegółami. Oczywiście na wyłączność.

– A drugi warunek?

– Powiem ci, skąd mam materiały, ale dopiero jutro. W miejskim parku przy kortach o dwunastej. Zgoda?

– Zgoda.

– A trzeci?

– Spotkamy się na macie jak za dawnych czasów. Dam ci znać, kiedy i gdzie.

## 53.

Anna Kowalska była typem sportowca. Szczupła, wręcz wyżyłowana, ładnie opalona. Ubrana tak, jakby prosto z kawiarni, w której siedzieli z Karpiem i Szeligą, miała wybrać się w góry. Bładoniebieski elegancki polar, pod nim biała sportowa, syntetyczna koszulka, na szyi kolorowy buff, całości dopełniały lekkie spodnie i niskie buty trekkingowe. Włosy – po niewielkich odrostach widać było, że jasny blond to tylko farba – nosiła obcięte krótko, na chłopaka. Na opalonej twarzy co chwila pojawiały się mimiczne zmarszczki, które (według Karpiela) dodawały jej uroku i oznajmiały światu, że duchem jest o wiele młodsza niż metryką. Musi być po pięćdziesiątce, pomyślał Karpiel, patrząc na nią. Głos miała dość niski, przyjemny. Mówiła szybko, żywo przy tym gestykulując.

Siedzieli na tarasie kawiarni STRH, czyli popularnego Strychu przy dolnych Krupówkach. Było koło południa i wrześnie słońce pozwalało jeszcze na takie ekstrawagancje. Później, gdy tylko słońce zniknie za górami, prawie na pewno zrobi się zimno i nie pomogą nawet koce przewieszane przez oparcia krzesel. Z wysoko położonego tarasu mieli wyborny widok na Krupówki z jednej strony i góry z drugiej. Na deptaku był ruch, wrzesień to może już nie szczyt sezonu, lecz w mieście wciąż jeszcze pełno było ludzi. Góry z tej odległości wydawały się nietknięte ludzką stopą, choć na szlakach było pewnie mnóstwo turystów.

Karpiel miał ogromną ochotę na papierosa, bo lubił palić w podobnych okolicznościach, to znaczy popijając kawę w kawiarni z widokiem na góry, obawiał się jednak, że Kowalska może coś mieć przeciwko temu i nawet jeśli tego nie przyzna i powie grzecznie: „Czemu nie? Proszę zapalić”, może to sprawić, że rozmowa będzie krótsza, bo dym z papierosa ją odstraszy. A Szeliga? Pali? Karpiel próbował sobie przypomnieć. Powinien wiedzieć, bo przecież kiedyś, bardzo dawno temu, przez chwilę byli razem. Krótko, bo

krótko, ale jednak. On wtedy palił, a ona? Nie pamiętał...

Ta kwestia wyjaśniła się w chwili, gdy Kowalska sięgnęła do małego plecaka i wyjęła z niego paczkę cienkich mentolowych papierosów. Położyła ją na stoliku, po czym spojrzała pytająco na Szeligę i Karpiela. Aspirant Szeliga uśmiechnęła się przyzwalająco, dodając krótkie: „Ależ proszę”, a Karpiel z niewyobrażalną ulgą sięgnął do kieszeni kurtki po camele.

– No więc od czego mam zacząć? – spytała Kowalska, zaciągając się papierosem.

– Od alibi pani Sobczyk na piątek dwunastego września. A dokładniej rzecz ujmując, godziny wieczorne i nocne – odpowiedział Karpiel.

– No tak, potwierdzam. Byłam tam tego wieczoru i siedziałyśmy do późna w nocy. Rozmawiałyśmy...

– O czym? – chciała wiedzieć Szeliga.

Kowalska zwlekała z odpowiedzią. Zaciągnęła się dwa razy, zgasiła wypalonego do połowy papierosa i dopiero wtedy odpowiedziała:

– To chyba nie jest już takie ważne o czym. Marysia umiera, więc... chodzi o to, żeby przy niej być. I żeby to było coś naturalnego, niewymuszonego. Więc i te rozmowy takie są. O wszystkim i o niczym, o ważnych sprawach i o bzdetach. Trochę miejskich spisków, trochę babskich plotek. Są i żarty, i sentymentalne wspomnienia, wzruszenia. Wszystkiego po trochu. Lubimy się, to i rozmawia nam się łatwo...

– Przepraszam, że o to spytam, bo to chyba trochę niedelikatne – przerwała jej Szeliga. – Ale czy to nie jest zbyt wyczerpujące dla tak chorej kobiety? Czy, mówiąc wprost, jej to nie szkodzi? Takie długie rozmowy w nocy muszą ją bardzo dużo kosztować...

– I tak, i nie. Fizycznie pewnie tak jest, ale, wie pani, jej zdrowie fizyczne to już od dawna przegrana sprawa, i ona o tym dobrze wie. Teraz chodzi już tylko o to, żeby godnie odejść. Godnie, pogodnie, jako ktoś pogodzony z życiem... sama nie wiem jak, nie jestem psychologiem. Ale jestem jej przyjaciółką i wygląda na to, że ma tylko mnie i męża na tej swojej ostatniej drodze.

– No właśnie, a jak to się stało, że się panie tak zaprzyjaźniły? – zainteresował się Karpiel.

– Ach, to był właściwie przypadek, choć ja wierzę, że nasze drogi i tak jakoś prędzej czy później musiały się przeciąć – uśmiechnęła się. –

Poznałyśmy się w teatrze, tu, w Zakopanem. Siedziałyśmy obok siebie podczas spektaklu, razem wyszłyśmy na przerwę i od słowa do słowa okazało się, że teatr to nasza pasja. Ja studiowałam teatrologię, przez jakiś czas nawet reżyserowałam, a Marysia prowadziła w Stanach amatorski teatr, więc od razu znalazłyśmy wspólny język. I tak nam się fajnie gadało, że umówiłyśmy się na kawę następnego dnia, a potem to już poszło... Poza pasją do teatru zbliżyło nas pewnie to, że byłyśmy w podobnej sytuacji: przeniosłyśmy się do Zakopanego mniej więcej w tym samym czasie i nie miałyśmy zbyt wielu znajomych. Co prawda Marysia tu się urodziła, ale wyjechała stąd lata temu i nie miała żadnej rodziny... Ja też jestem sama.

– A kiedy dowiedziała się pani, że...

– Że jest tak obrzydliwie bogata? – Kowalska się roześmiała. – Coś tam mi napomknęła podczas tej pierwszej kawy. Że założyli z mężem fundację i chcą wspierać różne inicjatywy. Pomyślałam sobie, że mają parę złotych i coś tam dobrego robią, ale że dwa miliardy? Ja wtedy od niedawna byłam prezesem Stowarzyszenia Ochrony Zabytków. Nie mam rodziny, więc się realizuję w takich różnych sprawach. A architektura tutaj – machnęła ręką – sami widzicie, co tu się dzieje. Zbrodnia! Ale wiecie, takie stowarzyszenia ze składek to mają dosłownie grosze, na znaczki pocztowe może wystarczy...

– I zwróciła się pani o pomoc do Sobczyków? – spytał Karpiel.

– Nie tak od razu. Szczerze mówiąc, było mi trochę głupio. Wiecie, gdy się poznaje miłą osobę, to zawsze strach, że gadanie o pieniądzach może coś zepsuć. Bałam się, że pomyśli, że się do niej przykleiłam ze względu na te miliardy. A ja ją bardzo polubiłam. Wkrótce poznałam jej męża i do niego też poczułam sympatię. To naprawdę świetni ludzie. No, ale Marysia sama wkrótce powiedziała, że gdybym czegoś potrzebowała, to chętnie pomoże.

– Tylko że z tego, co wiemy, chodziło o wiele większe pieniądze niż parę złotych na znaczki – wtrąciła Szeliga.

– Aaa, ma pani na myśli te zabytki? No cóż, przyznaję, to był mój pomysł. Trochę szalony, ale... – Kowalska pochyliła się do przodu, jakby

chciała im zdradzić jakąś tajemnicę. – To było tak... – zaczęła poważnie. –

Na spotkaniach stowarzyszenia to był stały temat: jakie zabytki są zagrożone, co można zrobić, żeby je uratować, do kogo uderzyć, kogo zawiadomić, do kogo jeszcze napisać list protestacyjny. Ale to wszystko podszyte było rezygnacją, przekonaniem, że to tak czy inaczej walka z wiatrakami, bo po drugiej stronie stoi pieniądz, chęć zysku i wpływy ludzi, którzy w dupie mają to miasto, bo chodzi im o własny interes. Kolejne protesty nic nie przynosiły, ludzie się zniechęcali, odchodzili... Jak myślicie, jak to się stało, że byłam tu tak krótko i od razu zostałam prezesem? Ja nawet nie jestem z wykształcenia architektem ani historykiem sztuki. No, coś tam wiem, bo mój ojciec pracował przez lata jako konserwator zabytków, ale że tak szybko wybrali taką babę z zewnątrz jak ja? Dlaczego? Proste: bo nikt już nie chciał. Bo wszyscy stracili wiarę, że coś można z tym zrobić. A na kolejnym spotkaniu dowiadaliśmy się, że następny obiekt z rejestru zabytków zamienił się w kupę popiołu po tajemniczym pożarze lub został rozebrany w ciągu jednej nocy. Albo poznawaliśmy projekt przebudowy starej pięknej willi na jakiś koszmarny hotel. Ta bezsilność była porażająca. Lament i płacz...

– I wtedy pojawia się Maria Sobczyk ze swoimi ogromnymi pieniędzmi... – podsunął Karpiel.

– Cud, prawda? – Anna Kowalska nadal miała poważną minę. – W tamtym czasie spotykałam się z Marysią bardzo często. Już nie ukrywała przede mną, że jest śmiertelnie chora, a ja pomagałam jej, jak potrafiłam. Wiadomo, że mogła sobie opłacić najlepsze pielęgniarki na świecie, ale to nie ten typ człowieka. Strasznie ją irytowało, że ktoś krząta się wokół niej za pieniądze, dlatego chętnie przyjmowała moją opiekę. I przyjaźń. Spotykałyśmy się więc bardzo często i rozmawiałyśmy. Kiedyś opowiedziałam jej o tych zabytkach, że mamy taką listę najbardziej zagrożonych, że boimy się, że wkrótce ktoś się nimi „zaopiekuje”. I ona po pewnym czasie mówi do mnie: „Daj mi tę listę”. Dałam. A potem rozmawiałam z Piotrem. Usiedliśmy kiedyś na kilka godzin i omówiliśmy dom po domu, obiekt po obiekcie. Aż wreszcie powiedział: „Zostaw to mnie”.

– Kurczę, jak w jakimś filmie – powiedział Karpiel z uśmiechem.

– Tak. Jak w jakimś filmie.

Nagle Kowalska spojrzała na zegarek i szybko wstała z fotela.

– Ojej, już późno. Proszę wybaczyć, ale muszę się zbierać, mam spotkanie. Jeśli będziecie mieli jeszcze jakieś pytania, chętnie odpowiem kiedy indziej...

– Jedno mam już teraz – powiedział Karpiel, też wstając. – Wspomniała pani, że Maria Sobczyk urodziła się w Zakopanem. Naprawdę? A nam powiedziała coś innego: że była tu tylko raz ze szkolną wycieczką.

Anna Kowalska znieruchomiała zaskoczona. Przez kilka sekund wpatrywała się w Karpiela zmrużonymi oczami.

– Tak powiedziałam? Ja? Nie, chyba się przesłyszeliście.

– Tak pani powiedziała – potwierdziła Szeliga.

– Więc coś musiałam pomylić. Albo się przejęzyczyć. Na pewno tak było.

Wzięła plecak i prawie wybiegła z tarasu. Szeliga sięgnęła po leżące na stoliku paczkę cameli Karpiela i zapalniczkę, wyjęła jednego papierosa, zapaliła, wypuściła dym ustami i powiedziała z uśmiechem do Karpiela:

– Kłamczucha.



## 54.

Karpień jechał do biura Fundacji PioMar. Stał w niewielkiej grupce ludzi czekających na zielone światło na skrzyżowaniu Kościuszki i 3 Maja. Mimo szumu przejeżdżających samochodów usłyszał krótką wymianę zdań za swoimi plecami.

Zaczął młody dziewczęcy głos:

– Ale tu super jest, nie? Lubię, jak jest tyle ludzi, jak się tyle dzieje. To takie żywe i takie... wakacyjne.

– No właśnie. Jakby tu zawsze był luz, nie? Taki gwar jak w sezonie nad morzem. Tu pewnie cały rok tak jest. Fajnie by było tu mieszkać – odpowiedział również młody męski głos.

– No właśnie, hałas, chaos i bładziewie. Chińszczyzna i tandeta – teraz mówił starszy mężczyzna. – Naprawdę wam się tu podoba? Ale co? Dawniej Zakopane to było coś, to było wyjątkowe miejsce. Zimą narty, latem góry i wysoka kultura. Dziś jest tu rzeczywiście jak na koloniach nad morzem w wakacje... Ostatni raz tu przyjechałem... Straszne miejsce...

Karpień uśmiechnął się do siebie. Boże, ile razy już to słyszał? A ile razy sam brał udział w takich dyskusjach? Ten dwugłos o Zakopanem stał się przekleństwem miasta. Co lepsze: ostateczne poddanie się masowej turystyce i życie w atmosferze wiecznego jarmarku czy jednak dążenie do zachowania jakiegoś charakteru, wyjątkowego klimatu miasta pod Tatrami? Zwykle kończyło się na gadaniu, najwyżej powstawał jakiś strasznie ważny dokument, strategia albo program, a Zakopane i tak brnęło w niemoc i bałagan doraźnych rozwiązań i pomysłów kolejnych włodarzy. No cóż...

Nie mógł się powstrzymać, żeby nie odwrócić się dyskretnie przez ramię i przyjrzeć stojącym za nim ludziom.

W tej samej chwili usłyszał, jak ktoś wykrzykuje jego imię. Spojrzał przed siebie i zobaczył, że na pasach, tuż przed nim, zatrzymał się duży

czarny van. Drzwi się rozsunęły, z jego wnętrza wychynął mężczyzna w granatowym garniturze i wołał:

– Panie Tomku! Panie komisarzu!

Karpiel poznał Leonarda Cyrwusa, burmistrza Zakopanego. Długa rudosiwa broda i okulary w brązowych staroświeckich, rogowych oprawkach. Niewiele się zmienił od czasu, kiedy przed dwoma laty Karpiel prowadził sprawę tajemniczej śmierci jego brata, Alberta Cyrwusa, człowieka, który kiedyś potrafił jego siostrę Zosię i zrobił z niej kalekę.

Karpiel nie lubił burmistrza. Wydawał mu się uosobieniem aroganckiego urzędnika, który traktuje ludzi z góry, jak swoich poddanych. A może jestem po prostu uprzedzony do polityków? – zastanawiał się. Czego on może ode mnie chcieć? Nie widzieli się od czasu sprawy jego brata i nie rozstali w przyjaźni.

– Panie Tomku, proszę wsiąść na chwilę. – Burmistrz się uśmiechnął i wykonał zapraszający gest ręką. – Dobrze, że pana tak spotkałem. Mam sprawę. Proszę. – I znowu ten gest, tym razem bardziej energiczny.

W tej chwili głośnik dla niewidomych zainstalowany w sygnalizacji zaczął charakterystycznie pojękiwać, obwieszczając, że zapaliło się zielone światło. Karpiel poczuł ruch za swoimi plecami i chcąc nie chcąc, zrobił krok w stronę auta. Zrobiło mu się głupio, że przez niego van wciąż stoi na pasach i blokuje przejście, więc po sekundzie wahania wskoczył do samochodu, zasuważąc za sobą ciężkie drzwi.

Uścisnął bez entuzjazmu rękę burmistrza, jednak na odwzajemnienie uśmiechu się nie zdobył.

– Panie Tomku! Doskonale, że pana spotkałem. Ktoś mi mówił, że widział pana na mieście, ale nie mam do pana numeru, a chciałem zamienić parę słów... Ale na szczęście tak się złożyło, że na pana wpadłem. Wracam do urzędu, wpadnie pan na kawę, co? Zapraszam. Pogadamy...

– Skoro mnie pan tak zgarnął z ulicy... Ale tylko na pół godziny, bo jestem umówiony.

Po chwili siedział w małym saloniku na skórzanej kanapie w kolorze écru i wpatrywał się w obraz przedstawiający molo w Sopocie, partnerskim mieście Zakopanego. Sekretarka postawiła filiżankę z kawą na szklanym

stoliku, a po minucie czy dwóch pojawił się burmistrz, rozsiadł w fotelu, spojrzął na Karpiela zza szkieł swoich dziwnych okularów i zaczął mówić:

– Zakładam, że słyszał pan już o staroście? Tak? No cóż, taki los polityka. Każdego z nas może to prędzej czy później spotkać. Serio, ja się z tym liczę. A jego ostrzegałem, ale nie słuchał. Źle to rozegrał, stracił na chwilę czujność i go odstrzelili. Wie pan, starostę wybiera rada i może go w każdej chwili odwołać. On miał tam jeden głos większości. Jeden z jego radnych zachorował, drugi poleciał na ślub do córki do Stanów, dwóch następnych opozycja przeciągnęła na swoją stronę i już po przewadze. Ale – zawiesił głos i pochylił się w stronę Karpiela – ale wie pan, pana sprawy to wcale nie zamyka. Nadal jest szansa, gdyby pan chciał zostać komendantem... Mam tu w końcu coś do powiedzenia... Co, dziwi się pan, że wiem? Ja tu o wszystkim wiem, panie Tomku. To moje miasto...

Co jest, kurwa? – pomyślał Karpiel. Czy to się nigdy nie skończy? Już się przecież od tego uwolnił, już wybrał. Warszawę i Elę. Wybrał spokój, wygnanie, tęsknotę i wyrzuty sumienia, że tak dużo tu zostawia. Ślepego ojca, starą matkę i siostrę kalekę. Ale wybrał. Postawił kropkę. Pogodził się z tym, ale nie przespał ani jednej nocy, dręcząc się, paląc papierosa za papierosem i pijąc wódkę do lustra. Zamknął temat. Jak Cyrwus śmie znowu otwierać te drzwi i mącić mu w głowie? Jak on może? Nie, kurwa...

– Nie, kurwa – usłyszał, jak jego własny głos wypowiada tę myśl.

– Słucham? – spytał zaskoczony Cyrwus.

– Nie. Myli się pan. Sprawa jest już zamknięta. Albo inaczej: nie ma już sprawy. Nie chcę być komendantem.

Burmistrz wpatrywał się przez chwilę w Karpiela, nic nie mówiąc. Zdjął okulary, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął białą chustkę i zaczął przecierać szkła.

– No dobrze – powiedział po chwili, wyglądał na urażonego. – Jak pan chce. Jak mawiają górale: dawać i prosić to już za dużo. Jak pan chce... Kogoś znajdziemy. To akurat nie problem. Chętnych zawsze jest wielu.

Karpiel już miał się pożegnać, lecz zobaczył uniesioną rękę burmistrza i opadł z powrotem na miękką kanapę.

– Jeszcze jedno. To wasze śledztwo...

– Jakie śledztwo?

Burmistrz prychnął, znowu pochylił się w stronę Karpiela i wycedził przez zęby:

– Niech mnie pan nie wkurwia, dobrze? Trzech facetów i kobieta biegają od kilku dni po mieście i przesłuchują różnych ludzi związanych z morderstwem w fundacji tych pieprzonych hipisów. Naprawdę myśleliście, że się o tym nie dowiem? Mówiłem panu...

– Wiem – przerwał mu Karpiel. – To pana miasto. – Nagle zachciało mu się wkurzyć Cyrwusa, więc wypowiedział to najbardziej znudzonym tonem, na jaki było go stać. – Ale nawet jeśli to prawda, ci trzej faceci i kobieta są policjantami, więc chyba nic złego dla pana miasta się nie dzieje, co? Chyba jest w interesie pana miasta – zaakcentował bezczelnie słowo „pana” – żeby odnaleźć mordercę? Tak czy nie?

– Może. Ale to tylko na pierwszy rzut oka tak wygląda i pan o tym dobrze wie. Hermann wyleciał z policji, pan jest na urlopie i nie wiadomo, co z panem będzie, skoro odrzuca pan swoją szansę na karierę. Derebas właśnie się pożegnał z odznaką, a jego panienska, jak jej tam... Szeliga, jest zaledwie rzecznikiem komendy, a nie śledczą z kryminalnej. Więc jeśli natychmiast nie przestaniecie niepokoić mieszkańców niestosownymi pytaniami, wezmę się za was na poważnie. Śledztwem zajmie się od teraz nowy komendant i prawdziwi policjanci, a wy, póki co, możecie sobie pospacerować po Krupówkach i poopalać się na Gubałówce. Jasne?

Karpiel wpatrywał się przez chwilę w burmistrza, po czym uśmiechnął się i spytał:

– Dobrze zrozumiałem? Gdybym zgodził się zostać komendantem, mógłbym nadal zajmować się tą sprawą?

– Widzę, że się rozumiemy, panie Tomku.

## 55.

Karpiel stał w biurze Fundacji PioMar z zadartą głową i wpatrywał się w kamerę na suficie. Ciemny kulisty klosz zasłaniał oko obiektywu, jednak Karpiel wiedział, że tam jest. O co chodziło Sprzątacowi? Czego nie dostrzegają?

Po kilku dniach przerwy spowodowanej śledztwem i usuwaniem śladów po morderstwie do pomieszczeń fundacji wróciło życie. Przy komputerach siedziało kilkoro pracowników, w większości młodych ludzi ubranych na luzie. W firmie nie obowiązywał dress code. Obecność policjanta w ogóle ich nie peszyła, bo prawie nie zwracali na niego uwagi. Ze swojego gabinetu wyszedł Piotr Sobczyk, stanął obok Karpiela i też spojrzął na kamerę.

– W czymś mogę pomóc? – spytał. – Dlaczego pan jej się tak przygląda? Macie jakiś trop?

Karpiel pokręcił głową.

– Byłem właśnie u burmistrza. – Odwrócił się do Sobczyka. – Nie lubi pana, wie pan o tym?

– Rozmawiał pan z nim o mnie?

– Trochę. O panu, pana żonie i waszej fundacji. Zdaje się, że napsuliście mu trochę krwi.

– No wie pan?! – Sobczyk się zirytował. – W to proszę nie wierzyć. To nie nasza wina. Kiedy się tu przenieśliśmy, poszedłem do niego. Z taką, powiedzmy, kurtuazyjną wizytą. Żona pojechała wtedy na badania do Krakowa, długo leżała w szpitalu, więc byłem u niego sam. Chciałem się przedstawić, opowiedzieć o naszej fundacji, zaproponować współpracę. Pomyślałem, że tak należy, i naprawdę miałem dobre intencje. Głupi byłem, bo po prostu przyszedłem do urzędu, wie pan, tak z ulicy, i myślałem, że od razu mnie przyjmie. W sekretariacie dowiedziałem się, że nic z tego, że trzeba się wcześniej zapisać. Pomyślałem, okej, takie są tu porządki, trzeba

się dostosować. Ostatecznie to, że mam na koncie dwa miliardy, nie czyni mnie od razu kimś wyjątkowym, nie? – Roześmiał się. – Potraktowałem to jako dobrą lekcję pokory. Pan się śmieje? Tak pomyślałem, słowo. Wpisali mnie na wizytę za jakieś dwa tygodnie od tego dnia, a gdy przyszedłem w wyznaczonym terminie, musiałem siedzieć prawie półtorej godziny na korytarzu, bo miał jakieś nagłe ważne spotkanie. Zdarza się, pomyślałem, a w duchu dopowiedziałem sobie: lekcja pokory numer dwa. Wreszcie mnie przyjął. Wie pan, jak długo trwała nasza rozmowa? Piętnaście minut! Piętnaście minut z zegarkiem w ręku! Zgasił mnie od razu na początku. Potraktował jak jakiegoś nawiedzonego natręta, hochsztaplera, który chce go oszukać. Współpraca? Jaka współpraca? On ma swoje priorytety. A nasza fundacja za bardzo ingeruje w obszar zarezerwowany dla działań instytucji miejskich, jest niepotrzebną konkurencją. Konkurencją! Wyobraża pan sobie? Oczywiście on nie może mi niczego zabronić, ale mieszać pieniędzy publicznych z prywatnymi na pewno nie będzie. To nie byłoby potem transparentne dla mieszkańców. Kurczę, zgłupiałem. Byłem przygotowany na wszystko. Myślałem, że będzie wręcz przeciwnie, że spróbuje mnie jakoś wykorzystać, naciągnąć na dorzucanie się do miejskich imprez i takie tam. Ale nie! Ten głupiec dał mi kopa w dupę i po kwadransie wyprosił za drzwi. Wie pan, jestem, a raczej byłem hipisem. *Love and peace!* – Sobczyk, uśmiechając się, uniósł prawą dłoń z palcami ułożonymi w V. – Ale stary już jestem, więc lekcji pokory numer trzy nie zniosłem. Wkurwiłem się, wyszedłem, trzaskając drzwiami, i to był koniec naszej współpracy.

– On twierdzi, że pan korumpuje miasto. Że kupuje pan przychyłność ludzi, rozdając pieniądze przez fundację.

– A po co to według niego robię?

– Pewnie myśli, że chce pan zająć jego miejsce.

Sobczyk wybuchnął głośnym śmiechem. Karpiel zobaczył kątem oka, że pracownicy biura zamarli na chwilę, podnosząc z zaciekawieniem głowy znad klawiatur komputerów i obserwując szefa. Chwilę trwało, zanim Sobczyk się opanował i mógł dalej mówić.

– Ja oczywiście wiem, że on tak sobie myśli, to dość oczywiste, na tyle już go znam. Pracuje u mnie kilka osób, które wcześniej były zatrudnione

w urzędzie, więc, chcąc nie chcąc, trochę się o nim nasłuchałem. Ale i tak za każdym razem, kiedy słyszę takie rzeczy, nie mogę się nie śmiać. Co za bzdura! Ja korumpuję ludzi? Jeśli już, to uwalniam ich od niego. Dla takich jak on władza polega na tym, żeby jednych od siebie uzależnić, a drugich zastraszyć. To samo dotyczy innych... nie wiem, artystów, aktywistów społecznych, stowarzyszeń, a nawet instytucji. Na pewno go wkurzyłem, bo mu popsulem szyki. Wytrąciłem z rąk narzędzie, za pomocą którego pętał ludzi. Wie, że teraz mają się do kogo zwrócić o pomoc. Ale ja miałbym zająć jego miejsce? Tak może myśleć wyłącznie człowiek taki jak on, polityk, który chce tylko jednego: za wszelką cenę utrzymać się na stołku.

– A więc pan nie chce władzy?

– Nie chcę. Ale ją mam. Nawet ja rozumiem, że takie pieniądze dają władzę. Ale to nie jest władza dla władzy, tylko po to, żeby zmienić to miasto. I zmienię je. Zobacz pan. Nie bawiąc się w politykę, wybory, kompromisy. Nie wierzy mi pan?

– Wierzę w pana dobre intencje, choć wątpię, czy się panu uda. Za dwa miliardy może pan mnóstwo rzeczy kupić, wybudować albo zburzyć, może pan tu sobie stworzyć drugi urząd miasta. Jednak to za mało, żeby zmienić ludzi. A miasto to właśnie ludzie.

Sobczyk spojrział na Karpiela, marszcząc czoło.

– Dlatego pan uciekł do Warszawy? Nie wierzy pan, że Zakopane da się jeszcze uratować?

Karpiel nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się smutno.

## 56.

### **Ciemna strona Jana L.**

**Już dwukrotnie pisaliśmy o sprawie zabójstwa mieszkańca Zakopanego Jana Lewcuna. Do morderstwa doszło w piątek, 12 września, w lokalu biura Fundacji PioMar przy ul. Kościuszki w Zakopanem. Przypominamy, że zwłoki 67-letniego mężczyzny odkrył Piotr Sobczyk, zakopiański miliarder, właściciel biura i prezes fundacji. Śledztwo w sprawie morderstwa prowadzi Komenda Powiatowa w Zakopanem.**

W poprzednim artykule zatytułowanym „Śmierć dżentelmena” opisywaliśmy życie osobiste i karierę zawodową Jana Lewcuna. Artykuł przedstawiał go w bardzo dobrym świetle. Przytaczaliśmy także wypowiedź burmistrza Zakopanego, Leonarda Cyrwusa, który wspominał tragicznie zmarłego jako dobrego człowieka, zasłużonego dla miasta.

W trakcie naszego dziennikarskiego śledztwa odkryliśmy jednak, że Jan Lewcun miał także ciemną i mniej chwalebny stronę. Udało nam się dotrzeć do ludzi, którzy oceniają go zupełnie inaczej niż burmistrz Zakopanego i podzielili się z nami swoimi doświadczeniami, jeśli chodzi o kontakty z tym człowiekiem. Odkryliśmy nowe fakty z życia zamordowanego, które kazały nam zrewidować jego wcześniejszą pozytywną ocenę.

Zaznaczamy, że część z osób, których historie opisujemy w niniejszym artykule, same się do nas zgłosiły po przeczytaniu poprzedniego tekstu. Z oczywistych względów nie zgodziły się podać swoich pełnych nazwisk, w niektórych przypadkach zmieniliśmy także imiona.

**Joanna Sz.** poznała Jana Lewcuna w 1982 roku podczas zabawy sylwestrowej w jednym z zakopiańskich hoteli. Wydał jej się bardzo



atrakcyjnym mężczyzną. Ona była wtedy krótko po rozwodzie, a sylwestra spędzała pod Tatrami z grupą znajomych.

– Tak się złożyło, że siedzieliśmy przy jednym stoliku – opowiada pani Joanna. – Od razu zwróciłam na niego uwagę. Był przystojny i elegancki. On też szybko zaczął mnie adorować. Praktycznie przetańczyliśmy tę noc tylko ze sobą. Byłam nim zauroczona, może też trochę za bardzo zdeterminowana, żeby wyrwać się z mojej samotności, i jeszcze do tego ta szczególna noc w roku... No i prawda jest też taka, że trochę za dużo wypiliśmy. Przyznaję, byłam gotowa na wszystko, ale on zachował się jak dżentelmen. Nawet nie chciał mnie odprowadzić do mojego pokoju w hotelu, tylko grzecznie oddał pod opiekę moich znajomych. Wzbudził tym moje zaufanie.

Na drugi dzień pojawił się w hotelu z bukietem róż i zaprosił na obiad. Oczywiście zgodziłam się. I tego dnia również do niczego nie doszło. Dopiero następnego wieczoru, po tym, jak spędziliśmy razem kolejny dzień, poszliśmy do łóżka. I nagle, nie wiem, jakby jakiś diabeł w niego wstąpił. Zrobił się bardzo brutalny. Bardzo. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. Pobił mnie dotkliwie i właściwie zgwałcił. To niepojęte, jak człowiek może się w jednej chwili tak zmienić. Wychodząc, zabrał wszystkie moje pieniądze i biżuterię, którą miałam przy sobie, i zagroził, że jeśli komuś powiem, to mnie urządzi, i żebym nie próbowała zawiadamiać policji, bo to nic nie da, bo on tu wszystkich zna i oni mu z ręki jedzą. To było straszne. Żeby wrócić do domu, musiałam okłamać moich znajomych, że pieniądze gdzieś zgubiłam, i pożyczyć od nich na bilet i na hotel. On złamał mi życie, bo ja już nigdy nie mogłam nikomu zaufać. Nie spotykałam się z mężczyznami, bo bałam się, że to może się powtórzyć.

Inną historię opowiedział nam Henryk B. z Zakopanego. Działo się to pod koniec lat osiemdziesiątych w Zakopanem. Był na imieninach swojego kolegi, z którym przyjaźnił się Lewcun. Było tam w sumie około dziesięciu osób, także Jan Lewcun. Jak to w góralskich rodzinach w zwyczaju do stołu podawała żona solenizanta.

– To była taka miła kobieta – mówi pan Henryk. – Ładna, ale bardzo cicha i skromna. Krzątała się wtedy strasznie, biegała w tę i we w tę, zносиła

z kuchni różne potrawy. I nagle jej przez chwilę nie było. I Lewcun też gdzieś zniknął. A ja musiałem do toalety. Miałem już trochę w czubie i pomyliłem drzwi. Zamiast do ubikacji wszedłem do jakiegoś pokoju. I zobaczyłem, jak Lewcun gwałci tę kobietę. Ona mu się wyrywała, ale on trzymał rękę na jej ustach. To był kawał chłopa, a ona taka drobna, więc nie miała szans. Nie zauważyli chyba, że tam wszedłem, a ja się przestraszyłem i zaraz zamknąłem drzwi. Przez chwilę chciałem wszystkich zaalarmować, nie wiem... coś z tym zrobić. Ale potem pomyślałem sobie, jaki to będzie wstyd dla tej biednej kobiety i jej męża. Przecież to się już stało i się nie odstanie. Ale nie mogłem tam zostać. Zebrałem się więc i szybko pod jakimś pretekstem wyszedłem. Na szczęście oni wkrótce wyjechali do Ameryki i zniknęli mi z oczu, bo nie wiem, jak miałbym się wobec nich zachowywać, jak im spojrzeć w oczy. Ale tego widoku, jak on ją tam gwałci, nie mogę zapomnieć do dzisiaj.

Karpiel rzucił gazetę na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Trząśł się. Boże, więc to prawda, pomyślał. Ojciec nie wymyślił sobie tej historii. Niby to wiedział, niby mu wierzył, ale w głębi duszy miał jednak nadzieję, że stary tylko to sobie ubzdurał w tej swojej chorej starej głowie. Do tego jest ktoś poza nimi, kto wie o gwałcie. Kto? Czy go zna? Henryk? Ale przecież nie wiadomo, czy to prawdziwe imię.

Drżącą ręką podniósł gazetę z podłogi. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem artykuł. Było tego więcej. Takich historii. Łatwo było policzyć, bo nazwiska kolejnych świadków wytłuszczono. Doliczył się dziewięciu przypadków. Wiedział, że powinien przeczytać cały tekst, jednak teraz nie miał na to sił. Później, wszystko później... Elu, gdzie jesteś?

## 57.

Roman Zatorski Tatar stał przy wejściu na korty w parku miejskim. Z rękami w kieszeniach spodni wpatrywał się w gromadkę dzieci bawiących się na placu zabaw obok kortów. Karpiel rozpoznał go z daleka. Był jeszcze większy, niż pamiętał go z ich ostatniego spotkania. Trochę przytył i zaczął się garbić, lecz nadal budził respekt.

– Cześć – rzucił krótko.

Zatorski odwrócił się w jego stronę, uśmiechnął i odpowiedział takim samym pozdrowieniem. Nosił krótką czarną brodę, włosy miał związane w krótki kucyk.

Zobaczył, że Karpiel trzyma w ręku złożony egzemplarz „Dziennika Tatrzańskiego” i pokiwał głową.

– Już czytałeś – stwierdził raczej, niż spytał.

– Czytałem. To nad tym pracowałeś, kiedy zadzwoniłem?

Dziennikarz przytaknął. Wskazał palcem małą dziewczynkę, może czteroletnią, która właśnie wdrapywała się na zjeżdżalnię.

– To Laura, moja córka. A ty masz dzieci?

– Nie.

– No to może powinieneś coś z tym zrobić. – Zatorski się uśmiechnął. – Świetna sprawa. Co prawda stawia całe życie na głowie, ale warto.

– Nie mam czasu, Romek – powiedział oschle Karpiel. – Możemy przejść do rzeczy?

– Możemy, możemy...

– Więc powiedz mi, skąd to wszystko wiesz. – Karpiel machnął gazetą przed nosem dziennikarza. – Takie rzeczy... Tylko nie mów, że to twoje śledztwo wykazało, bo choćbyś się zesrał, nie zebrałyś w takim krótkim czasie tych materiałów.

– Spokojnie, Tomek, spokojnie. Wyluzuj. Policjanci w tym mieście

zrobili się ostatnio strasznie nerwowi. Powiedziałem, że ci powiem, to powiem.

Milczał przez długą chwilę, jakby nie wiedział, jak zacząć.

– No więc... Sprawa jest dziwna – powiedział wreszcie. – Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. To... trochę jak z jakiegoś filmu, wiesz?

– Co masz na myśli?

– No wiesz, jak z tych amerykańskich filmów, gdzie dziennikarze dostają od tajemniczego informatora materiały i są prowadzeni przez śledztwo. Tu jest podobnie. Zaczęło się od tego, że otrzymałem zwykłym mejlem link do chmury. A w tej chmurze był film. Byliśmy w redakcji w takim szoku, że zastanawialiśmy się dłuższy czas, czy to nie jakaś podpucha, czy ktoś nas nie wkręca... To było zbyt piękne...

– Ale w końcu to puściliście?

– No, puściliśmy, pokusa była zbyt duża.

– A dlaczego nie skontaktowaliście się z policją? Nie poprosiliście o komentarz? To nie jest w waszym stylu. Lubicie przecież postawić policjantów pod ścianą, zmusić ich do mówienia albo przynajmniej napisać, że nie mają nic do powiedzenia...

Dziennikarz się roześmiał i pogroził Karpielowi palcem.

– Nic się nie zmieniłeś, Tomek. Złośliwiec byłeś i złośliwiec jesteś. Ale uwaga słuszna, przyznaję. Tylko że w tym pierwszym mejlu był taki warunek, że mamy nie kontaktować się z policją... Bo inaczej nic więcej nie dostaniemy.

Karpieł pokiwał głową.

– Rozumiem. A więc po opublikowaniu filmu dostaliście te materiały o Lewcunie...

– Tak, najpierw te pozytywne, jaki to był z niego wspaniały człowiek. A gdy to opublikowaliśmy, przyszły następne, kompromitujące.

– No to rzeczywiście jak w filmie – przyznał Karpieł. – A próbowałeś dociec, kto to przysłał? Wiesz, że to może być morderca?

Dziennikarz podrapał się po głowie.

– I tu jest właśnie problem. Pewnie mi nie uwierzysz, ale te wszystkie mejle zniknęły. Po prostu nie ma po nich śladu. Ale daję ci słowo, że tak

właśnie było.

– A wyobraź sobie, że w to akurat uwierzę – odpowiedział Karpień z uśmiechem.

## 58.

Derebas nagle zdał sobie sprawę, że od kilku minut stoi przed wystawą i wpatruje się bezmyślnie w markowe zegarki. Wszystkie zgodnie pokazywały za dziesięć dwunastą.

Co się z nim dzieje? Chyba zaczęło do niego docierać, że coś się skończyło. Coś ważnego, może w ogóle najważniejszego w życiu. Nie był może takim rasowym policjantem jak Hermann, jednak lubił tę robotę. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy jak bardzo. A teraz poczuł pustkę. Niby miał czas, żeby się do tego przygotować, przecież był na długim urlopie, ale i tak z przyzwyczajenia codziennie wpadał do biura, krążył po korytarzach, zaglądał do pokoi podwładnych, pytał o postępy w dochodzeniach, odpowiadał na rzucane mimochodem powitania i uśmiechy. A potem siadał za swoim biurkiem, na swoim fotelu, i patrzył przez swoje okno na góry. Tak było, a teraz go tego pozbawiono. Zdał broń i odznakę, a na komendę nie ma już wstępu. Ktoś inny usiądzie za chwilę za jego biurkiem i będzie patrzył przez jego okno. Może kiedyś będzie mu jeszcze dane tam wejść. Rozejrzy się, sprawdzi, czy coś się zmieniło, czy nowy, któryś już kolejny, komendant przestawił biurko albo szafę, coś innego powiesił na ścianie albo w ogóle zrobił generalny remont i zmienił jego gabinet nie do poznania.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w sklepowej szybie. Nie jest jeszcze taki stary. Szpakowaty, to prawda, ma też głębokie zakola i trochę zmarszczek, ale w sumie nieźle się trzyma. Nie pali, prawie nie pije, regularnie biega, mógłby jeszcze kilka lat popracować, zrobić coś dobrego dla tego miasta. Mógłby...

Odwrócił się od wystawy i ruszył pasażem handlowym w dół, a kiedy doszedł do Krupówek, skręcił w lewo, przeszedł kilkaset metrów i zatrzymał się przed wejściem do baru Krokus. Wiedział, że właściciel lubi tu

przesiadawać, traktując bar prawie jak swoje biuro. Po chwili namysłu wszedł do środka. Od razu udał się w głąb lokalu, mijając dwie sale, kilka osób sączyło przy stolikach piwo. W trzeciej, za dużym dębowym stołem, siedział Sylwester Strączek i pił wódkę. Butelka czystej była opróżniona do połowy. Podniósł wzrok na Derebasa.

– No, kurwa, nie wierzę, ale zaszczyt, pan komendant – rzucił, odsłaniając poźółkłe zęby. – Choć, kurwa, przepraszam – podniósł palec wskazujący – były komendant. Świetnie, że przyszedłeś, człowieku. Ja też uważam, że to idealny moment, żebyśmy się w końcu razem napili. Nawet obaj mamy powody, nie? Ty i ja straciliśmy właśnie interes życia.

Derebas udał, że nie przeszkadza mu to, że Strączek tak się spoufala, ale jednak go to zabolalo. Więc tak teraz będzie? – pomyślał. Wszystkie męty w Zakopanem będą go tykać, bo poczuły krew, bo wiedzą, że nic go już nie chroni, że on nic nie może im zrobić? Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko Strączka. Zawsze go śmieszył styl biznesmena. Miał koło sześćdziesiątki, był trochę otyły, przesadnie opalony, pewnie w solarium, na głowie miał coś, co można by uznać za fryzurę à la Donald Trump, gdyby nie to, że nosił ją na długo, nim do Polski dotarły pierwsze informacje o przyszłym prezydencie USA. Prawie zawsze chodził w dresie, błyszczącym i w jaskrawych kolorach.

– Taki jesteś pewny, że nie mogę ci już skopać dupy, Strączek? Może teraz dopiero mogę.

Strączek się roześmiał i uniół rękę.

– Spokojnie, człowieku, to tylko żarty. Przecież nic do ciebie nie mam. Przez tyle lat jakoś nie wchodziliśmy sobie w drogę, nie ma powodu, żebyśmy teraz przestali się lubić, nie?

Do stołu podszedł barman i postawił przed Derebasem duży kieliszek. Strączek napełnił go pełną ręką. Nalał też sobie i uniół kieliszek w stronę policjanta.

Derebas się zawahał. Nie lubił wódki. Poza tym nigdy nie zdarzało mu się pić tak wcześnie. Przecież o tej porze zwykle był w pracy. Ale to chyba odpowiedni moment, żeby zmienić zwyczaje. No i dla dobra sprawy warto się czasami poświęcić. Podniósł kieliszek i bez słowa wychylił go do dna.

Wódka była zimna i zaskakująco łagodna. Smakowała mu. Chyba rzeczywiście wszystko zaczęło się zmieniać, pomyślał.

– Mam kilka pytań – powiedział, patrząc Strączkowi w oczy. – Już nie służbowo. Dla zaspokojenia ciekawości.

– A kto cię tam wie, człowieku, jak to z tobą jest. Ty niby na emeryturze, ale ta twoja dziewczyna nadal jest w policji. No i ciągniesz za sobą dwa psy, Karpiela i tego siwego gościa z Warszawy.

Kurczę, tu naprawdę wszyscy wszystko wiedzą, pomyślał Derebas. Po tylu latach w Zakopanem nie powinno go to dziwić, a jednak szybkość, z jaką wieści rozchodzą się w bądź co bądź dwudziestosiedmiotysięcznym mieście, ciągle go zaskakiwała.

Wzruszył ramionami.

– A co ci szkodzi odpowiedzieć? Chyba że masz coś do ukrycia...

– Nie przeginaj, człowieku – przerwał mu Strączek. Znowu nalał wódkę do kieliszków. Wypił, nie czekając na Derebasę, po czym spojrzał na niego wymownie, oczekując chyba, że zrobi to samo. Policjant wziął kieliszek, lecz nie podniósł go do ust.

– Co robiłeś wieczorem dwunastego września, kiedy zabili Lewcuna? – zapytał i dopiero wtedy wypił. Tym razem wódka weszła gorzej. Rozejrzał się za czymś do popicia, lecz na stole stała tylko butelka z czystą.

– Na poważnie pytasz? A co ja mam z tym wspólnego? Nie znałem tego Lewcuna. To znaczy znałem z widzenia, jak każdy, ale osobiście nigdy go nawet nie spotkałem.

– Ale Sobczyk znasz dobrze, nie? A on twierdzi, że ktoś to morderstwo u niego zainscenizował, żeby go zrobić i skompromitować.

Strączek spojrzał na Derebasę, marszcząc czoło.

– Ale to się, człowieku, nie trzyma kupy, nie widzisz tego? Sobczyk uratował mi w pewnym sensie skórę, bo odkupił ode mnie tę cholerną galerię. Wtopiłem w to masę kasy i zaciągnąłem takie kredyty, że się ludziom w głowie nie mieści. Już nie wyrabiałem, a musiałem jeszcze sporo wydać, żeby to w końcu otworzyć. I Sobczyk spadł mi z nieba, bo chciał to po przyzwoitych pieniądzach odkupić. Wkurwiony jestem, bo nic nie mówił, że będzie to burzył, a mnie ta budowa tyle sił kosztowała... Poza tym, wiesz,



myślałem, że ta galeria tu będzie stać, a ludzie będą pamiętać, kto ją zbudował, nie? Taki pomnik mój.

– Więc wkurzony na niego jesteś?

– No, jestem, ale ja o tym wyburzaniu dowiedziałem się podczas tego cyrku, dwa dni temu. Kurwa, rozbił młotem szybę, żeby pokazać... No, nie wiem nawet, co chciał pokazać. Mało zawału nie dostałem, jak to zobaczyłem. Ale jak było to morderstwo u niego w fundacji, to ja jeszcze nie miałem pojęcia, co on chce z tym zrobić. Słowo honoru. A alibi na ten wieczór mam. Tu siedziałem do późna w nocy z towarzysztwem. Impreza mała była. Z piętnaście osób tu się bawiło...

– I nie wychodziłeś nawet na chwilę? – Derebas patrzył na Strączka podejrzliwie, a on zarechotał i rozłożył bezradnie ręce.

– No, kurwa, nawet jakbym chciał, to nie byłem w stanie. Musieliby mnie tam chyba zanieść.

– A czy ktoś według ciebie miałby powód, żeby to Sobczykowi zrobić?

Strączek zastanawiał się przez chwilę.

– No, tak na siłę, to ci wszyscy inwestorzy, których wykołował, kiedy ich podkupił. Stracili przez to masę pieniędzy. Grube miliony. I w tym wszystkim Sobczykowie okazali się bardzo sprytni, bo wiem, że przez chwilę gadali z ludźmi, pertraktowali, i to miał być wspólny biznes, a ostatecznie oni wykupili te działki sami. Szczegółów nie znam, ale tamci mogli się poczuć oszukani. Czy to byłby wystarczający powód, żeby kogoś zamordować po to, by skompromitować Sobczyków? Nie wiem. To już sam, człowieku, musisz sobie na to odpowiedzieć.

– Zaraz, zaraz, mówisz, że oni mieli najpierw wspólnie to kupić? Sobczykowie z tymi naszymi inwestorami? Wszystkie te stare domy z działkami?

– No, tak podobno było.

– A co to były właściwie za zabytki? Coś znanego?

– No, ja tam nie wiem, co ty znasz, a co nie. Podobno w sumie trzynaście różnych działek ze starymi budynkami kupili. W różnym stanie, w różnych lokalizacjach. Słyszałem, że miało być ich więcej, ale nie wszystkie udało im się kupić. Na niektóre, nie powiem, sam miałem kiedyś chrapkę, na

przykład na tę kamienicę przy Krupówkach, tu poniżej...

– Którą?

– No, tę na skrzyżowaniu z Galicy. Tę, w której znaleźli dwa dni temu nieboszczyka.

Derebas zerwał się z krzesła.

– Ta kamienica należy teraz do Sobczyków?

Strączek rozlał resztę wódki do kieliszków.

– Tak jest, człowieku. Tak jest... Napijemy się jeszcze?

## 59.

– No dobrze, Romek, dostajesz w prezencie temat i materiały. Wszystko wspaniale, ale nie wierzę, żebyś się nad tym nie zastanawiał, żeby cię nie intrygowało, kto i po co ci to przysłał.

Dziennikarz skubał rzadką brodę.

– No jasne, że mnie to intryguje. Za kogo mnie masz? Ja też nie lubię być manipulowany i wykorzystywany. A tu najpierw ten film... Pomyśleliśmy w redakcji, że może ktoś chce naprowadzić nas na jakiś trop, na który wy nie wpadliście. Gdy dostaliśmy ten pierwszy tekst o Lewcunie, znowu pomyśleliśmy, że to ktoś z jego... nie wiem, przyjaciół, że to idzie w tę stronę, żeby jakoś go upamiętnić... Ale przy tych ostatnich materiałach zgłupieliśmy. To już są grube sprawy, mocne oskarżenia... Ktoś ewidentnie chce zniszczyć Lewcuna. Żeby w mieście zostały po nim tylko zgliszcza...

– A nie pomyślałeś, że to wszystko może być nieprawda? W tekście są tylko inicjały, zmienione imiona... Może to wszystko bzdury?

Zatorski spojrzał poważnie na Karpiela.

– Tomek, ty nic nie rozumiesz. To ja tak napisałem. To ja wprowadziłem inicjały i zmieniłem imiona. W materiałach były najdrobniejsze szczegóły. To niesamowita robota jakiegoś detektywa. Zbierał te informacje mozolnie przez parę miesięcy. Wszystko ze szczegółami. To ja zrobiłem z tego artykuł.

Karpiel zrozumiał. Nagle poczuł, jak krew uderza mu do głowy i na chwilę pociemniało mu w oczach.

– Jezu... Romek, to ty wiesz? Wiesz o mojej matce? Tam naprawdę było jej nazwisko? – wymamrotał, z trudem oddychając.

Dziennikarz spuścił wzrok.

– No, wiem. Przykro mi. Dlatego się z tobą spotkałem. Bo czuję, że powinieneś wiedzieć, że jestem ci to winny. Inaczej w ogóle bym z tobą nie

rozmawiał.

## 60.

Derebas, zanim opuścił lokal Strączka, wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer Hermanna.

– Co tam?– rzucił pułkownik.

– Chyba wiem, gdzie jest Sprzątacze – oznajmił bez wstępów Derebas.

– No gdzie? – Hermann wyraźnie się ożywił.

– Tam, gdzie go szukałeś. W kamienicy przy Krupówkach. Miałeś nosa. Należy teraz do Sobczyków. To raczej nie może być przypadek, nie sądzisz?

– Sądzę.

Pułkownik milczał przez kilka sekund.

– Nie może nam tym razem uciec. Musimy...

– Nie mam już broni, Hermann. Ani odznaki – przypomniał Derebas. – Ty też nie możesz działać oficjalnie. Żeby to wszystko odbyło się, jak należy, potrzebujemy Karpiela.

– Masz rację. Już do niego dzwonię. Ty czekaj gdzieś w pobliżu.... Zaraz się odezwę.

## 61.

Karpień przestał na chwilę biec, żeby złapać oddech. Był mniej więcej w połowie drogi między biurem fundacji a kamienicą wskazaną przez Hermanna. To było raptem kilkaset metrów, jednak kartony wypalonych papierosów dawały o sobie znać. Kiedy próbował głębiej odetchnąć, słyszał świst swoich oskrzeli. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na odpoczynek, bo jeśli się spóźni...

Od rozmowy z Zatorskim wszystko nagle przyspieszyło. Tam, w parku, był naprawdę wstrząśnięty tym, że ktoś poznał jego tajemnicę. W głowie kłębiło się tyle myśli... Na przykład ta absurdalna, że sam w jakiś niezrozumiały sposób przyczynia się do jej wyjawienia. Może trzeba ją zostawić, przestać drążyć? – zastanawiał się. Przecież on nie chciał, żeby ojciec wtrącał się w jego sprawy. A to jest historia jego rodziców, a właściwie matki. Dlaczego to on czuje się odpowiedzialny za utrzymanie wszystkiego w tajemnicy? Dlaczego to on ma wyrzuty sumienia, że ktoś ją poznał?

Nagle coś mu to przypomniało – no tak, to ta sama odpowiedzialność, jaką odczuwał wobec kalekiej siostry. Przecież to nie on odebrał jej nogi, ale nie zrobił też nic, by ją uchronić.

Zatorski przysiągł mu na głowę swojej córki, że nikt się o tym nie dowie, że zniszczy materiały, które dostał od tajemniczego informatora. Mówił szczerze, Karpień czuł jednak, że to za mało, że historia podąży swoją drogą, rozlewa się po świecie wokół niego i nic już tego nie powstrzyma. Jakimś sposobem znajdzie przejście, żeby dotrzeć do ludzi, rozpleni się jak trujący bluszcz wspinający się wysoko po pionowej skale.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania? – odezwał się dziennikarz. Ton jego głos nadal był łagodny, współczujący. – Muszę zabrać małą na obiad. Za chwilę żona zacznie wydzwaniać, gdzie przepadliśmy.

Karpiel zamknął oczy, próbując się skupić. O coś jeszcze miał go spytać... No tak, już wie.

– Słuchaj, pisałeś też o tym zakupie działek przez Sobczyka. Że niby dogadał się ze Stowarzyszeniem Ochrony Zabytków i podkupił deweloperów... Możesz mi coś więcej o tym powiedzieć? Właściwie to o co oni są na niego wkurzeni?

Zatorski chyba poczuł ulgę, że zmienili temat, bo odpowiedział bez namysłu:

– Ha! To był grubszy numer. To, że on ich podkupił, to jeszcze nic. Najpierw ten interes mieli zrobić wspólnie.

– „Oni”, czyli kto?

– No, Sobczykowie i czterech dużych zakopiańskich inwestorów: Bielecki, Galica, Filipiak i Bielawa. Wykombinowali sobie chyba, że trzeba jakoś zneutralizować nowego inwestora z ogromną gotówką do wydania i sami zaproponowali mu interes. Układ miał być taki: oni wiedzą, które obiekty trzeba przejąć, i mają gotowe projekty, a jego dobierają do spółki, żeby zainwestował i zarobił. I zobacz, co się stało: na co dzień darli tu w Zakopanem koty, a gdy się pojawili Sobczykowie z taką kasą, od razu się dogadali. Co to znaczy wspólny wróg.

– Więc to nieprawda, że to był pomysł Anny Kowalskiej ze Stowarzyszenia Ochrony Zabytków? – spytał Karpiel.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Taka jest oficjalna wersja. Może coś było na rzeczy, bo wszystkie te budynki rzeczywiście są zabytkami, ale to o tym dogadywanym interesie to sprawdzone na sto procent. Widziałem gotową umowę między nimi – powiedział Zatorski, a po chwili, ściskając Karpielowi dłoń na pożegnanie, dodał: – Pamiętaj o moich warunkach?

Karpiel skinął głową.

– Pamiętam. Spotkamy się, jak skończymy sprawę. Szykuj formę.

Kiedy Karpiel przeciął plac Niepodległości i ulicą Galicy przeszedł na Krupówki, usłyszał sygnał swojej komórki. Wyjął ją z kieszeni kurtki i spojrzał na wyświetlacz. Hermann. Już miał odebrać, ale coś mu się nagle przypomniało. Był u Sobczyka, żeby pokazać mu portret pamięciowy

Sprzątacza, jednak wcześniejsza wizyta u burmistrza spowodowała, że skupił się na czymś innym. Hermann dzwoni pewnie, żeby sprawdzić, czy Sobczyk rozpoznał mężczyznę z portretu. Nie odebrał. Nie lubił zawodzić pułkownika. Postanowił wrócić szybko do fundacji i naprawić swój błąd. Powinno mu to zająć kilka minut.



## 62.

Karpiel biegł. W głowie rozbrzmiewały mu słowa Hermanna, które usłyszał, kiedy wreszcie – za dziesiątym chyba razem – odebrał:

– Karpiel, no co, kurwa, nie odbierasz? Chyba mamy Sprzątacza. Jest w tej kamienicy przy Krupówkach, w której go wtedy szukałem. Masz przy sobie broń?

– Tak, ale...

– To widzę cię tu za pięć minut. Zdasz?

– Tak, ale, pułkowniku...

Hermann się rozłączył. Karpiel z niedowierzaniem patrzył na komórkę. W drugiej ręce wciąż trzymał kartkę z wydrukowanym portretem pamięciowym Sprzątacza. Obok niego stał Sobczyk i patrzył na niego pytająco. Karpiel próbował oddzwonić. Nic z tego. Hermann wyłączył telefon. Karpiel wiedział, co to oznacza – Hermann zawsze tak robił, kiedy zaczynała się akcja. Cokolwiek miało się stać, nie chciał, by telefon go rozpraszał.

– Kurwa! – krzyknął Karpiel. Znowu to spojrzenie Sobczyka. Nie miał czasu na wyjaśnienia. Wybiegł z biura fundacji. Co za burdel, pomyślał. Biega jak kot z pęcherzem. Przecież dosłownie chwilę wcześniej stał przed tą cholerną kamienicą. Gdyby wtedy odebrał telefon od Hermanna, nie musiałby ganiać tam i z powrotem. No, ale nie dowiedziałby się od Sobczyka, kim jest Sprzątacza.

Kiedy już prawie był na miejscu, przypomniał sobie nagle, że Hermann pytał go, czy ma przy sobie broń. Jego serce, i tak już na wysokich obrotach wywołanych biegiem w górę Krupówek, zaczęło walić jeszcze mocniej. Przed oczami pojawiła mu się nagle scena sprzed kilku dni. Rozmowa z ojcem. Kiedy się rozstawali, Karpiel podszedł do niego i mocno przytulił. Nie robił tego od lat, nawet podczas pierwszej rozmowy po powrocie

rodziców do kraju tak czule przywitał się tylko z matką. A wtedy zapragnął to zrobić. Ojciec po sekundzie wahania odwzajemnił uścisk, a Karpiel poczuł, jak dłoń ojca nagle zamiera, gdy wyczuła pasek kabury ze służbowym pistoletem.

– Nosisz broń? – spytał ojciec, odsuwając się od niego.

– Tak, noszę. Jestem policjantem. Taka praca, tato.

– Rozumiem. A czy... zabiłeś już kogoś?

– Nie – odpowiedział i pierwszy raz pomyślał, że to dobrze, że ojciec nie widzi, bo inaczej nie udałooby mu się ukryć przed nim kłamstwa. Zaraz zawstydził się tej myśli, ale i tak powtórzył zdecydowanym tonem: – Nie, tato. Nikogo nie zabiłem.

Właściwie dlaczego skłamał? Pewnie z obawy, że odpowiedź twierdząca wywoła następne pytanie – „Jak to się stało?” – a nie miał ochoty na tę opowieść. Nie lubił tego wspomnienia. Teraz jednak było za późno, obrazy wywołane skojarzeniem same zaczęły powracać.

Najpierw niebieski chłopiec. Niewielka postać zastygła w dziwnej pozie, odnaleziona w komórce na podwórku na warszawskiej Pradze. W sumie ofiary były trzy: mężczyzna, kobieta i chłopiec. Znaleźli je w około tygodniowych odstępach. Morderca porwał tę trójkę, zaaplikował im pavulon, silny środek prowadzący do bezwładu mięśni, a następnie obłożył od stóp do głów lekkim, szybko schnącym niebieskim gipsem z żywicy poliuretanowej. Kiedy gips wysychał, sprawca zabawił się w „artystę” – ułożył ciała ofiar w wymyślnych pozach. Umierali w niewyobrażalnych męczarniach. Kiedy odzyskiwali przytomność, okazywało się, że są uwięzieni w skorupie bez możliwości poruszania się, w ciemności i izolacji. Mały otwór wycięty w okolicach ust tylko wydłużał ich cierpienie. Tak przynajmniej twierdził patolog. I tak wyobrażał to sobie Karpiel. A raczej tak przeżywał w koszmarach.

Bo niebieski chłopiec śnił mu się wiele razy, a odnalezienie mordercy stało się jego obsesją. Po pierwszej ofierze – to była kobieta – Karpiel uprosił Hermanna, żeby przydzielił mu tę sprawę, jednak szybko, bardzo szybko, okazało się, że go przerosła. Przede wszystkim nie mógł przewidzieć, że chodzi o seryjnego mordercę. Chłopiec był trzecią ofiarą,

więc Karpiel czuł ciężar odpowiedzialności za jego śmierć. Gdyby po znalezieniu pierwszych dwóch zwłok udało mu się wpaść na ślad sprawcy, chłopiec może by przeżył, tymczasem wszystkie tropy zawodziły – ofiary nie były ze sobą w żaden sposób związane, nikt z policyjnych rejestrów nie pasował do profilu sprawcy, wszelkie teorie dotyczące motywu szybko okazywały się chybione. Przez jakiś czas obaj z Hermannem sądzili, że chodzi o kwestie religijne – ktoś zauważył, że ułożenie trzech ciał odpowiada najbardziej typowym wizerunkom Świętej Rodziny, że to rodzaj instalacji – ten pomysł także nie doprowadził ich jednak do żadnego rozwiązania.

Karpiel przystanął przed wejściem do kamienicy przy Krupówkach. Rozejrzał się, jednak nigdzie nie zobaczył Hermanna. Sięgnął do kabury i wyjął broń. Chłód metalowej rękojeści glocka przyniósł mu na krótką chwilę spokój, lecz zaraz przywołał kolejne wspomnienia.

Wtedy też stał z bronią w ręku, z tym że był to korytarz w bloku z wielkiej płyty na jednym z warszawskich osiedli. I to był ten sam glock, model 26, który ścisnął kurczowo w prawej dłoni, gdy palcem lewej naciskał dzwonek. Wiedział już, kto jest za tymi drzwiami, wiedział też, że to jego człowiek. Wiedział już wszystko poza jednym: jak ta historia się skończy.

Sprawca nazywał się Andrzej Pietrzak, był wdowcem i nieszczęśliwym ojcem, którego syn dwa lata wcześniej miał straszny wypadek. Historia była tragicznie banalna: szkolna wycieczka wypożyczonym autobusem, śliska droga, zbyt duża prędkość, nieuwaga i zmęczenie kierowcy. Autobus uderzył w drzewo. Ofiara była tylko jedna – syn Pietrzaka. Przeżył, ale był całkowicie sparaliżowany, stracił też wzrok. No, potem była jeszcze jedna ofiara, bo żona Pietrzaka nie zniosła tego nieszczęścia i podcięła sobie żyły.

Mężczyzna postanowił się zemścić – na kierowcy, który spowodował wypadek, na wychowawczyni, która chwilę przed wypadkiem przesadziła jego syna na inne miejsce, i na chłopcu, który tak bardzo rozrabiał, że kazano mu usiąść obok nauczycielki, a jego fotel z tyłu autobusu zajął właśnie mały Pietrzak.

Dlaczego nikt wcześniej na to nie wpadł? To już wina polskiego bałaganu – dopiero po dwóch miesiącach śledztwa Karpiel odkrył przypadkiem, że

w aktach sprawy wypadku przekręcono nazwisko tego drugiego chłopca. Zmieniono jedną literę! Krawczyk zamiast Krawczak! I przez tę jedną literę, przez jakiegoś bałwana, który się pomylił, mądre policyjne komputery nie mogły znaleźć powiązania między trzema ofiarami morderstwa. Nie odkryto również, co stało się z wychowawczynią, ponieważ po wypadku długo leczyła się psychiatrycznie, nigdy nie została przesłuchana, a jej nazwisko w ogóle nie pojawiło się w dokumentacji dochodzenia.

Nikt nie otwierał, więc Karpiel zadzwonił jeszcze raz. Cisza. A potem usłyszał wyraźnie trzask zasuw. Ktoś ją przesunął, tylko w którą stronę? Zamknął czy otworzył drzwi? Tak czy inaczej Pietrzak tam był i pewnie coś podejrzewał. Karpiel, przekonany, że drzwi są zamknięte, delikatnie nacisnął klamkę. A jednak nie... Otworzył je powoli. Trwało to może kilka sekund, lecz dla niego była to wieczność. Nie oddychał, a po plecach zaczęły mu spływać strużki potu. Otworzył drzwi na tyle, że go zobaczył – mężczyzna stał na drugim końcu małego przedpokoju i celował w niego ze strzelby. Karpiel błyskawicznie uniósł pistolet, Pietrzak nacisnął spust i prawie w tym samym ułamku sekundy zrobił to także Karpiel. Zanim to się stało, usłyszał ten odgłos: głuchy dźwięk zakończony metalicznym brzdęknięciem, który zawsze kojarzył mu się ze strzelnicą w wesołym miasteczku. Wszystko, co mógł zrobić w chwili wystrzału, to minimalnie obniżyć lufę glocka i skorygować lot kuli. Uderzenia śrutu z wiatrówki nawet nie poczuł, dopiero na drugi dzień podczas kąpieli odkrył na piersi małego siniaka. Pietrzak za to dostał w udo i runął do tyłu, wpadając z impetem do pokoju. Upadł na stary dębowy parkiet i od razu zaczął krwawić z przestrzelonej tętnicy.

Kiedy pojawili się inni policjanci, a zaraz po nich Hermann, było już po wszystkim – mimo prób zatamowania krwi opaską z ręczników mężczyzna zmarł. Zastali Karpiela klęczącego nad nim w kałuży krwi, ubabranego jak rzeźnik.

Zapachu krwi na dłoniach i ubraniu nie zabił nawet dym z papierosa, którym poczęstował go Hermann.

– Przykro mi, nie udało mi się go uratować. Zmylił mnie tą wiatrówką...  
– powiedział przeprasającym tonem.

Pułkownik spojrział na niego zdziwiony i zaśmiał się gorzko. Sprawdził,

czy żaden z policjantów krzątających się po mieszkaniu ich nie słyszy, i powiedział:

– Co ty pieprzysz, Karpiel. Wyszło idealnie. Tętnica udowa, a więc strzelałeś nie po to, by zabić. Pomyślą, że to przypadek. Jeszcze te próby ratowania go... Nikt się nie przyczepi, że coś było nie tak. A jednego świra mniej... – Poklepał Karpiela po ramieniu. – Tak to właśnie trzeba załatwić. A gdybyś kiedyś był tak głupi i miał wyrzuty sumienia, przypomnij sobie chłopca w niebieskim gipsie...

I Karpiel, wchodząc na klatkę schodową kamienicy przy Krupówkach i wyjmując z kabury glocka, przypomniawszy sobie niebieskiego chłopca.

## 63.

Sobczyk wziął do ręki kartkę z portretem pamięciowym. Widać było wyraźne ślady złożenia na pół i była trochę brudna, bo Karpiel nosił ją w kieszeni kurtki.

Poprawił lenonki i uśmiechnął się, wzruszając ramionami, jakby policjant pytał go o coś oczywistego.

– Jasne, że wiem, kto to jest – powiedział.

Karpiel, wciąż mając przed oczami uśmiech Sobczyka, ostrożnie zamknął za sobą duże drewniane drzwi i stanął na klatce schodowej. Od razu zauważył Derebasę. Były komendant powiatowy policji zamarł na schodach przyklejony do ściany. Kiedy zobaczył Karpiela, położył palec na ustach i unióśł głowę, co pewnie miało oznaczać, że nad nimi, na piętrze, dzieje się coś ważnego i że w żadnym wypadku nie powinni zdradzić się ze swoją obecnością.

Karpiel najciszej, jak potrafił, pokonał kilka schodów dzielących go od Derebasę i stanął obok niego, także przywierając plecami do ściany.

– Hermann jest na górze pod drzwiami mieszkania – szepnął mu do ucha Derebasę. – Idź tam. Ja nie mam broni ani odznaki. Pospiesz się. Lepiej, żeby Hermann nie załatwiał tego sam.

I co to niby miało znaczyć: lepiej, żeby nie załatwiał tego sam? – pomyślał zaniepokojony Karpiel, ruszając po schodach. Czy chodziło o to, że coś Hermannowi grozi? Przecież to stary pies, nie z takimi jak Sprzątaczu dawał sobie radę. No tak, chodzi raczej o to, żeby to pułkownik się z tym „załatwianiem” nie pospieszył, przyszło mu nagle do głowy. Najwyraźniej Derebasę myślał tak jak on – Hermann przeżywa trudny czas, a na punkcie Sprzątacza dostał obsesji, zwłaszcza po tym, gdy dał mu się wywieść w pole podczas pościgu po mieście. A przecież nie wiedział o Sprzątaczu tego, co on. Jeszcze nie.

Karpiel dotarł już na samą górę i skulił się, żeby nie było go widać z korytarza. Dopiero po chwili wychylił się i szybkim spojrzeniem ocenił sytuację. Zobaczył Hermanna, który z bronią gotową do strzału stał dwa-trzy metry od niego. Był zwrócony plecami do Karpiela, a gdy ten syknął cicho przez zęby, odwrócił się i skinieniem głowy przywołał go do siebie.

– Pułkowniku, już wiem... To ważne, niech pan posłucha... – zaczął Karpiel.

W tym samym momencie drzwi się otworzyły i sprawy zaczęły toczyć się bardzo szybko. Z mieszkania wyszedł mężczyzna. Karpiel od razu go rozpoznał – człowiek z portretu pamięciowego. Hermann natychmiast zmienił pozycję: stanął szerzej i uniósł rękę z bronią na wysokość twarzy. Sprzątacze zamarli zaskoczony. Po kilku sekundach najwyraźniej się opanował, bo na jego twarzy zamajaczył grymas, który chyba miał być uśmiechem. Najpierw uniósł ręce, a prawą wyciągnął w ich stronę, jakby chciał zatrzymać kulę, która miała zostać wystrzelona z pistoletu Hermanna.

– Okej – powiedział – gra skończona.

## 64.

Więc jednak mnie znaleźli, pomyślał. Jakim cudem? Od tamtego pościgu nie wychodził z domu. Bał się, że pułkownik – tak nazywał w myślach policjanta o białych włosach – skoro był tak blisko i stał już pod drzwiami jego kryjówki, może obserwować kamienicę i na niego czekać. Po dwóch dniach postanowił jednak opuścić na chwilę mieszkanie, bo zabrakło mu jedzenia. Poza tym, myślał, nie mogę siedzieć tu w nieskończoność. To nie w moim stylu czekać na rozwój wydarzeń. Gra to gra, pionki muszą się poruszać po planszy.

Przez okno wychodzące na Krupówki przez kilka godzin dyskretnie obserwował okolicę. Nie zauważył niczego podejrzanego. Wiedział, że wystarczy kilka kroków dzielących wejście do kamienicy w zaułku od deptaka, żeby wtopić się w tłum. Oczywiście policja mogła to wszystko sprytnie zaaranżować – sunąca w górę i w dół Krupówek masa ludzi to też doskonała przykrywka dla tajniaków. Z podsłuchanych w biurze fundacji rozmów wywnioskował jednak, że ścigający go nie dysponują takimi środkami. Mało tego – internet huczał od informacji na temat odwołania komendanta powiatowego policji i spekulacji co do jego ewentualnego następcy. Miał więc prawo sądzić, że policja zajmuje się teraz głównie swoimi wewnętrznymi problemami, a ci, którzy go tropią, zostali pozostawieni samym sobie.

Najwyraźniej jednak pomylił się w swoich kalkulacjach, bo stał teraz naprzeciwko dwóch policjantów, a jeden z nich mierzył do niego z pistoletu. Podniósł ręce, a potem wykonał prawą uspokajający gest.

Uśmiechnął się – przynajmniej chciał, żeby tak to wyglądało – i powiedział:

– Okej, gra skończona.

A jednak głos mu drżał. Był trochę rozczarowany, gdy usłyszał



wypowiedziane przez siebie zdanie. Bał się, lecz jednocześnie nieznośne napięcie, które wisiało w powietrzu, sprawiało mu wielką przyjemność. Tętno zamieniło się w bęben wybijający w jego trzewiach coraz wyraźniejszy rytm. Próbował w tym wszystkim odnaleźć równowagę między wdechami i wydechami, żeby dostarczyć mózgowi odpowiednią ilość tlenu.

– Policja! Na podłogę! Już! Kładź się! – krzyknął pułkownik. Obok niego stał drugi policjant, ten młody, tutejszy. Nie miał broni i nachylał się do białowłosego, jakby chciał mu coś powiedzieć.

Poczuł mrowienie w lędźwiach. Był podniecony, erekcja szybko zbliżała się do zenitu i za nic nie chciał teraz przerywać. Musiał pociągnąć to jeszcze chwilę. Wiedział, że pozostało mu tylko jedno. Uniósł jeszcze wyżej prawą rękę, a lewą sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

## 65.

Właśnie w chwili, kiedy Karpiel po raz kolejny pochylił się w stronę Hermanna, żeby mu wreszcie powiedzieć, czego dowiedział się od Sobczyka o Sprzątaczu, mężczyzna podniósł wyżej prawą rękę, a lewą sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Na podłogę, mówię! – powtórzył pułkownik, w ogóle nie zwracając uwagi na Karpiela. – Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?! Rusz jeszcze trochę tą łapą, a odstrzelę ci ją razem z płucem!

Sprzątacze się zawahał i znieruchomiał z lewą ręką na piersi. Końce palców skryły się już pod kurtką.

– Pułkowniku, nie! – Karpiel uznał, że nie może czekać ani chwili dłużej.

Mężczyzna spojrział na niego i Karpiel stwierdził ze zdziwieniem, że w tym spojrzeniu jest złość. Jakby mówił: Nie wtrącaj się! Nie psuj mi zabawy!

– Pułkowniku, to wszystko nie tak, jak myślimy. Ten facet...

I wtedy Sprzątacze znowu poruszył ręką, a Hermann nacisnął spust. Karpiel był na to przygotowany – jego prawa rękę wystrzeliła błyskawicznie w kierunku dłoni pułkownika i podbiła pistolet. Padł strzał, Karpiel poczuł, jak łokieć Hermanna miażdży mu krtań, a zanim zrobiło mu się ciemno przed oczami, zobaczył jeszcze, jak Sprzątacze łapie się za głowę, a potem osuwa na ziemię.

## 66.

Karpiel powoli dochodził do siebie. Stwierdził, że klęczy na zimnej betonowej podłodze, a Derebas klepie go po ramieniu i pyta:

– Już w porządku? W porządku?

Nie do końca było w porządku, bo Karpiel z trudem łapał oddech i okropnie bolała go krtań, pokiwał jednak głową i uniesieniem kciuka potwierdził, że nic mu nie jest. Rozejrzał się. Trzy metry dalej Hermann klęczał nad ciałem Sprzątacza. Karpiel zobaczył krew.

Kurwa mać, chciał głośno zakląć, lecz z jego gardła wydobyło się niezrozumiałe charczenie.

Więc nie zdążył. A miał takie proste zadanie – powstrzymać Hermanna, przekazać mu wiadomość, wytłumaczyć, że to wszystko jest żartem albo nieporozumieniem. Powinien być energiczny i zdecydowany, lecz nie był. A teraz wszystko szlag trafi. Nie tylko śledztwo, ale ich pracę i kariery. No tak, tak właściwie to jego karierę – gdyby miał siłę, puknąłby się w czoło – bo kariery Hermanna i Derebasa raczej dobiegły już końca.

Nagle pułkownik wstał znad ciała, rozejrzał się, zatrzymał na chwilę wzrok na Karpiele, potem na Derebasie i powiedział:

– Pomóżcie mi. Musimy wnieść go do mieszkania, zanim ktoś zobaczy.

Jakimś cudem po wystrzale nie zbiegł się tu cały dom, najwyraźniej mieszkańcy kamienicy uznali, że to kolejny odgłos tętniącego życiem miasta, ot, ktoś zrobił komuś głupi żart z petardą albo czymś podobnym – w Zakopanem od dawna już nic nikogo nie dziwiło.

Karpiel w pierwszej chwili chciał zaprotestować – jeszcze tego brakowało, żeby zaczęli zacierać ślady, nie wolno, trzeba wezwać policję, pogotowie, trzeba zrobić wszystko, jak należy, żeby jeszcze bardziej tego nie skomplikować.

Wtedy zauważył, że Hermann podnosi Sprzątacza, jednak nie musi robić

tego sam, bo mężczyzna opiera się na łokciach i mu pomaga. Co za ulga! Boże, jak dobrze, jak wspaniale, że ten dureń żyje. Na pewno jest ranny, ta krew skądś się przecież wzięła, ale skoro ma siłę się podnieść, to nie stało się nic złego i nieodwracalnego.

Zerwał się z klęczek i podszedł do Sprzątacza i Hermanna. Derebas też już przy nich był. Podtrzymywali mężczyznę, który stał niepewnie. Karpiel przyjrzał mu się z bliska – lewą część głowy i twarzy miał zalaną krwią, jednak nie widać było żadnej rany. Dopiero po chwili, kiedy przekręcił głowę, nad lewym uchem zobaczył długie na dziesięć centymetrów rozcięcie. I nic więcej.

## 67.

Hermann stał oparty o ścianę i się śmiał. Głośno i szczerze, jakby usłyszał świetny dowcip. Na środku pokoju na krześle siedział Sprzątac, przyciskając ręcznik do rany. Karpiel, nadal trochę oszołomiony i obolały, patrzył na tę scenę w milczeniu, a Derebas co chwila kręcił z niedowierzaniem głową.

Hermann podniósł do oczu wizytówkę, którą trzymał w ręku.

– *Clean of Blood* – przeczytał, ciągle chichocząc. – *Firma sprzątająca Jacek Socha. Sprzątam tam, gdzie inni nie chcą.* No to przecież jaja są.

Mężczyzna podniósł wzrok na Hermanna i wzruszył ramionami.

– To właśnie miałem panu powiedzieć, zanim pan strzelił. – Głos Karpiela wciąż był cichy i świszczący. – Byłem u Sobczyka i pokazałem mu portret pamięciowy. Bez wahania powiedział, że zna tego człowieka. Wynajął go do posprzątania w biurze. Podobno znalazł tę firmę w internecie po tym, gdy sprzątaczką, która na co dzień u nich sprząta, odmówiła. Powiedziała, że ona za żadne pieniądze w krwi się babrać nie będzie. A potem wyszła ta sprawa z samobójstwem w kamienicy. Czyli tutaj, w tym mieszkaniu. – Karpiel rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, gdzie jest. – A ponieważ Sobczyk właśnie kupił tę kamienicę, od razu zlecił mu posprzątanie także tutaj.

– No, tu było co sprzątać – wtrącił się Derebas. – Facet podciął sobie żyły w wannie, ale potem się chyba rozmyślił, bo wyszedł z łazienki i latał po całym mieszkaniu, aż padł w przedpokoju. Wyglądało tu jak w rzeźni, dawno czegoś takiego nie widziałem.

Hermann podszedł do rannego mężczyzny, stanął przed nim i spytał:

– Co masz do powiedzenia? Mów, bo już przestałem się śmiać i zrobiło się bardzo poważnie... Jeśli jesteś zwykłym facetem od sprzątania i nie masz z tą sprawą nic wspólnego, po jaką cholerę sięgałeś do kieszeni, co? Po co

mnie prowokowałaś? Mogłem cię zastrzelić.

– Miałem swoje powody – wymamrotał mężczyzna. – Nie wasza sprawa.

– Naprawdę nazywasz się Socha? To twoje prawdziwe nazwisko? – dopytywał się Hermann.

Mężczyzna oderwał na chwilę ręcznik od rany i mu się przyjrzał. Był cały przesiąknięty krwią.

– Tak. Nazywam się Jacek Socha – odpowiedział, patrząc Hermannowi w oczy. – I naprawdę mam firmę sprzątającą. Jednoosobową. Robię porządki po takich historiach jak te tutaj. Zbrodnia, samobójstwo i tak dalej. Żadna praca nie hańbi, nie?

– Niby żadna – mruknął Derebas. – Ale tak z czystej ciekawości... Jak pan na to wpadł? Jak wymyślił pan sobie taką robotę?

– Może zacznę od tego, że przez ponad dwadzieścia lat pracowałem w policji. Dziwicie się? Ale od razu też powiem, że policjantem nie byłem, chociaż przyznaję, dwa razy starałem się o przyjęcie. Ostatecznie zatrudnili mnie, ale jako tak zwanego pracownika gospodarczego. To było w Kłodzku. Zajmowałem się sprzątaniem, byłem dostawcą, trochę magazynierem. A potem mnie wywalili...

– Za co? – zainteresował się Karpiel. Z satysfakcją zauważył, że przestał charczeć i mówi normalnie.

– Jak zwykle, za ojczyznę. Okazało się, że przez kilka tygodni w osiemdziesiątym ósmym roku, jak zaczynałem, byłem na etacie w SB. Nawet o tym nie pamiętałem. Ale w aktach zostało. Wystarczyło...

Hermann się roześmiał.

– Boże, toż to nasz towarzysz niedoli – powiedział, patrząc porozumiewawczo na Derebasa.

– Chyba rozumiem. – Socha lekko się uśmiechnął. – Pan jest pułkownik Hermann, tak? Pana nazwisko obilo mi się o uszy. Nawet w Kłodzku był pan legendą wśród policjantów. Choć nie wszyscy za panem przepadali... Przepraszam za szczerość...

– Dobra, dobra – przerwał mu pułkownik. – I co było dalej?

– Dalej była bida. Żona mnie zostawiła, nie miałem gdzie się podziać, trochę żyłem z socjału, trochę miałem się różnych robót fizycznych.

Wyjechałem z Kłodzka, trafiłem do Warszawy, potem do Rawy Mazowieckiej, i tam, w urzędzie pracy, jak się rejestrowałem, urzędniczka podpowiedziała, żebym się starał o dofinansowanie na otwarcie firmy. Można było kupić za to sprzęt, samochód... A ja akurat parę dni wcześniej przeczytałem artykuł o takim facecie w Brazylii czy gdzieś tam, który miał właśnie taką firmę – sprzątał miejsca zbrodni. Wyobraźcie sobie, że warunkiem tego dofinansowania była – Socha dramatycznie zawiesił głos – „innovacyjność”. No więc ja z moją firmą sprzątającą po mordercach byłem bezkonkurencyjny. Kupiłem auto, sprzęt do sprzątania i trochę detergentów i zacząłem sprzątać...

– Jak zdobywasz zlecenia? – chciał wiedzieć Hermann. – Przecież nikt nie ogłasza na prawo i lewo, że potrzebuje kogoś do posprzątania po nieboszczyku.

– To trochę jak z firmami pogrzebowymi: trzeba mieć dojścia. A ja, jak by nie było, pracowałem te dwadzieścia lat w policji. Zostało mi z tamtych czasów trochę kontaktów. A reszta zleceń to internet. Tak było w przypadku Sobczyka...

– No właśnie – przerwał mu Hermann. – Przechodzimy do sedna sprawy. My prowadzimy poważne śledztwo w sprawie morderstwa, a ty urządzasz sobie z nami zabawę w kotka i myszkę. Każesz się ganiać po mieście, zwodzisz nas... Przez ciebie o mało nie doszło do tragedii. Niedobrze to dla ciebie wygląda... – Socha milczał, wpatrując się w Hermanna. – Ale puścimy to może w niepamięć, jeśli powiesz nam to, co wiesz. Jeżeli oczywiście cokolwiek wiesz.

– „Spójrzcie na to chłodnym okiem” – powiedział Karpiel. – Pamiętasz? Socha uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Coś takiego. Nadal na to nie wpadliście? Trzech doświadczonych gliniarzy? Wstyd, panowie, wstyd. I potrzebujecie pomocy faceta od sprzątania? Ale numer!

– Nie przeginaj, człowieku. – Derebas tracił cierpliwość. – Powiesz nam, co widziałeś, i rozstaniemy się w pokoju. Wyjedziesz stąd i zapomnimy o całej historii.

– Zapomnimy? – powtórzył Socha, udając rozbawienie. – Jak to,

zapomnimy? On mnie postrzelił. – Wskazał palcem Hermanna. – O mało mnie nie zabił. Powinienem być teraz w szpitalu na chirurgii. Będę miał bliźnę do końca życia. Poza tym z tego, co wiem, żaden z was nie jest tu oficjalnie. Nawet nie mam pewności, czy wolno wam używać broni i odznak... Jesteście jak jacyś... renegaci...

– Nie przeginaj, powtarzam – warknął Derebas.

– Ale... – ciągnął Socha – możemy się dogadać. Nie zgłoszę tego postrzału i powiem wam, co wiem, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim? – spytał Karpiel.

– Pozostanę w grze.

– W grze? W jakiej grze? Człowieku, co ty pieprzysz? – zirytował się Derebas.

– Przyjmiecie mnie do swojego zespołu.

Hermann sięgnął do kabury, wyciągnął glocka i przystawił go mężczyźnie do czoła.

– No teraz to cię już, kurwa, naprawdę zastrzelę.



## 68.

Kiedy Hermann dotknął lufą pistoletu czoła Sochy, ten na sekundę, dwie zamknął oczy, jakby wierzył, że policjant znowu naciśnie spust. Zaraz jednak je otworzył i powiedział spokojnym głosem:

– Myślę, że to nie jest wygórowana cena za moje milczenie. A jeśli pozwolicie sobie pomóc, to może nie będziecie zdani na mnie zbyt długo. Może wspólnie szybko rozwiążemy zagadkę i będzie po sprawie? Jestem sprytnym facetem i czasami widzę rzeczy, których inni nie zauważają. Poza tym macie chyba związane ręce. Czy się mylę, czy nie macie tu żadnego oficjalnego wsparcia? Nie możecie już sobie po prostu wezwać na pomoc jakiegoś policjanta z komendy, nie? Przyda wam się osoba, która jest tu anonimowa i nie rzuca się w oczy...

Hermann odsunął pistolet od głowy Sochy, jednak nie schował go do kabury.

– Jak to sobie wyobrażasz? Na czym miałyby właściwie polegać twój udział? – spytał zaskakująco rzeczowym tonem.

– Nic wielkiego. Chciałbym uczestniczyć w spotkaniach waszego zespołu. Jeśli uznacie, że się do czegoś przydam w terenie, to jestem do dyspozycji. Nie wiem, mogę obserwować, znam się na podsłuchach... Tylko tyle.

Zapadło milczenie. Policjanci wymienili spojrzenia.

– Musimy się zastanowić – odezwał się pułkownik. – Siedź tu i się nie ruszaj, jasne?!

– Byle szybko. Muszę jechać do szpitala, żeby mi to zszyli. – Socha spojrział na zakrwawiony ręcznik. Rana nie krwawiła już tak bardzo, a ręcznik zaczął zmieniać barwę na brunatnoczerwoną. – I potrzebuję jakiegoś zastrzyku przeciwbólowego, bo mam wrażenie, jakby ktoś odstrzelił mi pół łba. – Spojrział znacząco na Hermanna, jakby oczekiwał od

niego przeprosin.

Hermann bez słowa poszedł do kuchni, a za nim Karpiel i Derebas.

Narada była krótka. Wrócili po pięciu minutach. Mówił komendant:

– Zrobimy tak: ty nam powiesz, co widziałeś w fundacji, a jeśli uznamy, że to coś ważnego, zgodzimy się na twoją propozycję. Ale jeśli tak się stanie, sprawa musi być dla ciebie jasna – nie istniejesz. Nie jesteś członkiem żadnego zespołu. W ogóle nie ma żadnego zespołu. Wyprzemy się, że kiedykolwiek widzieliśmy cię na oczy. Czy to jasne?

Socha zastanawiał się przez chwilę. Przyjrzał się każdemu z policjantów, jego wzrok na dłużej zatrzymał się na glocku, którego Hermann nadal trzymał w ręku.

– No dobra. To nie jest do końca tak, jak bym to sobie wyobrażał, ale chyba ja też muszę wam zaufać. W końcu komu ufać, jeśli nie policji, nie? – Mimo bólu wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu.

## 69.

– I to wszystko? – Hermann nie krył rozczarowania. – To jest ta twoja wielka tajemnica, z powodu której kazałeś mi się ganiać po mieście i o mało nie dałeś się zastrzelić?

Socha spojrział bezradnie na Karpiela, a potem na Derebasę, jakby szukał u nich wsparcia.

– No chyba sobie ze mnie żartujecie! Teraz będziecie mi wmawiać, że to nic niewarte, żeby się mnie pozbyć? Taki jest plan, żebyście nie musieli dotrzymać umowy? Powtarzam jeszcze raz: kamera w biurze fundacji jest zepsuta. Nie można jej przestawić. To znaczy teoretycznie można, ale w praktyce nie, bo od jakiegoś czasu mechanizm nie działa. Ale z tego, co wiem, działał w momencie, kiedy fundacja przeniosła się do tego budynku. I tamtej nocy, gdy zginął Lewcun, była już unieruchomiona. I jeszcze coś: można odtwarzać nagranie z kamery, ale nie działa podgląd na żywo. Obejrzyjcie jeszcze raz film. Morderca ustawia fotel dokładnie pośrodku kadru. Obiektyw ma bardzo szeroki kąt, obejmuje prawie całe biuro, które jest, jak wiecie, długim pomieszczeniem w kształcie prostokąta. Ale on ustawia fotel z ofiarą w idealnym miejscu! Tak, żebyśmy wszystko widzieli, żebyśmy zauważyli napis na jego plecach. On musiał wiedzieć, jak jest ustawiona ta kamera! Nie ma innej możliwości! Spędziłem tam dwie noce, sprzątajac biuro. Wszystko dokładnie obejrzałem. Ktoś musiał wcześniej sprawdzić na nagraniach, jak ustawiony jest obiektyw.

– Oglądałem tę kamerę – odezwał się Derebas. – Szkło jest przyciemnione, ale jeśli się dokładnie przyjrzeć, z bardzo bliska, to widać, w którą stronę skierowany jest obiektyw.

Socha spojrział zrezygnowany na sufit.

– No tak! Ale wszyscy widzieliśmy ten film, prawda? Czy jest na nim taka scena? Czy widać, jak morderca zbliża się do kamery, żeby sprawdzić,

jak jest ustawiona? Nie? No właśnie. Fotel wjeżdża w kadr i zatrzymuje się od razu tam, gdzie powinien. A sprawca nie tylko nie wtyka nosa w kamerę, ale wyraźnie jej unika.

– Więc sądzi pan, że to Sobczyk? To on za tym stoi? – Teraz Karpiel jako jedyny z trójki zwracał się do Sprzątacza per pan.

– Nie, ja tylko twierdzę, że to musiał być ktoś z biura. Oczywiście Sobczyk miał najwięcej możliwości, ale z drugiej strony w firmie nie panuje jakaś szczególna dyscyplina ani dbałość o bezpieczeństwo. Można sobie wyobrazić, że ktoś w jakiś sposób zdobył tę informację. Ale zacząć trzeba od Sobczyka.

– W porządku, Sprzątaczu, rzeczywiście coś jest na rzeczy – przyznał Hermann. – Komendant Derebas zawiezie cię teraz do szpitala. Może tam nie wszyscy jeszcze wiedzą, że nie jest już komendantem, i uda mu się szybko załatwić zszycie ci rany. Po drodze wymyślcie jakąś wiarygodną historyjkę, jak się tego dorobiłeś. A jutro z rana złożymy wizytę panu Sobczykowi.

## 70.

Był ranek 19 września, piątek, mijał właśnie tydzień od dnia, w którym zamordowano Jana Lewcuna. Do biura Fundacji PioMar weszli we czworo: Hermann, Karpiel, Derebas i Szeliga. Socha chciał im towarzyszyć, lecz Hermann stanowczo odmówił.

– Ale jako kto? Nie jesteś policjantem. Jako świadek? Nie trzeba. Wystarczy, że opowiedziałeś nam, co zobaczyłeś. Nie musisz tam być. Zresztą – uśmiechnął się złośliwie – z tym turbanem na głowie rzucasz się w oczy bardziej niż biały miś na Krupówkach. A podobno miałeś być naszym anonimowym wsparciem w terenie...

Rzeczywiście, opatrunek po zszyciu rany postrzałowej trudno było ukryć nawet pod czapką. Socha był na siebie zły, że nie przewidział takiego oczywistego ograniczenia swojej aktywności w śledztwie, jednak przyznał pułkownikowi rację.

– Masz przecież ten swój podsłuch w biurze, tak? – pocieszał go, ciągle ironizując, Hermann. – Więc będziesz wszystko słyszał. Idź do kawiarni naprzeciwko, podają tam świetną kawę. To dobry punkt obserwacyjny. Wypróbowałem go ostatnio, kiedy ganiałem pewnego oszołoma po mieście...

– Czy coś się stało? – spytał Sobczyk, patrząc trochę zaniepokojony na grupę policjantów. Był wyraźnie zaskoczony ich wizytą.

Derebas rozejrzał się po biurze. Przy większości biurek siedzieli pracownicy fundacji. Oderwali się na chwilę od komputerów i monitorów i zaciekawieni przyglądali się gościom.

– Wie pan, musimy poważnie porozmawiać, i to tutaj, nie w pana biurze – zwrócił się do Sobczyka. – Dobrze by było, żebyśmy nie mieli żadnych świadków. Sugeruję, by zwolnił pan pracowników do domu. Może pan?

– Mogę, oczywiście, że mogę – odpowiedział Sobczyk, patrząc uważnie

na Derebasa. – Rozumiem, że wpadliście na jakiś trop?

– Zaraz się pan wszystkiego dowie – odparł szorstko Derebas.

Sobczyk zmarszczył czoło nad lenonkami, po czym zwrócił się do pracowników:

– Słuchajcie! Na dziś to wszystko! Macie wolne. Jeśli ktoś robi coś naprawdę ważnego, może przyjść jutro i dokończyć, jeśli nie, widzimy się w poniedziałek. Cześć!

Kiedy po niespełna dziesięciu minutach biuro opustoszało, Sobczyk nie wytrzymał:

– No dobrze, powiecie mi w końcu, co to znaczy? Tu już nawet nie chodzi o najście, tylko o te wasze straszne miny. Wcześniej przychodziliście tu jak w gości, a teraz nagle tacy ważni i poważni. A ja wiem, że mógłbym was stąd wyrzucić, bo ktoś inny prowadzi to śledztwo. Wczoraj był u mnie policjant z komendy i zachowywał się tak, jakby całe dochodzenie zaczynało się od początku. Jakby nie wiedział nic z tego, o czym kilka razy rozmawialiśmy.

– Kto to był? Przedstawił się? – zainteresował się Derebas, rzucając Szelidze znaczące spojrzenie. A ona wzruszyła bezradnie ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Nic nie wiem, nic mi nie mówią”.

– Jakiś Jasiński czy jakoś tak. Strasznie gburowaty – odparł Sobczyk.

– No, ale jednak pan nas nie wyrzucił – zauważył pojednawczym tonem Karpel. – Formalnie sprawy rzeczywiście się skomplikowały, ale nadal prowadzimy śledztwo i mamy największą wiedzę na jego temat. I właśnie przyszliśmy do pana, żeby wyjaśnić kilka spraw. I całkiem możliwe, że to wystarczy, by ostatecznie ustalić, co tu się naprawdę stało tydzień temu.

– Okej. – Sobczyk rozłożył ręce. – Od czego chcecie zacząć?

– Od tego – odpowiedział Karpel, wskazując kamerę na suficie.

## 71.

– Więc sugerujecie, że miałem coś wspólnego ze śmiercią tego człowieka? – Piotr Sobczyk zareagował wreszcie na wywód na temat kamery wygłoszony przez Karpiela. Było to prawie słowo w słowo to, co usłyszeli wcześniej od Sochy. Nadal stali pod kamerą umieszczoną na suficie i wpatrywali się w półkulę zaciemnionego szkła, jakby chcieli tam odnaleźć wszystkie odpowiedzi.

– Ale już wam mówiłem, że go nie znałem – tłumaczył Sobczyk. – W życiu go nie widziałem. Nie słyszałem nawet jego nazwiska. Ja w ogóle nie znałem nikogo z Zakopanego, zanim się tu przeprowadziliśmy...

– Pan może nie, ale pana żona owszem – przerwał mu Karpiel.

– Co za bzdury pan opowiada! – wykrzyknął Sobczyk. – Moja żona...

– Urodziła się w Zakopanem, prawda? To pan ciągle kłamie, opowiada zgrabne historyjki, pewnie zresztą po części prawdziwe, żeby odciągnąć nas od faktów. To pan najbardziej w tej sprawie mąci i gmatwa. A fakty są takie, że Maria Sobczyk pochodzi z Zakopanego. Tu się urodziła i tu wydarzyło się coś, co spowodowało, że miała powód, by wrócić i zemścić się na Lewcunie. Skąd to wiemy? Od jej przyjaciółki Anny Kowalskiej, która się wygadała.

Sobczyk chciał coś odpowiedzieć, otworzył nawet usta, lecz zrezygnował. Zamarł na chwilę, jakby postanowił najpierw przemyśleć odpowiedź, przygotować się do kontrataku. Karpiel to wykorzystał.

– W trakcie naszej rozmowy, tu, w biurze, powiedział pan, że za wygrane pieniądze postanowiliście spełnić po jednej zachciance. Pan podobno kupił sobie wymarzonego harleya, a kiedy spytałem o żonę, stwierdził pan, że jeszcze nie wybrała niczego dla siebie. A ja myślę, że wręcz przeciwnie. Zażyczyła sobie powrotu do Zakopanego i zemsty na człowieku, który zniszczył jej życie. Takie było jej życzenie.

Sobczyk pokręcił energicznie głową.

– Co za bzdury! Kowalska musiała coś pokręcić. Powtarzam, moja żona, tak jak ja, nie znała Lewcuna.

– To był podły człowiek – odezwała się nagle Szeliga. – Rozmawiałam z jego żoną. Maltretował ją fizycznie i psychicznie przez całe lata. Inne kobiety też...

– Wiem – przerwał jej Sobczyk. – Czytam gazety.

– Jesteśmy przekonani, że coś takiego lata temu spotkało pana żonę – dodała policjantka. – Niech nam pan powie co. Niech pan nam powie, co jej zrobił.

– Czy to wszystko? To z powodu tych bzdur puściłem dzisiaj pracowników do domu? Ludzie!

– Nie, to jeszcze nie wszystko – odrzekł Karpiel. – Zabójstwa nie dokonała przecież pana chora żona ani pan. Kilka osób dostało jednak propozycję spłaty długów, bardzo wysokich sum, za zabicie Lewcuna. To było jak konkurs albo licytacja. Kandydaci, a wiemy, że było ich co najmniej pięciu, dostali propozycję mejlem, jednak po pewnym czasie wiadomości jakimś cudownym sposobem zniknęły z ich komputerów. Mało tego, to samo stało się z informacjami, które otrzymał dziennikarz „Dziennika Tatrzańskiego”. To były newsy o Lewcunie, najpierw pochlebne, a potem mówiące o tym, jaki był z niego potwór. One też zniknęły.

– No i co z tego? – Sobczyk wrzucił ramionami. – Co to ma wspólnego ze mną i moją żoną?

– Ano ma. Trochę mi zajęło skojarzenie faktów, ale wreszcie na to wpadłem. I to też pan mi zdradził. Powiedział pan, że postanowiliście z żoną nie inwestować pieniędzy w żadne firmy, ale zrobiliście jeden wyjątek: wsparliście start-up z Podhala, małą firmę informatyczną, tak?

– Tak – potwierdził Sobczyk. – Zgłosili się do mojej żony, kiedy się tu przenieśliśmy. Ona wtedy była jeszcze dość zaangażowana w sprawy firmy i czasami rozmawiała z ludźmi. I oni jakoś ją przekonali, może dlatego, że to po prostu fajne ambitne chłopaki, a może ujęło ją to, że nazwali tę swoją garażową firmę „Beckett”, po Samuelu Beckettcie, a moja żona ma słabość do teatru, a na punkcie Becketta to już w ogóle szaleje...

– Ładna historyjka, przyznaję, można by się nawet wzruszyć – mruknął



Karpiel. – Nie powiedział nam pan jednak, czym się chłopcy od „Becketta” naprawdę zajmują. A ja sprawdziłem. Na wasze nieszczęście już wcześniej próbowali znaleźć inwestora i od czasu do czasu pojawiali się w różnych projektach ze swoją ofertą. Publicznie! I w informacji sprzed półtora roku wśród nowych autorskich programów, które opracowali, był i taki, który wycofuje wysłane wiadomości mejlowe wraz z załącznikami. Znalazłem nawet krótki wywiad na YouTube z jednym z nich, opowiadał o tym. To działa tak, jakby do każdego wysłanego elementu podczepiało się oprogramowanie, które na wysłany sygnał niszczy wiadomość. Trochę jak trojan...

Sobczyk pokręcił głową.

– To wszystko poszlaki, przypadki, nawet jeśli wam się to jakoś układa w całość, to jeszcze nie dowód, że naprawdę tak jest...

Hermann westchnął głęboko i podszedł do Sobczyka. Zdjął ciemne okulary, a Sobczyk drgnął na widok jego jasnych, prawie białych tęczywek.

Karpiel się uśmiechnął. W takim momencie przypominał sobie wyjaśnienie, które wiele lat temu usłyszał od Hermanna: „To tylko taka wada genetyczna”.

Hermann położył rękę na ramieniu Sobczyka.

– Proszę zrozumieć – zaczął spokojnym niskim głosem – rozmawiamy najpierw z panem w nadziei, że powie pan to, co chcemy usłyszeć, i nie będziemy musieli niepokoić pana żony. W stanie, w jakim jest... Chcielibyśmy jej tego oszczędzić... Ale jeśli pan nas zmusi, nie będziemy mieli innego wyjścia. Widziałem ją, to może jej zaszkodzić, sam pan wie.

Chyba wszyscy usłyszeli, jak Sobczyk głośno przełknął ślinę.

– Nie żyje. Moja żona nie żyje. Zmarła wczoraj rano.

# Część II

## ❖ Spektakl ❖

# 1.

Od razu było widać, że to dzień premiery – rozświetlony teatr, na parkingu trudno o wolne miejsce, co chwila widzowie, pojedynczo albo w małych grupach, wchodzili po schodach do głównego wejścia, a przez duże okna widać było gości i aktorów kręcących się po foyer, gawędzących i pijących herbatę.

Karpiel obciągnął marynarkę i poprawił krawat z dyskretną srebrną spinką. Rzadko go nosił (miał zresztą w Zakopanem tylko jeden), uznał jednak, że tym razem wypada. Nigdy go nie rozwiązywał, trochę z lenistwa, a raczej dlatego, że nie umiał go zawiązać, nie potrafił też pojąć, po co rozwiązywać coś, co za chwilę i tak będzie zawiązane. Wiedział, że u Hermanna, modnisiaka z zadatkami na dandysa, wywołałoby to oburzenie, zaraz też usłyszałby wykład, dlaczego to takie ważne, jednak nauczył się zaciskać w takich sytuacjach zęby i nie dawać się sprowokować.

Pomyślał o Eli, ponieważ wspólne wyjścia do teatru w Warszawie stały się rytuałem ich związku. Raz w miesiącu, co najmniej, czasami częściej, Ela znajdowała coś w repertuarze i wyciągała go na spektakl. Nie zносиła przy tym sprzeciwu. Na początku protestował albo stosował uniki, jak to on, lecz ona się upierała, a on wiedział, że skoro coś sobie wymyśli, to alternatywą są długie, nieznośne ciche dni, a tego nienawidził z całego serca. Poza tym polubił te teatralne wieczory, bo były odmianą, czymś innym niż brudny, brutalny świat, z którym miał do czynienia w pracy, niż rutyna codzienności. A przede wszystkim sprawiało mu wielką radość siedzenie obok Eli na widowni i obserwowanie, jak w napięciu wpatruje się w scenę, jak chłonie spektakl całą sobą niczym małe dziecko, jakby wierzyła, że to prawdziwy świat, a nie przedstawienie.

I tylko nie mógł przestać się dziwić, jak to się stało, że dziewczyna, która kiedyś robiła wszystko, żeby się znaleźć na dnie, która dawno temu,

w Zakopanem, ćpała i oddawała się pierwszemu lepszemu za parę złotych na działkę, tak się zmieniła. Dziwił się, choć musiał przyznać, że to, iż te dwie Ele tak się od siebie różnią, pomaga mu być z tą drugą, mimo że pamięta o pierwszej.

W wejściu do teatru przepuścił kilka podekscytowanych i szczebioczących pań w średnim wieku. Minęły go, gdy przytrzymał dla nich duże szklane drzwi, a któraś z nich rzuciła coś ni to do koleżanek, ni to do niego: „Patrzcie, teatr to od razu kultura, nawet wśród młodzieży”, a on uśmiechnął się w odpowiedzi na tę jawną kokieterię.

Pierwszy hol był właściwie wielką przeszkloną werandą, po lewej stronie znajdowała się kasa, a właściwie lada, przed którą teraz ustawiała się kolejka po wejściówki, bo biletów dawno już nie było. Po prawej znajdowała się szatnia, to znaczy wieszaki ustawione w rzędach, bez szatniarza, jak gdyby wyjątkowość miejsca miała usprawiedliwić tę trochę zuchwałą jak na obecne czasy ufność w uczciwość gości teatru. Wieczór był ciepły, nie tylko jak na koniec września i nie tylko jak na przeważnie zimne Zakopane, dlatego Karpiel nie miał płaszcza ani kurtki, więc od razu ruszył do właściwego foyer. Po obu stronach wejścia stali aktorzy i sprawdzali zaproszenia. Rozpoznał tylko mężczyznę po prawej, pamiętał go, był chyba w teatrze od początku jego istnienia. Dziewczyny po lewej, bardzo młodej i ślicznej, nie kojarzył, musiała być tu od niedawna. Kiedy nadeszła jego kolej, wyjął z kieszeni marynarki zaproszenie i, skoro mógł wybrać, podał je dziewczynie. Wolał jej piękny uśmiech od trochę zmęczonego grymasu kolegi z zespołu, a ona oddała mu kartonik, który dostał dwa dni wcześniej od Sobczyka.

## 2.

Ku zaskoczeniu Karpiela Sobczyk zagadnął go na pogrzebie swojej żony. Był na nim z Hermannem, ponieważ pułkownik uparł się, żeby tam pójść, jakby to mogło cokolwiek wnieść do śledztwa.

– Nie mamy mordercy, Karpieł – argumentował. – Nie zauważyłeś? Nawet jeśli założymy, że stała za tym Sobczykowa, to przecież nie ona wbiła nóż w serce Lewcuna. No i nie wiemy, jak głęboko siedzi w tym jej mąż. A na pogrzebie dzieją się różne rzeczy. Warto pójść i popatrzeć.

Więc poszli i patrzyli.

Ceremonia była zaskakująco skromna. Obok kolumbarium na cmentarzu przy Nowotarskiej zgromadziło się tylko kilkanaście osób. Mało, pomyślał Karpieł, mało jak na miliarderkę, mało jak na to, co zdążyła w ciągu pół roku zrobić dla miasta. Ale chyba była to także wola jej męża – chciał, żeby to odbyło się tak skromnie – a może nawet jej samej, wyrażona przed śmiercią, bo na tablicy przy wejściu na cmentarz Karpieł nie odnalazł nawet klepsydry informującej o jej zgonie i pochówku. Również w mediach i w internecie nie było wzmianki ani o jej śmierci, ani o terminie pogrzebu. Zapewne więc nawet ci, którzy mieliby powód i wolę, żeby jej podziękować, po prostu o niczym nie wiedzieli. Dziwni ludzie. Ci Sobczykowie. I w tej samej sekundzie usłyszał za sobą szept Hermanna: „Dziwny pogrzeb”.

Nad skromną drewnianą urną nikt nie wygłosił przemówienia ani podziękowań. Sobczyk przyklęknął przy niej, oparł o nią czoło i pocałował drewniane wieko. Potem wziął urnę i umieścił we wnęce kolumbarium. Grabarze (czy ciągle powinno się ich tak nazywać, skoro nikogo już tak naprawdę nie grzebią? – pomyślał Karpieł) zasłonili ją tablicą z czarnego marmuru, a żałobnicy złożyli pod tablicą kwiaty i było po wszystkim.

Tylko kilka osób podeszło do Sobczyka, by złożyć mu kondolencje. Była tam oczywiście Anna Kowalska. Karpieł ledwie ją poznał. Ubrana na

czarno, szłochała w chusteczkę. Z niemałym zdumieniem zauważył burmistrza Cyrwusa. Był z jakimś urzędnikiem albo radnym, który dźwigał za nim duży wieniec z biało-niebieską szarfą – oficjalnymi barwami Zakopanego. Przypomniawszy sobie ulubione powiedzenie Cyrwusa: „Wiem, co tu się dzieje, to moje miasto”.

Karpiel podszedł do Sobczyka ostatni, a zanim to zrobił, odwrócił się w stronę Hermanna, jakby chciał spytać, czy pójdą razem, ten jednak pokręcił głową.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedział Sobczyk, kiedy uścisnął mu dłoń, po czym pochylił się i dodał szeptem: – Chciałbym z panem zamienić kilka słów. Nie zajrzałyby pan do mnie do biura, najlepiej jeszcze dzisiaj?

Zaskoczony Karpiel zdobył się tylko na kiwnięcie głową.

– Czego chciał? – wypalił Hermann, kiedy spotkali się przy cmentarnej bramie.

– Pogadać. Jeszcze dzisiaj.

Hermann uśmiechnął się szeroko.

– A nie mówiłem, że warto chodzić na pogrzeby?

### 3.

Sobczyk podał Karpielowi cienki plik kopert, po czym usiadł za biurkiem. Koperty nie były zaklejone, więc Karpiel otworzył pierwszą z brzegu i wyjął z niej złożony kartonik.

– To zaproszenie na spektakl do Teatru Witkacego – wyjaśnił szybko Sobczyk. – Na pojutrze. Mam nadzieję, że znajdzie pan czas. I proszę zabrać, kogo pan chce...

Karpiel otworzył zaproszenie i przeczytał na głos:

– *Friedrich Dürrenmatt* Wizyta starszej pani. *Reżyseria: Anna Kowalska?*  
– Spojrzał pytająco na Sobczyka.

– Dziwi się pan? Zaraz panu wytłumaczę. Pan wie, że ona i moja żona stały się sobie bardzo bliskie. Nie wiem, jak przetrwałbym te ostatnie miesiące bez pomocy Ani. Ma w sobie tyle energii, jest taką optymistką... Ja już nie dawałem rady. Oglądanie śmierci najbliższych to... Nie potrafię tego opisać. To jak kara za wszystko złe, co się zrobiło w życiu, ściśnięta w kilka miesięcy. Nie, nie wierzę w to, tylko tak mówię, szukam porównania. Nie miałem już sił... Wie pan, co okazało się najtrudniejsze? Ukrywanie bezradności. Moja żona to mądra kobieta, doskonale wiedziała, że umiera i nic tego nie zmieni. Na początku ta otwartość wobec nadchodzącej śmierci nawet nam pomagała. Mogliśmy darować sobie hipokryzję i kłamstwa w stylu: „Na pewno z tego wyjdiesz”. Ale na koniec człowiek potrzebuje jednak jakiejś nadziei. Ten, który odchodzi, i ten, który żegna. Może nawet ten drugi bardziej niż pierwszy. A postawa mojej żony to wykluczała. Wymyśliła sobie chyba, że jeśli będzie ciągle mówiła o swojej śmierci, przegoni swój strach przed nią... A może w ogóle przegoni śmierć? Zauważył pan ten paradoks? Kiedy umierający mówi otwarcie o śmierci, świadomość umierania staje się jak gdyby zaprzeczeniem jej istnienia. – Sobczyk przerwał na chwilę. Zamyślił się, jakby zastanawiał się nad tym, co

sam przed chwilą powiedział. – Przepraszam, zanudzam pana tymi wywodami – rzekł z uśmiechem. – Miałem mówić o teatrze. Pan wie, że poznały się w Teatrze Witkacego? I okazało się, że to nie do końca przypadek, bo dla obu teatr był wielką pasją. Moja żona przez długie lata prowadziła amatorski teatr w Nowym Jorku. Wystawiali różne rzeczy, od Szekspira poczynając, a na jakichś współczesnych, nikomu nieznanach autorach kończąc. Myślę, że kiedy postanowiliśmy przenieść się do Zakopanego, to z całej Ameryki najbardziej było jej szkoda tego teatru. A potem spotyka Annę Kowalską i okazuje się, że tyle je łączy, bo właśnie obie przeniosły się tutaj i obie kochają teatr... Bo, nie wiem, czy pan słyszał, Ania Kowalska studiowała reżyserię i też prowadziła kiedyś kilka teatrów...

– Wiem, mówiła mi. I rozumiem, że efektem wspólnej pasji miał być pomysł wystawienia tej sztuki, tak?

– Tak. Oczywiście nie było łatwo przekonać do tego dyrektora teatru. Sądzę, że na początku myślał, że ma do czynienia z dwoma postrzelonymi babami. – Sobczyk się roześmiał. – Ja bym tak pomyślał. Albo że ktoś sądzi, że skoro ma pieniądze, to może sobie wszystko kupić, nawet teatr. Ale jakoś udało się go przekonać, nawet zgodził się, by reżyserowała Kowalska. Ale to ma być tylko jeden spektakl. Taki warunek. To może nawet lepiej...

– Przykro mi, że pana żona tego nie doczekała.

Sobczyk skinął głową, jakby dawał do zrozumienia, że docenia żal policjanta.

– No widzi pan. To miał być projekt, który utrzyma ją przy życiu, taki był pomysł Kowalskiej, a wyszło pożegnanie.

Gestem ręki wskazał zaproszenie leżące przed Karpiem.

Na dole strony napisano: *Spektakl poświęcony pamięci Marii Sobczyk, wielbicielki teatru.*

– Ale do końca była w to bardzo zaangażowana – podjął. – Codziennie po próbie Ania przychodziła do niej i zdawała relację z przygotowań do premiery. Marysia robiła uwagi, dyskutowały... Oczywiście dopóki miała siłę....

– A dlaczego akurat ta sztuka? Wie pan, o czym to jest?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Obiecałem żonie i Ani, że ją przeczytam,



ale jakoś nie znajdowałem czasu. Wie pan, miałem trochę spraw na głowie. Poza tym nie znam się za dobrze na teatrze. To było życie Marii, moje nie bardzo. A pan zna tę sztukę, komisarzu Karpiel? Lubi pan teatr?

## 4.

Karpiel włożył kartonik do koperty i spojrzał Sobczykowi prosto w oczy.

– Dziękuję za zaproszenie. Chętnie przyjdę. Ale czy to jedyny powód, dla którego pan mnie tu wezwał? Miałem jednak nadzieję, że nie.

Sobczyk uśmiechnął się i pokiwał głową.

– A pan dalej swoje. Nie da mi pan spokoju, co? Musi pan wiedzieć?

– Muszę. Taką mam pracę. I taką naturę. A czasami, i tak jest w tym przypadku, wiem, że ludzie kłamią. Po prostu to wiem. A pan kłamie. Co mnie wkurza. Nawet pan nie wie, jak bardzo. Pana żona się tu urodziła. I spotkała na swojej drodze Lewcuna. Nie wiem dokładnie, gdzie i kiedy, ale z pewnością tak było. Ten drań ją skrzywdził, tak jak wiele innych kobiet. Ale to pana żona postanowiła się zemścić. Czekala na to całe lata, aż w końcu tu wróciła i go zabiła. Miała możliwości. Nie sama, to jasne, zleciła to komuś w tym makabrycznym konkursie.

Karpiel pochylił się do przodu i wbił wzrok w Sobczyka.

– Niech mi pan powie! Niech pan powie, co Lewcun zrobił pana żonie!

Sobczyk wytrzymał jego spojrzenie. Przez chwilę zachowywał się tak, jakby słowa Karpiela nie zrobiły na nim wrażenia.

– Po co to panu? – odezwał się wreszcie. – Do statystyk wykrywalności? Mówi pan, że musi wiedzieć. A co mnie to obchodzi? To co, że moja żona już nie żyje? I co to zmienia? Myśli pan, że teraz to już można zrobić z niej morderczynię? Że ja na to pozwolę, bo pan tak kocha prawdę i nie może pogodzić się z tym, że pan nie wie? Niech pan nie będzie śmieszny!

Karpiel zerwał się z krzesła. Rozpiął kurtkę, jednym szybkim ruchem wyszarpnął koszulę ze spodni i zadarł ją wysoko, odsłaniając brzuch i część klatki piersiowej.

– Nie mam podsłuchu! Widzi pan? I nikomu nie powiem. Chcę tylko wiedzieć, jak było! Może mi pan zaufać...

– Nie...

– Lewcun zgwałcił moją matkę!

Karpiel wcale tego nie planował. Nie chciał o tym mówić i nawet teraz, kiedy jednak to zrobił, nie wiedział do końca, dlaczego tak się zachował. Czy tajemnica jego matki jest warta zagadki śmierci Lewcuna? Czy to naprawdę takie ważne? Ale już za późno. Stało się.

Sobczyk wpatrywał się w niego oniemiały.

– Jak? – spytał wreszcie cicho.

– Powiedział pan, że czytał artykuł o Lewcunie. Jedna z tych historii, ta o kobiecie zgwałconej podczas imienin, to... o mojej matce.

Sobczyk wstał zza biurka i podszedł do okna. Stał plecami do Karpiela i wpatrywał się w coś na zewnątrz. A może po prostu nie miał odwagi spojrzeć Karpielowi w oczy?

Milczał dłuższą chwilę. A potem zaczął opowiadać:

– Marysia miała praktyki w hotelu, w którym Lewcun był dyrektorem. Uczyła się wtedy w technikum hotelarskim w Zakopanem. Lewcun ją uwiódł i zrobił jej dziecko. Miała siedemnaście lat. Oczywiście wszystkiego się wyparł, jeszcze zrobił z niej puszczalską, która spała, z kim popadnie. Była sierotą z domu dziecka, nie miała tu nikogo. Musiała wyjechać, została bez pracy, bez środków do życia. Poroziła, wdały się komplikacje i już nigdy nie mogła mieć dzieci. – Sobczyk odwrócił się do Karpiela. Ich spojrzenia się spotkały. – To tyle, komisarzu Karpiel. Jesteśmy kwita. Moja historia za pana historię. Nic więcej pan ze mnie nie wyciągnie. Niech pan już idzie.

Kiedy Karpiel wyszedł na ulicę, podmuch świeżego powietrza przyprawił go o zawrót głowy. Musiał oprzeć się o ścianę budynku. Wyjął z kieszeni komórkę i drżącą ręką wybrał numer.

W słuchawce usłyszał głos Sochy:

– No co tam...

– Macie to? Słyszeliście, co powiedział?

Po drugiej stronie usłyszał trzaski i telefon przejął Hermann.

– Doskonała robota, Karpiel. Co prawda nie przyznał się, ale to, co powiedział, to i tak dużo. A ten numer z matką? Świetny, naprawdę. Sam

bym tego lepiej nie wymyślił. Kapitalny pomysł!

## 5.

Grę w milczenie z Elą przerwał on. Znowu. Jak wtedy, za pierwszym razem, kiedy po rozmowie w parku jednak ją odnalazł. Potrzebował miesiąca, żeby dojść do tego, że mimo wszystko chce z nią być. Żeby stanąć przed nią i wydukać: „Nie wiem jak, ale spróbujmy”.

Teraz zadzwonił do niej, zanim wszedł do teatru. Odebrała od razu.

– No cześć – rzuciła. Powiedziała to ciepło, a Karpiel poczuł ulgę. Jakby nic się nie stało, jakby nie było tego obustronnego milczenia przez ostatnich kilka dni. Zrobiło mu się głupio, że tak roztrząsał to milczenie i się nim przejmował. Jak zwykle, pomyślał. Czy ja się nigdy nie nauczę brać tego na chłodno? – zganił się w duchu.

A jednak coś go w tej rozmowie od początku niepokoiło. Nie potrafił tego nazwać, czuł jednak, że coś jest nie tak.

– Co słychać, bohaterze? Nadal ratujesz świat przed zbrodniarzami? – powiedziała Ela, a Karpiel wyczuł, że się uśmiecha.

– Ale już kończę. To znaczy kończymy sprawę... Wiesz, było morderstwo, taka dziwna historia...

– Coś tam wiem, oglądam telewizję. Jeśli w Zakopanem jest jakaś głośna sprawa, a ty akurat tam jesteś, to znaczy, że maczasz w tym palce.

– Takie mam już szczęście. – Karpiel starał się sprawiać wrażenie rozluźnionego i radosnego. – Opowiem ci, jak wrócę. Już niedługo. Naprawdę.

Odpowiedziało mu milczenie. Sekunda, dwie, trzy... I wtedy to usłyszał. Odgłos był wyraźny i teraz nie miał już wątpliwości, co oznacza.

– Jesteś w pociągu? – Jego pogodny ton zniknął bez śladu.

Znowu kilka sekund milczenia.

– Wyjechałam. Musiałam.

– Służbowo? Nic nie mówiłaś...

– Nie służbowo, Tomek. Po prostu wyjechałam.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz. Wiem, że rozumiesz. I ja też rozumiem, że ty się od tego twojego Zakopanego nigdy nie uwolnisz. Będziesz tam wracał, ciągnie cię, a ja... sam wiesz... Za którymś razem nie wrócisz... Lepiej będzie...

– Co ty opowiadasz, Elu! Wrócę, zawsze wracam. Słyszysz? Elu...

– Tomek... – zaczęła, lecz w tym momencie połączenie się urwało.

Karpiel spojrział z niedowierzaniem na komórkę. Od razu ponownie wybrał jej numer. „Abonent chwilowo niedostępny” – neutralny zwykle komunikat teraz zabrzmiał niemal jak szyderstwo z jego rozpaczy. Próbował jeszcze kilka razy, lecz skutek był ten sam.

Rozejrzał się bezradnie. Stał przed wejściem do Teatru Witkacego mijany przez coraz liczniej pojawiających się gości. A potem zrobił jedyną rzecz, która mogła zapchać tę czarną dziurę rosnącą mu szybko w piersi. Ruszył do wejścia.

Sprawa, muszę rozwiązać sprawę. Tym zajmę się później, postanowił. Teraz muszę zamknąć śledztwo. Śledztwo jest najważniejsze.

## 6.

W foyer było pełno ludzi. Karpiel rozejrzał się niepewnie w poszukiwaniu jakichś znajomych twarzy. Kilka osób rozpoznał, nie był to jednak nikt z jego obecnych lub dawnych przyjaciół. Między gośćmi krążyli aktorzy, na pewno kręcił się gdzieś sam dyrektor, witając wszystkich z uśmiechem – taki zwyczaj w Witkacym, jeden z wielu, które utrwaliły się przez trzydzieści lat działania teatru.

Karpiel niepewnie kiwał głową na powitanie i mamrotał „dobry wieczór”, przepychając się przez kolejne grupki roześmianych i rozdyskutowanych gości. Większość z nich trzymała w rękach kieliszki z winem, niektórzy filizanki z kawą lub herbatą, ci drudzy bardziej niż ci pierwsi rozglądali się, jakby chcieli z daleka rozpoznać niebezpieczeństwo potrącenia i, nie daj Boże, zniszczenia przykrą plamą kreacji swojej lub sąsiada.

Wypatrzył też parę osób z rady miasta, które przyszły raczej z obowiązku lub żeby się pokazać, kilku bardziej kulturalnych biznesmenów, ot, typowa zakopiańska premierowo-wernisażowa zbieranina.

Był tu z Elą kilka razy, jeszcze zanim przenieśli się do Warszawy. Widział jednak, że nie czuła się w zakopiańskim teatrze najlepiej. Rozglądała się w obawie, że ktoś ją rozpozna, ukrywała po kątach, zwykle odwrócona plecami do sali, niby oglądała obrazy, a tak naprawdę czekała na moment, kiedy będzie już można wejść na widownię, żeby tam wreszcie odetchnąć, gdy zgasną światła. Wtedy brała Karpiela za rękę i przeważnie nie puszczała do końca spektaklu lub co najmniej do przerwy, a on uwielbiał takie „trzymanie za rączkę”, jak to nazywał po sztubacku, bo wiedział, że w tych chwilach jest dla niej najbliższym człowiekiem na świecie, a lubił się tak czuć.

Ale teraz przyszedł tu sam, a Ela była daleko, i to pod każdym względem. W ciągu ostatnich dwóch dni nie napisała nawet SMS-a. W tłumie mignęła

mu biała głowa Hermanna. Pułkownik stał w ostatniej sali foyer przy wielkim stole, na którym wokół kilku termosów z wrzątkiem rozstawiono filiżanki do herbaty. Był ubrany elegancko, jak zwykle, w szykowny niebieski garnitur, który kosztował pewnie kilka pensji Karpiela, a na nosie miał oczywiście ciemne okulary. Kiedy Karpielowi wreszcie udało się do niego precyzyjnie, zobaczył także Derebasa i Szeligę. Oni również wyglądali wyjątkowo, szczególnie ona, o tak, Karpiel musiał przyznać, że to śliczna kobieta. Ubrana w małą czarną mogła zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie.

I wtedy się zaczęło. Nagle w holu zapanowało poruszenie, a Karpiel przeczuwał, na co się zanosi. Jak każdy, kto bywał w tym teatrze, wiedział, że spektakl może rozpocząć się już tutaj, w foyer.

Ktoś odsłonił tablicę na ścianie z napisem *Güllen*, taką, jakie można jeszcze zobaczyć na starych dworcach nad wejściem do budynku stacji, w tym samym momencie rozległ się gwizdek zawiadowcy. Aktorzy zrzucili maski miłych gospodarzy i przywdziali aktorskie miny, zaczęli się przepychać przez tłum gości, mówiąc podniesionymi głosami:

– *Proszę odsunąć się od torów!*<sup>[1]</sup> – Zawiadowca stacji próbował ustawić widzów wzdłuż wyimaginowanej linii na podłodze. – *Zaraz przejedzie pociąg! Ekspresowy! „Roland Szalony”! Wenecja–Sztokholm, jedenasta dwadzieścia siedem!*

Mężczyzna ubrany w znoszony brązowy garnitur, z przekrzywioną muchą, wręczył oszołomionej kobiecie w granatowym lśniącem kostiumie transparent z napisem: „Witaj, Klarciu”. Zaraz podbiegł do niej inny aktor – Karpiel rozpoznał w nim tego starszego, który sprawdzał zaproszenia przy wejściu – wyrwał jej tablicę i ofuknął tego z muchą:

– *Tak nie wypada, panie burmistrzu, to brzmi zbyt poufale.*

Burmistrz podrapał się po głowie i odpowiedział:

– *No to po prostu wypiszemy na odwrocie: „Witaj, Klaro Zachanassian!”. Jeżeli miliarderka będzie wzruszona, zawsze zdążymy odwrócić tablicę. Pamiętajcie, moi panowie, miliarderka jest naszą jedyną nadzieją.*

Stojący za nimi pastor (koloratka i Biblia w ręku nie pozostawiały



wątpliwości co do jego profesji) wtrącił głośno:

– *Prócz Boga.*

Na to inny mężczyzna:

– *Ale od Pana Boga nie dostaniemy pieniędzy.*

Dyskusję przerwała głośna syrena zbliżającego się pociągu, kilka osób drgnęło, zaskoczonych nagłym dźwiękiem, a potem rozległ się nieznośny pisk hamulców.

– *Zatrzymuje się!* – krzyknął ktoś.

– *W Güllen* – dodał inny głos.

– *W najbardziej zapadłej dziurze na linii Wenecja–Sztokholm* – powiedział trzeci głos w tle.

W tym momencie ktoś otworzył drzwi na widownię, a aktorzy zaczęli kierować gości w ich stronę.

– Prosimy na salę! – krzyczeli. – Za chwilę dalsza część powitania pani Klary Zachanassian. Proszę się przygotować! Zaraz powitamy naszą wybawicielkę! Niech żyje nasza miliardka!

Karpiel został nieco z tyłu. Nie znosił się przepychać. Wystarczyło mu, że miał w zasięgu wzroku Hermanna, Derebasa i Szeligę, którzy ustawili się w kolejce do wejścia na widownię i spokojnie czekali. Miał nadzieję, że uda mu się usiąść blisko nich. Nagle ktoś krzyknął tuż za nim:

– Uwaga! Proszę zrobić przejście! Przejście dla trumny!

Obok Karpiela przecisnęło się dwóch mężczyzn niosących wysoko na wyprostowanych rękach czarną drewnianą trumnę. W foyer przygaszono już światła, było więc trochę ciemno, jednak Karpiel i tak zauważył tabliczkę na szczycie trumny i po plecach przebiegł mu dreszcz:

**Jan Lewcun**

**1950–2018**

## 7.

– *Wizyta starszej pani*, tak? – upewniła się może dwudziestoletnia dziewczyna siedząca za długą ladą w miejskiej bibliotece. – Tak, powinniśmy mieć jeszcze jeden egzemplarz – uśmiechnęła się do Karpiela. – Wie pan, mamy takich czytelników, że gdy tylko dowiadują się o premierze w teatrze, to przybiegają do nas, żeby od razu wypożyczyć i przeczytać.

Wpatrywała się przez chwilę w komputer, po czym szybko wstała i ruszyła między regały. Po kilku minutach wróciła z cienką książeczką i wręczyła ją Karpielowi.

– Pan też zdąży przed premierą – znowu się uśmiechnęła, tym razem znacząco. – Niecałe sto stron. I zapraszamy do nas częściej. Nie było pana przez kilka lat.

Karpiel nie odpowiedział, ale odwzajemnił uśmiech.

Przyszedł tu od razu po rozmowie z Sobczykiem. Biblioteka znajdowała się dosłownie kilka kroków od biura fundacji i zajmowała rozległy parter w jednym z bloków na osiedlu Łukaszówki. Rzeczywiście nie był tu od wielu lat. Po pierwsze, zajęty pracą chyba mniej czytał, po drugie, wolał po staroświecku kupować książki i ustawiać je na półce niczym trofea, a po trzecie, przecież w ostatnich latach rzadko bywał w Zakopanem.

Z zamyślenia wyrwało go klepnięcie w ramię. Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z rudobrodym burmistrzem Leonardem Cyrwusem.

– No proszę, proszę, pan komisarz w naszej bibliotece. Miło, miło. Jak się panu podoba po remoncie? A był pan w naszej czytelnicy? Wpadłem na chwilę pogadać z dyrektorką, czasem zajdę tu na kawę, sprawdzę, co się dzieje. Pan wie, pańskie oko konia tuczy...

Zauważył książkę w ręku Karpiela.

– Aha, już rozumiem. Pan się wybiera na premierę. – Zmienił ton na poważny, prawie żałobny. – Widziałem pana na pogrzebie Sobczykowej.

Przykra sprawa, naprawdę. I coś jest w tym powiedzeniu, że pieniądze szczęścia nie dają. Zdrowia nie da się kupić, nie? Tak właściwie, wie pan, to jej nie znałem. Rozmawiałem tylko z jej mężem. A oni oboje w ogóle mało pokazywali się publicznie. Nie przychodzili nawet na te imprezy, które sponsorowała ich fundacja. – Cyrwus pochylił się w stronę Karpiela i zaczął mówić ciszej: – Szczerze mówiąc, miałem im to trochę za złe. Dlaczego? Bo ja muszę być na każdej premierze, na którą miasto sypnie choćby parę groszy. Na plakacie zawsze jest napisane: „Burmistrz Miasta Zakopane Leonard Cyrwus”. Obowiązkowo! Żeby wiedzieli i zapamiętali, kto daje. A u nich? Nawet tego nie pilnowali. No to ludzie podobno zaczęli mówić, że ja taki małostkowy, a oni skromni i z gestem. Tak to jest z bogaczami. Stać ich na to, żeby się nie chwalić tym, co robią. Ale to miły gest na pożegnanie, spektakl poświęcony zmarłej... Bardzo miły. Może też przyjdę, choć nikt mnie oficjalnie nie zaprosił. To jednak nieładnie, nie uważa pan? Ostatecznie burmistrz to burmistrz...

Karpiel nie mógł tego słuchać. Na szczęście w tej chwili zadzwoniła komórka Cyrwusa, burmistrz wyjął aparat z kieszeni, pokazał Karpielowi gestem, że musi odebrać, a ten wykorzystał okazję, żeby szybko opuścić bibliotekę. Stanął przed budynkiem, zapalił papierosa i pomyślał, że wciąż istnieje niebezpieczeństwo, że Cyrwus go tu zobaczy i będzie chciał kontynuować swój monolog, ruszył więc przed siebie, przeszedł przez aleję 3 Maja i znalazł się na Równi Krupowej.

Niebo było lekko zachmurzone, ale nie zanosило się na deszcz, od południa wiał lekki ciepły wiatr. Karpiel znalazł pustą ławkę przy jednej z asfaltowych alejek, usiadł i zaczął czytać.

## 8.

Hermann bywał niemożliwy. Miał szczególną zdolność okazywania innym swojej wyższości intelektualnej i udowadniania, że są nieukami i ignorantami.

Kiedy Karpiel wrócił do domu, zastał tam Derebasa i Hermanna. Bez słowa wręczył im koperty, które dostał od Sobczyka, czekał, aż je otworzą i przeczytają zaproszenia do teatru, i dopiero wtedy z triumfem rzucił na stolik cienką książeczkę z tekstem sztuki.

– Nie uwierzycie, o czym jest to przedstawienie – powiedział z miną osoby lepiej poinformowanej.

A Hermann spojrzał na niego z mieszaniną pogardy i współczucia, westchnął głęboko i powiedział:

– Klara Zachanassian, ekstrawagancka miliarderka, wraca po wielu latach do swego rodzinnego miasteczka Güllen. Miejscowość to dziura, w dodatku bardzo podupadła. Wszystkie zakłady pracy dawno zbankrutowały, ludzie są bezrobotni i zadłużeni, dlatego wyczekują jej wizyty jak wybawienia, bo liczą, że sygnie pieniądzem i uratuje ich przed biedą. Wszyscy przygotowują się do jej powitania, a szczególną rolę ma w tym odegrać niejaki Alfred Ill, jej przyjaciel i kochanek z czasów młodości. Ma ją skłonić do hojnego gestu poprzez wywołanie wspomnień o ich młodszej miłości. Miliarderka rzeczywiście się pojawia i zamierza spełnić ich życzenie: ofiaruje pięćset milionów dla miasta i jeszcze chce dołożyć drugie tyle dla mieszkańców, ale...

– Ale jest jeden warunek – nie wytrzymał Karpiel. – Ktoś musi zabić Alfreda Illa, mężczyznę, który zrobił jej dziecko, a potem porzucił i doprowadził do tego, że musiała w hańbie opuścić miasteczko... Znajoma historia, co? Pan to czytał, pułkowniku? Naprawdę?

– Nie czytałem. To sztuka teatralna – odpowiedział Hermann

protekcjonalnym tonem. – Nie czytam sztuk, chodzę na nie do teatru... Po to zostały napisane. A jeśli, Karpiel, nieuku jeden, nie natknąłeś się na to w trakcie twojej dziurawej edukacji, to informuję cię, że akurat tę sztukę można było całkiem niedawno zobaczyć w Teatrze Telewizji. Klarę Zachanassian grała Krystyna Janda, a Alfreda Illa Jerzy Stuhr. Polecam, przedni spektakl. Ale na to przedstawienie wybiorę się z przyjemnością...

– Ale co to ma wszystko znaczyć? Co to za dziwne powiązanie?

– Są dwie możliwości – odparł spokojnie Hermann. – Albo to tylko zgrabna pointa tej historii, albo coś więcej. Tak czy inaczej, powinniśmy to zobaczyć. Karpiel, ty masz w ogóle jakiś krawat?

## 9.

Scena znajdowała się na wprost wejść z foyer, na poziomie podłogi, tak że aktorzy wchodzili na nią nie z kulis, lecz właśnie z holu. Krzesła dla widzów ustawiono natomiast na prawo i lewo od sceny, na specjalnych podestach tworzących coś w rodzaju amfiteatru. Karpiel siedział w trzecim rzędzie na prawo od wejścia, rząd niżej, tuż przed nim, miejsca mieli Hermann, Derebas i Szeliga.

Na scenie mieszkańcy Güllen szykowali się na przyjęcie miliardarki, gimnastycy próbowali ustawić niemrawą piramidę, chór strasznie fałszował, ćwicząc *Szła dzieweczka do laseczka*, a burmistrz kręcił się w kółko, powtarzając na głos kwestie mowy powitalnej.

Wtedy pojawiła się ona, Klara Zachanassian. Szła sztywno wyprostowana, kuśtykając o lasce, a każdemu jej krokowi towarzyszyło niepokojące tykanie zegara. Przystanęła – cisza. Ruszyła – znowu tykanie.

Była ubrana w czarno-czerwoną suknię, na głowie miała czarny toczek z czerwoną woalką, dla Karpiela wyglądała trochę jak tancerka flamenco.

– *Czy to Güllen?* – spytała.

I dopiero w tej chwili Karpiel ją rozpoznał: to była Anna Kowalska.

Kiedy spotkali się dwa dni temu, nie powiedziała mu, że będzie grała w tej sztuce. Mówiła, że jest bardzo zajęta przygotowaniem do premiery: „Mam urwanie głowy, wie pan, tyle spraw do załatwienia”... W końcu jednak zgodziła się na spotkanie. „Nie dłużej niż pół godziny, zaznaczyła. Na Strychu, tak jak poprzednio. O jedenastej”.

– W czym mogę jeszcze panu pomóc? – spytała chwilę po tym, gdy usiadła w fotelu na tarasie i zapaliła papierosa. Rzeczywiście musiała być zapracowana i zmęczona, bo wyglądała tak, jakby od ich poprzedniej rozmowy przybyło jej kilka lat. Była blada, nie mogła tego ukryć nawet opalenizna, chyba schudła, a zmarszczki na twarzy zrobiły się napastliwe

i nieładne.

– Dwie sprawy, pani Anno, nie dają mi spokoju. Po pierwsze to, że Maria Sobczyk pochodziła jednak z Zakopanego. Pani o tym wiedziała, niech pani nie zaprzecza, jej mąż to potwierdził. Urodziła się tu i wychowała w domu dziecka. Potwierdził także to, że Lewcun ją skrzywdził, dawno temu, że była z nim w ciąży, a potem on się tego dziecka wyrzekł i jej też. Miała więc wszelkie powody, żeby się zemścić, żeby zorganizować konkurs na to, kto za nią tego dokona. Przez ostatnie miesiące była pani jej najlepszą i najwierniejszą przyjaciółką, nie wyobrażam sobie, żeby nic pani o tym nie wiedziało. Musiała pani wiedzieć. Więc pewnie pani wie także, kto wygrał ten konkurs, kto wbił nóż w serce Lewcuna...

– Przerwę panu, bo szkoda naszego czasu. Odwrócę pański wywód. Tak, to prawda, byłam jej najbliższą przyjaciółką i przez ostatnich kilka miesięcy spędzałam z nią każdą wolną chwilę. I właśnie dlatego jestem pewna, że to nie ona... Mogę panu przysiąc, na co pan chce, że kobieta, którą właśnie pochowaliśmy, Maria Sobczyk, nie miała z tym nic wspólnego.

Zapaliła następnego papierosa. Karpiel uważnie jej się przyglądał, kiedy pewną ręką zbliżała płomień zapalniczki do cienkiego marlboro. Kłamie czy nie? Jest taka dobra czy po prostu nic nie wie? – zastanawiał się.

– Nie wiem, dlaczego Piotr panu to opowiedział – podjęła Kowalska. – Ale to właściwie niczego nie zmienia...

– Myli się pani. Pojawia się motyw. A motyw zmienia wszystko. Jest najważniejszą przesłanką zbrodni. Motyw plus możliwości. A możliwości miała prawie nieograniczone...

– Ależ proszę pana, ona była schorowaną, zniszczoną przez życie kobietą. Naprawdę pan myśli, że człowiek w takiej chwili, kiedy umiera, kiedy wie, że zaraz odejdzie ostatecznie, na zawsze, że w takiej chwili zajmuje się wyrównywaniem rachunków sprzed kilkadziesiąt lat? Ona leżała w łóżku obolała, słaba i walczyła o każdy oddech. Gdyby w takiej chwili... To byłoby... nie wiem, to byłoby chore.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Więc kto, jeśli nie ona? A może to po prostu jej mąż? Zrobił jej prezent przed śmiercią... – podsunął Karpiel.

– Pan siebie słyszy?! – wybuchła Kowalska. – Co pan za bzdury opowiada! Prezent! Też pan wymyślił. A nie zastanawia pana miejsce, w którym to się odbyło? Że to chyba zbyt proste, nie, głupie, że to się stało właśnie w biurze fundacji? Kto przy zdrowych zmysłach zabijałby we własnym biurze, żeby ściągnąć na siebie podejrzenia?

– Więc kto?

– Jak to kto? – Spojrzała Karpielowi w oczy. – Oni. – Gestem dłoni z papierosem pokazała miasto rozpościerające się u ich stóp. – Oni.

– Co za oni?

Westchnęła głęboko.

– Oni, czyli deweloperzy, których podkupił Sobczyk. Zemścili się. I też mieli możliwości.

– No właśnie. – Karpiel się ożywił. – To ta druga sprawa, o którą miałem spytać. Tu też nie była pani z nami do końca szczerza. Pani opowiedziała to tak, jakby to była inicjatywa Sobczyków, trochę zasugerowana przez panią i pani stowarzyszenie. A ja wiem, że było odwrotnie: to oni, czyli właśnie grupa deweloperów, zgłosili się do Sobczyka z propozycją zakupu tych nieruchomości i początkowo to miał być ich wspólny biznes. Po prostu chcieli dopuścić go do interesu i pewnie jakoś ze sobą związać. Widzi pani? – powiedział niemal z triumfem. – Kłamie pani, a potem oczekuje ode mnie, że będę wierzył, kiedy pani przysięga na wszelkie świętości, że coś jest tak, a nie inaczej.

Gdy Kowalska zapalała kolejnego papierosa, trzęsła jej się ręka. Dość długo zwlekała z odpowiedzią, jakby szukała argumentów.

– Przepraszam, może to tak wygląda, ale... tego nauczyło mnie życie. Mówić o sobie jak najmniej. Zawsze na wszelki wypadek rozsunąć jakąś zasłonę dymną. To już chyba u mnie odruch bezwarunkowy. Przepraszam pana.

– Więc jak było naprawdę?

– Naprawdę to wcale nie przyszli z tym najpierw do Sobczyka, tylko do nas, do Stowarzyszenia Ochrony Zabytków. A tak właściwie przyszło ich dwóch: Filipiak i Bielawa. I to nam złożyli propozycję.

– Wam? – zdziwił się Karpiel.



Kowalska się zaśmiała.

– No właśnie, nam. Otóż sprytni panowie wymyślili sobie fantastyczny sposób na zrobienie wielkiego interesu na zakopiańskich zabytkach. Wie pan, oni do tej pory mozolnie przejmowali pojedyncze obiekty, za każdym razem walcząc z urzędami, z konserwatorem zabytków, z inspektorem nadzoru budowlanego i oczywiście z nami i innymi stowarzyszeniami. Oczywiście ostatecznie i tak stawiali na swoim, ale kosztowało ich to mnóstwo czasu, a przede wszystkim ludzie wieszali na nich psy, że niszczą Zakopane, że są chciwi, i tak dalej. A więc wpadli na to, jak załatwić to na większą skalę. Zainteresowałam pana? – Karpiel skinął głową. – No więc panowie spotkali się z zarządem stowarzyszenia i przedstawili nam plan ratowania... – Kowalska przerwała na sekundę, kreśląc w powietrzu cudzysłów – najważniejszych zabytków zakopiańskich. Otóż we współpracy ze stowarzyszeniem przeniosą obiekty z listy, którą nam przedstawili, na tereny prywatne albo miejskie, jeśli miasto się do projektu włączy, i stworzą tam skansen stylu zakopiańskiego. A na miejscu tych zabytków, na pustych działkach, wybudują nowoczesne budynki, oczywiście trochę większe i bardziej funkcjonalne, ale po tym, gdy zaakceptujemy projekty.

– Nie wierzę – sapnął Karpiel.

– Tym razem mówię świętą prawdę. Może to potwierdzić kilka osób, które były na spotkaniu. A wie pan, co w tym było najbardziej oburzające? To, że te buce myślały, że jesteśmy tacy głupi, żeby się na to nabrać.

– Więc wasze stowarzyszenie miało im pobłogosławić i zagwarantować społeczną akceptację...

– Tak, choć na koniec rozmowy wyszedł z nich jednak cynizm, kiedy oznajmili nam, że te budynki i tak prędzej czy później znikną, a dzięki nam mogą przynajmniej w takiej formie zostać zachowane.

– I co z tym zrobiliście?

– W pierwszej chwili miałam ochotę wstać, przerwać spotkanie i wyrzucić ich za drzwi. A potem ochłonęłam i zaczęłam się zastanawiać, jak udaremnić ich plan. Wieczorem tamtego dnia byłam u Marysi i wszystko jej opowiedziałam. Był przy tym Piotr. I wtedy wpadliśmy na pomysł, żeby ich załatwić ich własną bronią. Spotkałam się z Filipiakiem i Bielawą jeszcze

raz, tym razem sama, i powiedziałam, że zgodzimy się na ten układ, pod warunkiem że dopuszczą do biznesu Sobczyka. Nawet chętnie na to przystali, bo nie mieli tylu wolnych środków, żeby od razu wykupić wszystkie obiekty, a tu trafił się taki inwestor, w dodatku zielony i napalony. Dogadali się, zaczęli przygotowywać jakieś umowy, pertraktować podział wkładu i zysków, a w tym czasie Piotr wypuścił już swoich ludzi, żeby po cichu kupili te zabytki. Gdyby pan słyszał, co mi powiedział przez telefon Filipiak, kiedy sprawa wyszła na jaw, nie miałby pan żadnych wątpliwości, że oni byliby zdolni do tej zbrodni, żeby tylko zemścić się na Sobczyku.

Karpiel uśmiechnął się pojednawczo.

– Wierzę pani.

## 10.

Na scenie chór mieszany i zespół młodzieżowy śpiewały „skromną pieśń ludową” na powitanie Klary Zachanassian. Odgłos kolejnego przejeżdżającego pociągu zagłuszył fałszowane *Szła dziewczeczka do laseczka*.

– *Dobrze śpiewaliście, gülleńczycy* – powiedziała starsza pani głosem Anny Kowalskiej. – *Zwłaszcza ten blondyn na skraju po lewej, ten bas z dużym jabłkiem Adama, był doprawdy niezwykły.*

Mężczyzna precyzyjnie się między chórzystami i stanął na bacność przed Klarą Zachanassian.

– *Wachmistrz policji Hahncke, łaskawa pani. Jestem do pani dyspozycji.*

– *Dziękuję. Nie mam zamiaru nikogo aresztować. Ale miastu Güllen może pan będzie potrzebny. Potrafi pan czasem przymknąć oko na to i owo?*

Policjant uśmiechnął się szeroko.

– *Oczywiście, łaskawa pani. Jakże bym sobie inaczej poradził w Güllen?*

– *No to niech pan raczej przymknie oba.*

Może Karpielowi tylko tak się wydawało, lecz z każdą kolejną sceną, w której pojawiała się Kowalska, jej postać była jakby coraz większa. Kiedy witano ją entuzjastycznie na dworcu, wyglądała jak zasuszone staruszka, teraz urosła, była o pół głowy wyższa od burmistrza, do którego właśnie się zwracała, wymachując laską:

– *Jestem wzruszona waszą bezinteresowną radością z powodu moich odwiedzin. Co prawda byłam trochę innym dzieckiem, niż to przedstawił burmistrz w swoim przemówieniu, w szkole dostawałam lanie, a kartofle dla wdowy Boll ukradłam wspólnie z Illem nie po to, żeby ocalić starą stręczycielkę od śmierci głodowej, lecz żeby położyć się razem z nim do łóżka, gdzie było wygodniej niż w Konradowym Lesie czy w Piotrowej Stodole...*

A co z przeszłością Marii Sobczyk? Co z jej dzieciństwem i młodością w Zakopanem? Jeśli to prawda, co powiedział jej mąż, jakieś informacje na ten temat powinny znajdować się w archiwum domu dziecka. Warto to sprawdzić, pomyślał. Na szczęście dyrektor bidula pamiętał Karpiela z dawnych lat i przyjął go bardzo życzliwie.

– Wcześniej dom dziecka był na Jaszczurówce i działał tam od sześćdziesiątego drugiego roku – powiedział, stawiając przed Karpiem czerwony kubek z parzoną kawą. – Cukier? Nie? Podziwiam, ja nie mogę przestać słodzić. To znaczy istniał nawet przed sześćdziesiątym drugim, ale prowadziły go wtedy urszulanki. Potem komunistyczne władze zabrały siostrą budynek i zorganizowały tam Państwowy Dom Dziecka. Funkcjonował do połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy przeniesiono go do centrum Zakopanego, czyli tutaj, a tam jest teraz przedszkole, znowu prowadzone przez siostry. A czego właściwie pan szuka?

– Informacji o pewnej kobiecie... – Karpiel urwał, bo właśnie w tej chwili coś przyszło mu do głowy. – Nie, właściwie to o dwóch kobietach. To znaczy wtedy to były oczywiście dzieci. I całkiem prawdopodobne, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przebywały w domu dziecka w Zakopanem.

– Jak się nazywały?

Karpiel rozłożył bezradnie ręce.

– Niestety nie znam nazwisk rodowych. Wiem, jak się nazywają teraz, a to chyba nic nie da. Znam też tylko przybliżone daty urodzin i imiona.

– To może nie wystarczyć. Wie pan, elektroniczny rejestr naszych wychowanków prowadzimy dopiero od dziewięćdziesiątego drugiego roku. Ale jeśli chce się panu pogrzebać trochę w starych księgach, zaprowadzę pana do archiwum. Albo nie, jeszcze lepiej, przyniosę te księgi tutaj, żeby pan mógł je w spokoju przejrzeć. Ja i tak mam za chwilę zajęcia... Wrócę za godzinę... Tylko od razu zaznaczam, że nie mamy żadnej pewności, czy księgi są kompletne. Wie pan, jaki kiedyś panował bałagan.

Karpiel pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Trochę zbyt ekspresyjnie – usłyszał cichy komentarz Hermanna siedzącego przed nim, kiedy Klara Zahanassian złożyła wreszcie mieszkańcom Güllen deklarację, na którą tak czekali:

– *...pragnę oświadczyć, iż gotowa jestem podarować miastu Güllen okrągły miliard. Pięćset milionów dla miasta i pięćset milionów do rozdziału na wszystkie rodziny.*

– *Miliard!* – wykrzyknął z entuzjazmem burmistrz.

– *Miliard!* – powtórzyli chórem mieszkańcy.

## 11.

Aspirant Szeliga spojrzała na ekran wibrującej komórki. Niemożliwe, pomyślała zaskoczona. Miała dziś w pracy urwanie głowy, wiedziała jednak, że ten telefon może się nie powtórzyć, więc szybko odebrała.

– Aspirant Szeliga, o co chodzi?

Cisza. Kiedy się wsłuchała, dotarł do niej szmer gwałtownie wydychanego i wdychanego powietrza.

Postanowiła zagrać *va banque*.

– Pani Heleno, słyszy mnie pani? – powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Czy coś się stało? Czy mogę pani jakoś pomóc?

Cisza, a potem sygnał rozłączenia rozmowy.

Policjantka zaklęła w duchu. Trzymała komórkę w zaciśniętych dłoniach i wpatrywała się w nią z napięciem. No, odwagi, jeszcze raz, kobieto. Proszę.

Aż podskoczyła, kiedy komórka znowu zawibrowała. Oczekała, aż wybrzmi drugi sygnał, potem trzeci, i wreszcie odebrała.

– Halo? Pani Heleno, co u pani słychać? Wszystko w porządku?

– Dzień dobry – powiedziała Helena Lewcun. Jej głos lekko drżał. – Przepraszam. Bardzo przepraszam za...

– Nie szkodzi, pani Heleno – przerwała jej Szeliga. Nie chciała, żeby kobieta zagubiła się w swoim zakłopotaniu. – Co u pani słychać?

– Różnie. Bardzo różnie. Wie pani, te teksty w gazetach o moim mężu... Nawet jeśli to wszystko prawda... Oczywiście wiem, że to prawda, kto wie lepiej niż ja, jaki był. Ale ludzie są okrutni. Spotkało mnie kilka nieprzyjemności z tego powodu...

– Nieprzyjemności? Naprawdę? Kto...

– Nieważne. Pomyślałam, że to taka dodatkowa kara za to, że milczałam

przez tyle lat...

– Co też pani mówi? Nie powinna pani się obwiniać. Pani sama była ofiarą. Przeszła pani piekło. Proszę dać spokój takim myślom.

– Przyznam się, że przez chwilę byłam na panią bardzo zła.

– Na mnie? Dlaczego?

– Bo pomyślałam, że ten tekst w prasie to z przecieków od was... Ale potem się zastanowiłam i doszłam do wniosku, że to raczej niemożliwe. Że to ktoś inny.

– Niestety nie wiemy, skąd „Dziennik” to miał – wyznała Szeliga. – A właściwie inaczej. Myślę, że mogę to pani powiedzieć, oczywiście w tajemnicy: oni dostali te materiały anonimowo.

– Tak? Więc ktoś znał takie sprawy z życia mojego męża? Ciekawe kto...

– Znajdziemy go. Zobaczy pani.

Znowu zapadła cisza. I znowu Szeliga słyszała tylko oddech Lewcunowej.

– Prosiła pani, żebym zadzwoniła, kiedy sobie coś przypomnę...

– Tak. I przypomniała sobie pani? – Szelidze trudno było opanować emocje. Od początku tej rozmowy miała nadzieję, że kobieta właśnie coś takiego powie.

– Pamięta pani, opowiadałam, jak wyglądały te popijawy mojego męża i Andrzeja Siutego? Mówiłam też, że robiłam na nich za służącą, przynieś, wynieś, pozamiataj... Oni po pewnym czasie zaczęli traktować mnie jak powietrze albo jakbym nie rozumiała ich języka lub była głucha. I czasem, gdy wchodziłam do nich, to co nieco słyszałam. Różne historie. Ale kiedy popili, często się powtarzali. I była jedna taka historia, którą opowiadali wyjątkowo chętnie...

– Może mi ją pani przytoczyć?

– Mogę pani powiedzieć, że słowo, które się w niej nieustannie przewijało, to był „nóż”.

– „Nóż”? Na pewno? Nie myli się pani? A coś jeszcze? Co jeszcze było w tej historii?

Kobieta się zawahała.

– Ale to chyba nie na telefon, wie pani? Może wpadnie pani do mnie na kawę? Tak jak wtedy?



## 12.

Bohdan Filipiak nie wyglądał na miłego człowieka. Miał chudą zaciętą twarz pięćdziesięciolatka, cienkie usta, które nawet w uśmiechu kierowały się kącikami do dołu, przenikliwe i trochę wylupiaсте oczy. Na pewno nie był to jowialny, bezpośredni typ biznesmena, jakich Karpiel na Podhalu spotkał wielu. Nie, Filipiak już w pierwszym kontakcie robił wrażenie oschłego, żeby nie powiedzieć, odpychającego typu.

– Co tu dużo mówić – odezwał się trochę ochrypłym głosem – ta cała Kowalska to niezły oszołom. Miasto właśnie przez takich jak ona schodzi na psy. To samo tyczy się tych Sobczyków. To przecież przybłędy są wszystko. To co, że bogaci, ale przybłędy. Zakopane pełne jest teraz jakichś obcych, mieszańców i przebierańców. Dawniej to przynajmniej człowiek ich jakoś rozpoznawał, wcześniej Żydów, potem Cyganów, a teraz? Pomieszka toto rok albo dwa na Podhalu i już dupę wbija w bukowe portki albo góralską spódnice. Myślą, że jak ich stać, żeby tu sobie postawić jakąś willę albo pensjonacik, to już mają prawo się panoszyć i czuć jak u siebie. Gówna prawda! Swój to swój, a obcy to obcy! Nie mam racji? Żeby było jasne, nie mam nic przeciwko turystom. Wiadomo, żyjemy z nich. Ja nawet bardziej niż pan. Ale niech posiedzą, odpoczną, polatają po górach, a potem won do domu!

W chwilach takich jak ta Karpiel myślał, że Ela ma rację, że nienawidzi tego miejsca.

– Przesadza pan – powiedział. – Ja sądzę, że ludzie powinni żyć tam, gdzie chcą. Ja na przykład ostatnio mieszkam w Warszawie. Był pan kiedyś?

Filipiak zachnął się i skrzywił jeszcze bardziej.

– To czego pan właściwie ode mnie chce? – spytał.

– Żeby mi pan opowiedział, jak to naprawdę było z tymi zabytkami. Kto w końcu do kogo przyszedł? Kto kogo wykołował?

– Ta paniusia jest za cienka, żeby nas wykołować. Jej historia jest przecież głupia jak ona sama. Nie widzi pan tego? Jaki skansen? Co za pomysł?

– No, ale jednak Sobczyk w porozumieniu z nią czy też z jej Stowarzyszeniem Ochrony Zabytków wykupił tych kilkanaście nieruchomości, i to prawie wszystkie jednego dnia. Nie wmówi mi pan, że to nie było zaplanowane. I czy nie było tak, że pan i kilku innych inwestorów też mieliście na nie ochotę? Tajemnicą poliszynela jest, że na jakimś etapie mieliście to kupić wspólnie z Sobczykami, jako spółka inwestorska. To tak szczerze – Karpiel poszukał wzrokiem oczu mężczyzny i wytrzymał jego spojrzenie – ile kasy przeszło wam koło nosa?

Filipiak zacisnął zęby. Może przez sekundę groteskowo zadrżała mu broda, lecz szybko opanował złość. Kąciki ust znowu powędrowały w dół.

– Myśli pan, że nie wiem, o co panu chodzi? – Wbił dłonie w podłokietniki skórzanego biurowego fotela. – Pan chce mnie sprowokować, żeby wyszło, że miałem motyw, żeby zrobić Sobczyków w morderstwo tego Lewcuna. – Pogroził Karpielowi palcem. – Nic z tych rzeczy. Biznes to biznes. Raz się wygrywa, innym razem dostaje w dupę. Nawet jeśli w opowieściach tej nawiedzanej świruski jest odrobina prawdy, to na tym świat się nie kończy. Jeszcze jest trochę starych chałup do przejścia. Może nawet w lepszych lokalizacjach. I powoli, krok po kroku, zrobimy z Zakopanego nowoczesne miasto turystyczne. To oni robią tu skansen, wie pan? Oni. Ci niby obrońcy starego Zakopanego. Tradycja, klimat, Witkiewicz... Co za bzdury! Ludzie chcą tu przyjechać na relaks, nocować w nowoczesnym hotelu z klimatyzacją, iść do spa lub na basen, a nie gnieść się w starej zatęchłej chałupie i słuchać, jak trzeszczy dach. Kto tego nie rozumie, padnie prędzej czy później...

– Ale Zakopane jest też lubiane za ten swój oryginalny charakter – zauważył Karpiel. – Inaczej będzie jak sto innych miast...

– Niech pan mi tu nie pieprzy, dobrze? Siedzę w tym biznesie od trzydziestu lat. Oddałem temu miastu więcej pieniędzy w podatkach, niż pan przez całe życie zarobi. Daję pracę setkom ludzi, promuję miasto. To ja i tacy jak ja wiemy, co dla Zakopanego jest dobre, a co nie... A takie głupie

baby jak ta Kowalska wszystkie kończą tak samo: zostają sfrustrowanymi dziwaczkami.

Karpiel nie mógł powstrzymać westchnienia. Czuł się bezsilny. Postanowił ostatecznie przerwać wywód biznesmena, przechodząc do rzeczy:

– Co pan robił dwunastego września w nocy?

– Siedziałem w domu.

– Ktoś to może potwierdzić?

Filipiak zastanawiał się przez chwilę.

– A wie pan, że może. Byłem sam, ale koło północy przed moim domem był wypadek. Jakiś młody po pijaku wjechał w drzewo. Zrobiło się oczywiście niezłe zbiegowisko... Kilka osób musiało mnie widzieć.

– Ktoś konkretny?

– Tak. Staliśmy razem z Kornelem Makowskim. Jest moim sąsiadem na ulicy Balzera. Pracuje teraz jako komendant Straży Gminnej w Kościelisku. Powinien go pan kojarzyć. Pracował wcześniej w komendzie w Zakopanem. To on zresztą wezwał policję do wypadku i udzielał temu chłopakowi pierwszej pomocy.

– Kojarzę. – Karpiel potwierdził skinieniem głowy. Rzeczywiście Makowski pracował jako zastępca komendanta policji na krótko przed pojawieniem się w Zakopanem Derebasa. Znali się dobrze i lubili.

– Jak pan widzi, to jednak nie ja – powiedział z satysfakcją Filipiak.

Jaka szkoda, pomyślał Karpiel, podnosząc się z fotela i kierując do drzwi. Jaka szkoda, że to nie ty, bucu.

## 13.

Klara Zahanassian stała się teraz monstrualna. Jej postać była nie tylko nienaturalnie wysoka – inni aktorzy sięgali jej najwyżej do pasa – ale w ogóle wyjątkowo potężna, szeroka w ramionach, z suknią opadającą do samej ziemi. Jak to zrobili? – zastanawiał się Karpiel. Szczudła? Tak, to musiały być szczudła albo jakaś podobna konstrukcja. Takie rzeczy w Teatrze Witkacego nie były niczym szczególnym – kostiumy, scenografia, choreografia, muzyka, tu wszystkie elementy prawie zawsze ocierały się o eksperyment. Karpiel zaczynał dostrzegać zabawne szczegóły – laska starszej pani była idealnie dopasowana do jej wzrostu, czyli ze sceny na scenę robiła się coraz dłuższa. Zmieniał się także kolor sukni miliardarki. W miarę rozwoju akcji jej kreacja stawała się krwistoczerwona, a w tej scenie znowu dominowały ciemne barwy. Coś musieli zrobić także z jej głosem, bo teraz był bardziej donośny, dudniący, z lekkim, ledwie słyszalnym pogłosem. Pozostało natomiast tykanie zegara towarzyszące jej krokom, niepokojące i hipnotyczne, sugerujące nieuchronność zbliżającego się finału. Tak, Klara Zahanassian była teraz prawdziwą boginią zemsty.

*– Była zima, kiedy w marynarskim mundurku, z rudymi warkoczami, w zaawansowanej ciąży, opuszczałam ongiś to miasteczko, a jego mieszkańcy spoglądali za mną z drwiącymi minami – mówiła. – Zmarznięta siedziałam w pociągu do Hamburga, ale gdy za kwiatami na zamarzniętych szybach zniknęły kontury Piotrowej Stodoły, postanowiłam, że tu jeszcze powrócę. Teraz jestem. Teraz ja wysuwam żądania, ja dyktuję warunki zawarcia transakcji...*

Tik-tak, tik-tak – zrobiła kilka kroków w stronę Alfreda Illa, który stał z boku sceny ze spuszczoną głową winowajcy.

Ktoś wystąpił z tłumu. Nauczyciel.

*– Pani Zahanassian! Pani jest kobietą, która została boleśnie zraniona*

w swych uczuciach. *Żąda pani absolutnej sprawiedliwości. Przypomina mi pani antyczną bohaterkę, Medeę. Ale właśnie dlatego że doskonale panią rozumiemy, zdobywamy się na odwagę, żeby tym więcej żądać; niech pani zrezygnuje ze zgubnej myśli o zemście, niech pani nie doprowadza nas do ostateczności, lecz pomoże biednym, słabym, ale uczciwym ludziom... Niech się pani zdobędzie na prawdziwe człowieczeństwo.*

Starsza pani uniosła ręce. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno, a sekundę później snop światła reflektora oświetlił tylko jej czarną postać. Tuż nad głowami widzów uderzył piorun. Zagrzmiało tak potężnie, że teatr naprawdę zadrżał, a niektórzy z widzów instynktownie schowali głowy w ramionach.

– *Człowieczeństwo, moi panowie – głos Anny Kowalskiej był teraz zmieniony, dudnił potężnym upiornym basem – jest podporządkowane giełdzie milionerów, jeśli ktoś rozporządza takim kapitałem jak mój, stać go na stworzenie sobie własnego ładu świata. Świat zrobił ze mnie dziwkę, teraz ja zrobię z niego burdel. Kto nie może bulić, a pragnie uczestniczyć w rozkoszach życia, ten musi zgiąć kark. Wy pragniecie uczestniczyć w rozkoszach życia. Uczciwy jest tylko ten, kto płaci. A ja płacę temu miastu – za morderstwo, koniunkturę – za jednego trupa.*

Kiedy Klara Zachanassian wygłaszała oskarżycielską mowę, włączyły się reflektory i zaczęły oświetlać pojedyncze postacie na widowni. Zatrzymywały się na kimś na kilka sekund, po czym przeskakiwały dalej. Jedni osłaniali oczy, inni starali się dzielnie wytrzymać świdrujący strumień.

Nagle światło padło na Sobczyka. Siedział w pierwszym rzędzie, po drugiej stronie widowni, naprzeciwko Karpiela, który wcześniej go nie zauważył. Ale musiał tu przecież być. On na pewno. Coś błysnęło na twarzy mężczyzny, kiedy reflektor przesunął się już na innego widza. Co to było? Łza? Czy to była łza? – zastanawiał się Karpiel.

## 14.

Karpiel nie zastał Sobczyka w fundacji. Nikt nie potrafił mu powiedzieć, gdzie jest.

– Po prostu go tu dzisiaj nie było – wytłumaczyła mu jedna z pracownic, piegowata dziewczyna z szerokim rozbajającym uśmiechem. – Czasami nie przychodzi przez cały dzień, czasami siedzi od rana. Zdarza się, że zadzwoni do kogoś z nas i powiadamia, czy zajrzy tu, czy nie, ale nieraz jest tak jak dzisiaj, po prostu nie wiemy, gdzie się podziewa.

– Mówił mi kiedyś, że osobiście otwiera biuro...

– Dawniej tak było, ale potem kilka razy nie mógł zrobić tego sam, więc podał komuś kod do alarmu. Potem innej osobie, następnym razem jeszcze innej, i tak jakoś w końcu wyszło, że teraz znamy go wszyscy, więc ten, kto przychodzi pierwszy, otwiera biuro, ten, kto wychodzi ostatni, zamyka.

I znowu ten uśmiech. Karpiel nie mógł go nie odwzajemnić, chociaż nie był w najlepszym nastroju, zmęczony całą tą sprawą. No i tęsknił za Elą. Wszedł właśnie w bardzo mozolną fazę śledztwa: wytyczył już mniej więcej „teren zbrodni”, zakresił krąg podejrzanych i teraz małymi kroczkami poruszał się na tym obszarze, szukał drobiazgów, szczegółów, które zapełniały luki w mozaice. Wracał do miejsc związanych ze zbrodnią, rozmawiał kolejny już raz z tymi samymi świadkami, szukał skojarzeń, które wcześniej się nie pojawiły, prowokował podejrzanych do zdradzenia niewygodnych, do tej pory skrywanych faktów. No i czekał na łut szczęścia, zbieg okoliczności, który mógłby rzucić na sprawę nowe światło. Na tym etapie dochodzenia Hermann zwykle stopniowo się wycofywał, jakby był już pewny, że Karpiel da sobie radę. Powściągliwy w pochwałach pułkownik tylko jeden raz pozwolił sobie na dobrą ocenę pracy Karpiela.

– Wiesz, obserwuję cię i muszę przyznać, że ten twój sposób działa – powiedział.

– Sposób? – zdziwił się Karpiel.

– Sposób, styl, metoda, jak zwał, tak zwał, ale to działa. A wygląda to tak: kiedy zaczyna się jakaś sprawa, zachowujesz się tak, jakbyś nie potrafił zliczyć do pięciu. Jakbyś właśnie rozpoczął pracę w policji i nic nie rozumiał. Płakać mi się chce, kiedy wtedy na ciebie patrzę. Ale im dalej, tym lepiej, a w pewnym momencie włącza ci się jakiś tryb turbo – Hermann popukał się w głowę – tu, w tej twojej góralskiej łepetynie. I stajesz się wtedy innym policjantem. Jak pies, który łapie trop i nic innego go nie interesuje.

– I co z tego? – Karpiel wzruszył ramionami.

– Nic. O to chodzi. A ja już wiem, że muszę przetrwać tę fazę, kiedy mam wielką ochotę wypieprzyć cię z roboty, i dotrzeć do fazy kolejnej. A wtedy już nic nie muszę robić, bo jesteś taki nakręcony, że nie odpuścisz, dopóki nie rozwiążesz sprawy. Trzeba ci tylko dać wolną rękę i święty spokój.

Tak jak teraz? Jestem „nakręcony”? – zastanawiał się Karpiel. Chyba tak, bo czuł, że się zbliża, że prawda czai się tuż za rogiem, że kryje się w odpowiedzi na jego następne pytanie, w połączeniu dwóch faktów, które do tej pory krążyły osobno w jego głowie.

Wsiadł do samochodu pożyczonego od Derebasa i pojechał do domu Sobczyków, do starej pięknej willi przy Grunwaldzkiej. Wszedł przez skrzypiącą furtkę na podwórko i tak jak poprzednim razem, kiedy był tu z Hermannem, zatrzymał się na chwilę na ścieżce prowadzącej wśród drzew owocowych do domu, żeby spojrzeć na góry. Potem wszedł na ganek i zapukał do drzwi, ale nikt mu nie odpowiedział. Przypomniał sobie, że wtedy te drzwi były otwarte, więc nacisnął żelazną kutą klamkę, jednak tym razem nie ustąpiły. Zamknięte. Zapukał jeszcze kilka razy, nawet przez moment wydawało mu się, że słyszy wewnątrz jakiś ruch, jednak potem znowu zrobiło się cicho i nadal nikt nie otwierał.

Stał na drodze i zapalił papierosa. Rozejrzał się i zauważył, że na posesji sąsiadującej z tą Sobczyków krząta się jakaś kobieta. Podeszedł bliżej, czekając, aż zwróci na niego uwagę. Kiedy to się stało, uklonił się i rzucił po góralsku: „Szczęść Boże”. Odpowiedziała tym samym i podeszła do bramy.

Miała koło sześćdziesiątki, była korpulentna i rumiana na twarzy, na głowie zawiązała kolorową chustkę, gumowe rękawiczki na rękach przybrudzone ziemią i robocze ubranie świadczyły o tym, że Karpiel oderwał ją od pracy w ogrodzie.

Pokazał jej odznakę i się przedstawił, a potem wskazał dom Sobczyków i spytał:

– Nie wie pani, czy pan Sobczyk tu dzisiaj był czy dokądś pojechał?

– Auta nie ma, to pewnie pojechał – odpowiedziała. – A ona to nie wiem, chyba powinna być w domu.

Karpiel uśmiechnął się wyrozumiale.

– To pani nie wie, że jego żona zmarła? Byłem na pogrzebie...

– Proszę pana, to to ja dobrze wiem, przecież to moi sąsiedzi – odparła lekko oburzonym tonem. – Od niedawna, ale sąsiedzi. Ale ja mówię o tej jego następnej... Tej paniusi, co u niego teraz mieszka.

Karpiela zamurowało.

– Jak to? Mieszka? Kto? Jakaś kobieta?

– No mówię przecież. To ta sama, która mieszkała tu już wcześniej. Niby opiekowała się chorą Sobczykową, ale... wie pan, ja ślepa nie jestem, nim też się opiekowała.

– Co ma pani na myśli? Mieli romans? Sobczyk i ta Kowalska?

Kobieta wpatrywała się w Karpiela.

– Niech będzie, że romans. Sama widziałam, jak ją obłapiał. Przez okno widziałam. A ona całkiem goła była. No, niech sam pan powie, co za ludzie? Mili są, nie powiem, on chętnie pomaga, uprzejmy jest. Ale tu żona umiera, a on z tą drugą za jej plecami... No niech sam pan powie... Co za świat? Co za ludzie?



## 15.

– Są dwa przysłowia – powiedział mu kiedyś Hermann. – Jedno mówi: „Głupi ma zawsze szczęście”, a drugie: „Lepszemu szczęście sprzyja”. Nadal nie wiem, Karpiel, czy ty jesteś ten „głupi”, czy ten „lepszy”, ale szczęście to ty masz. Zawsze jesteś tam, gdzie trzeba i kiedy trzeba. Niektórzy przez całą karierę policjanta nie mają takiego fartu, jaki ty masz w jednym śledztwie. Wiem, co mówię, Karpiel, bo ja też mam szczęście. Tyle że tu akurat nie ma wątpliwości, które przysłowie mówi o mnie.

Karpiel mógł się zżymać na złośliwe komentarze pułkownika, wiedział jednak, że ma rację. Dopisuje mu szczęście.

Tak było i tym razem. Parkował właśnie pod kinem Sokół. Stał wysłużonym fordem focusem Derebasa obok wielkiego bentleya continentala GT, jak zwykle w takiej sytuacji zastanawiając się, czym się trzeba w życiu zajmować, żeby pozwolić sobie na samochód za milion złotych. Ostrożnie otworzył drzwi, wyobrażając sobie, co spotkałoby go za zrobienie choćby rysy na nieskazitelnym lakierze w kolorze zielony butelkowy metalik, i wtedy usłyszał, jak parkingowy, młody sympatyczny chłopak pracujący tu od lat, powiedział do mężczyzny, który najwyraźniej właśnie odjeżdżał drogim autem:

– Nie, panie Sepioł, pan jak zwykle gratis.

Karpiel zamknął drzwi, poczekał, aż bentley odjedzie, i dopiero wysiadł. Nawet nie musiał zagadywać parkingowego, sam podszedł do niego z wyciągniętą na powitanie ręką.

– O, jak dawno pana nie było, panie komisarzu. Pan nadal w Warszawie? Co w takim razie słyhać w szerokim świecie?

– Dobrze słyhać, panie Maćku – odrzekł Karpiel. – Choć u was też widzę nieźle. Coraz lepszych klientów pan ma. Takie fury tu stają...

Chłopak się roześmiał.

– No widzi pan? Ale fortuna kołem się toczy. Nie uwierzy pan, ale jeszcze tydzień temu ten sam gość, nazywa się Sepioł, zakopiańczyk, nie kojarzy pan, parkował tu taką starą hondą, jeszcze gorszą niż to pana pudło. Uwierzy pan? A teraz? Sam pan widzi, jakie auto. I podobno odzyskał też tę swoją restaurację przy Jagiellońskiej, co to niby bank miał mu zabrać. A człowiek pracuje całe życie i martwi się, jak się doczołgać do pierwszego, nie?

## 16.

– I co wy na to? – zapytał Karpiel, kończąc swoją relację z wizyty u Sobczyków i spotkania Sepioła.

– To zmienia wszystko – stwierdził Derebas. – Jeśli Sobczyk z Kowalską są kochankami i byli nimi jeszcze przed śmiercią jego żony...

– To co? – wtrąciła się zdenerwowana Szeliga. – Co to zmienia? Przecież Sobczykowa była chora, tak? – Spojrzała na Karpiela. – Sami ją widzieliście z pułkownikiem i rozmawialiście z nią, tak? Z tego, co pamiętam, opowiadała, że zachorowała o wiele wcześniej, zanim ona i mąż poznali Kowalską. To oczywiście nie jest fajne, że zdradzał śmiertelnie chorą żonę, ale co to wnosi do sprawy? Sugerujecie, że mogli ją zabić, bo nie mogli się doczekać, aż umrze?

– Może nie znamy wszystkich szczegółów. – Derebas nie zamierzał porzucić wątpliwości. – Nie wiemy, jaki to był układ małżeński. Nie wiemy, jak to jest z pieniędzmi z loterii. A może jednak nie była taka chora? A może Kowalska знаła się z Sobczykiem wcześniej, tylko jego żona o tym nie wiedziała? Może ta cała współpraca Kowalskiej i Sobczyków była zasłoną dymną dla ich związku?

– Może, może, może... – Szeliga przedrzeźniała Derebasę. – Równie dobrze możemy zacząć śledztwo od początku. To są teorie, których nie jesteśmy w stanie sprawdzić w tym stuleciu...

Chyba wszyscy byli trochę zaskoczeni tak ostrą reakcją Szeligi, ponieważ w mieszkaniu Karpiela, które tradycyjnie już służyło za miejsce spotkań ich zespołu, na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– A co z Sepiołem? – Derebasowi chyba nie w smak była sprzeczka z Szeligą i postanowił zmienić temat. – Czy to wszystko oznacza, że on to jednak zrobił? Że skorzystał z oferty? No bo skąd miałby pieniądze? Mówiliśmy, że był kilka milionów w plecacyku...

– A może... – odezwał się nagle ktoś, kto do tej pory nie zabierał głosu. Wszyscy spojrzeli zdziwieni na Jacka Sochę, który przycupnął na krześle w rogu pokoju. Był tutaj, bo zgodnie z umową mógł uczestniczyć w spotkaniach zespołu, jednak nikt chyba nie oczekiwał, że będzie miał coś do powiedzenia. A jednak miał. – A może – zaczął jeszcze raz – wszyscy w tej historii są zupełnie kimś innym, niż myślimy? Może...

– Może powinniśmy spojrzeć na to z innej perspektywy? – dokończył Karpiel.

Socha uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

## 17.

Karpień zaparkował przed Urzędem Gminy w Kościelisku, wysiadł z auta i się rozejrzał. Często bywał w tej urokliwej okolicy, ale tu akurat nie był nigdy.

Lubił Kościelisko, wieś praktycznie na przedmieściach Zakopanego, jednak w pewnym sensie przeciwieństwo tętniącej życiem, głośnej stolicy Tatr. Czasami myślał, że to miejsce to po prostu Zakopane sprzed wielu, wielu lat, czyli spokojna wieś niezabudowana wielkimi sieciowymi hotelami, z pięknymi widokami i żywym autentycznym folklorem, niezniszczona jeszcze przez tysiące turystów, którzy z jakiegoś niezrozumiałego powodu lubią przebywać w niezliczonym tłumie podobnych sobie.

Oczywiście turystyka ma swoje prawa, więc podobne rzeczy zdarzały się i tu. Dolina Kościeliska to bez wątpienia, obok szosy do Morskiego Oka, największy deptak w Tatrach, a to, co dzieje się w innej cudownej dolinie, Chochołowskiej, kiedy piękna wiosenna pogoda zgrywa się z kwitnieniem milionów krokusów, przypomina wejście pielgrzymek do Częstochowy w dniu Matki Boskiej Zielnej.

Poza tym jednak było tu sielsko, czas płynął jakby wolniej i łagodniej, Tatry Zachodnie były niższe i bardziej przystępne niż Wysokie, a wcale nie mniej piękne, a ludzie prości i na ogół serdeczni.

Karpień przyjeżdżał tu dawniej z Elą. Przejeżdżali przez wieś i docierali do rzeki, Czarnego Dunajca, która różnymi odnogami w kamieniach i piachu szukała sobie właśnie tutaj drogi na północ, żeby po długim kluczeniu zamienić się ostatecznie w okolicach Nowego Targu w Dunajec. Zostawiali samochód nad rzeką, a potem, skacząc po kamieniach i brodząc po kostki w zimnej źródlanej wodzie, dostawali się do jednej z wielu małych wysepek, rozkładali leżaki i odgradzeni od świata wysokimi krzakami prażyli się

w słońcu. To była chyba jedyna taka plaża w promieniu wielu kilometrów, a oni uwielbiali spędzać tam czas, bo cóż może być piękniejszego niż wylegiwanie się w słońcu wśród zieleni, w spokoju – poza nimi nie było tu nigdy zbyt wielu ludzi – gdy w tle szumi potok.

To było jednak lata temu, teraz Eli tu nie ma, jest sam, i żeby do niej wrócić, musi wreszcie rozwiązać zagadkę śmierci Jana Lewcuna. Mimo że właściwie wierzył w opowieść Filipiaka, postanowił sprawdzić jego alibi, a przy okazji spotkać dawnego przyjaciela, bo Makowskiego nie widział naprawdę wiele lat, a w swoim czasie był jego najlepszym kumplem w pracy i poza nią też.

Karpiel stał więc przed starym budynkiem pensjonatu, przerobionym w potrzebie na urząd gminy, i właściwie gdyby nie charakterystyczne czerwone tabliczki przy wejściu, nikt by nie pomyślał, i on też nie, że może się tu mieścić jakaś instytucja. Pod murowaną bramką, przez którą wchodziło się na teren urzędu, wisiała jeszcze mała drewniana tabliczka z dawną nazwą pensjonatu, Sablik, i Karpiel był pewny, że takich pamiątek i śladów przeszłości znalazłoby się tutaj więcej.

Do urzędu prowadziły stare betonowe schody, kiedy jednak miał wejść na pierwszy stopień, zauważył, że po jego lewej stronie znajduje się inne wejście, na poziomie parteru, i tam na drzwiach wisiała tabliczka: „Straż Gminna Kościelisko”.

Skręcił więc, wszedł do środka, wąskim korytarzem przemierzył kilka metrów, potem, zgodnie ze strzałkami, które prowadziły go do pomieszczeń straży, skręcił w lewo i znalazł się w małym holu, właściwie korytarzyku. Rozejrzał się, zobaczył na jednych z drzwi tabliczkę: „Komendant Straży Gminnej” i ruszył w tamtą stronę. Zanim jednak zapukał do drzwi komendanta, zatrzymał się na chwilę przed wielką korkową tablicą, na której wisiały liczne wydruki z rejestru zaginionych, czarno-białe, w formacie A4.

Miał taki odruch, że kiedy wracał na Podhale, wszędzie szukał znajomych twarzy. To zaczynało się już w drodze z dworca, kiedy patrzył na mijających go ludzi, próbując ich rozpoznać. Nie mógł się przed tym powstrzymać, to była jego próba odnalezienia się tu na nowo. Tak jak szukał dawnych miejsc, które były dla niego w Zakopanem ważne, szukał też twarzy łączących go

z tym miastem.

I teraz stał, śmiejąc się w duchu z tego absurdalnego nawyku, i wpatrywał w kilkanaście twarzy w różnym wieku, kobiet i mężczyzn, poszukiwanych czasem od kilku miesięcy, a niekiedy od lat. I wtedy to zobaczył, to było jak grom z jasnego nieba. Zbliżył twarz do tablicy, żeby lepiej widzieć, lecz zrozumiał, że przy tej jakości wydruku lepiej jednak patrzeć z daleka, więc cofnął się o krok. I nagle, w jednej chwili, wszystko ułożyło się w jego głowie w całość, każdy element łamigłówki znalazł swoje miejsce.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich jego dawny przyjaciel, Kornel Makowski, zdziwiony, oniemiały, że po tylu latach Karpień stoi przed jego drzwiami. A on znalazł twarz, która w tej chwili była dla niego ważniejsza, najważniejsza, twarz będącą rozwiązaniem.

## 18.

– Czyżby aż tak się państwu podobało? – Anna Kowalska uśmiechnęła się ironicznie, widząc policjantów czekających na nią w foyer. Pozbyła się już scenicznego kostiumu i teraz miała na sobie turkusowy żakiet zarzucony na białą bluzkę i krótką ciemnofioletową spódnicę. Znowu była szczupła i niska. Z postaci Klary Zachanassian pozostał tylko mocny agresywny makijaż, chyba po prostu zostawiła go, oszczędzając czas i wierząc, że nikt jej już dzisiejszego wieczoru nie będzie oglądał. Obok niej szedł Sobczyk, niosąc kilka bukietów kwiatów. Był w ciemnogramatowym garniturze i różowej koszuli, bez krawata. Oboje wyglądali na odprężonych i zadowolonych.

– Oczywiście, to też – zapewnił Karpiel. – Ale pozwolicie, że zamienimy jeszcze parę zdań.

Rozejrzał się. Po holu krążyło jeszcze kilka osób z obsługi teatru i pojedynczy aktorzy. Mijali ich z uśmiechem, nikt jednak nie spytał, co to za małe zbiegowisko, pewnie myśleli, że to ostatnie gratulacje dla głównej bohaterki wieczoru, a policjanci nie kwapili się z tłumaczeniem.

– Tu chyba przeszkadzamy – zauważył Derebas. – Może pójdziemy na scenę? Tam już na pewno nikogo nie ma. – Wskazał drzwi, przez które niedawno wyszli z widowni.

– Czy to konieczne? – spytała poirytowana Kowalska. – Mam za sobą bardzo ciężki dzień. Spotkajmy się jutro. To przecież nie ucieknie... –

Spojrzała na Szeligę, jakby szukała u niej wsparcia w ramach kobiecej solidarności, ta jednak wytrzymała spojrzenie i nic nie powiedziała.

– Nie – uciął szorstko Karpiel. – Przykro mi, ale to musi być dzisiaj. Teraz. To trwa już zbyt długo...

– Ale co? Co trwa...? – wtrącił się Sobczyk, jednak Hermann przerwał mu machnięciem ręki. Podeszedł do ciężkiej czarnej kotary i ją odchylił,



a Derebas w tej samej chwili otworzył duże drewniane drzwi. Kowalska i Sobczyk rozejrzeli się niepewnie, a potem powoli weszli do sali.

Światła nad widownią były już zgaszone, paliło się tylko kilka reflektorów oświetlających scenę.

– Powiecie nam w końcu, o co chodzi? Co nie mogło poczekać do jutra? – spytał Sobczyk agresywnym tonem.

– No więc naprawdę chcieliśmy pogratulować doskonałego przedstawienia – powiedział Karpel.

– Dziękuję. – Kowalska spuściła skromnie oczy. – Ale to jak zawsze zasługa całego zespołu.

– Nie wszystko jednak było idealne – zauważył Hermann. – Pani grała momentami trochę zbyt ekspresyjnie, a ostatnia scena była stanowczo przeszarżowana.

– A, o to panom chodzi. O film? Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Tak mi to pasowało do dramaturgii... Mam nadzieję, że nie zrobicie z tego powodu jakiejś afery.

## 19.

W scenie finałowej mieszkańcy Güllen ulegają jednak pokusie i zabijają Alfreda Illa. To zbiorowa egzekucja – otaczają go kręgiem, który coraz bardziej się zacieśnia, aż w końcu skazany pada na kolana i tłum się nad nim zamyka. Klara Zachanassian stoi obok na niewielkim podeście i obserwuje to niczym krwawa władczyni napawająca się widokiem stracenia osobistego wroga.

W tej samej chwili rozbłyskują dwa ekrany na ścianach ponad głowami widzów, tak że każdy widzi obraz po przeciwległej stronie widowni.

Karpiel już wie, co zobaczy. Po prostu domyślił się, bo zrozumiał zamysł całego spektaklu. A jednak po plecach przebiega mu dreszcz, kiedy po raz kolejny musi patrzeć, jak postać w szarym roboczym kombinezonie z cyfrą cztery na plecach pochyla się nad unieruchomionym na biurowym fotelu Janie Lewcunie i wbija mu nóż w serce.

Na widowni kilka osób nie wytrzymuje i reaguje na film krzykiem wzburzenia. Paru widzów wychodzi.

Ekrany gasną, tłum mieszkańców się rozstępuje, odsłaniając czarną drewnianą trumnę. Jest zamknięta.

Ciekawe, ilu widzów zauważyło umieszczoną na niej tabliczkę z nazwiskiem Lewcuna? – zastanawia się Karpiel.

## 20.

– My? My żadnej afery robić nie będziemy – zapewniła Szeliga. – Film to co prawda dowód w sprawie, ale i tak był ogólnodostępny w sieci. Ale nie zdziwię się, jeśli wdowa po Lewcunie wystąpi o odszkodowanie. Ostatecznie na nagraniu widać, że to jej mąż... To na pewno jest jakieś naruszenie dóbr osobistych... A ona już dużo przeszła...

– Zapłacę, ile będzie trzeba – wtrącił szybko Sobczyk. – Czuję się także odpowiedzialny za ten spektakl.

– Nie wątpimy, że jest pan gotów zapłacić – powiedział z przekąsem Karpiel. – Ale nie o filmie chcemy z państwem rozmawiać.

– A o czym? – Kowalska zerknęła wymownie na zegarek.

Z premedytacją, na przekór temu gestowi, Karpiel zwlekał z odpowiedzią dłuższą chwilę.

– Dlaczego właściwie zrobiła pani ten spektakl? I dlaczego wybrała akurat tę sztukę? – spytał wreszcie.

– Nie domyśla się pan? To chyba oczywiste.

– Oczywiście? Skoro pani tak twierdzi... A więc przyznaje pani, że wiedziała, iż Lewcun skrzywdził kiedyś Marię Sobczyk, a ona miała motyw, żeby go zabić? I że spektakl miał być jakąś... zemstą z za grobu, tak? W jej imieniu? Sama połączyła pani morderstwo z osobą zmarłej, pokazując ten film w finale. I od początku wiedziała pani, że Maria Sobczyk pochodzi z Zakopanego... Więc dlaczego tak się pani dziwi, że my, prowadzący śledztwo w tej sprawie, po obejrzeniu sztuki mamy pytania?

– Czy cokolwiek z tego, co pan wymienił, jest przestępstwem? – odparła ostrym tonem Kowalska. – Czy zrobiłam coś złego? Moja bliska przyjaciółka została skrzywdzona i bardzo z tego powodu cierpiała, a ja oddałam jej cześć sztuką teatralną. I jeszcze raz publicznie napiętnowałam tego bydlaka i publicznie uśmierciłam i skrytykowałam tych, którzy się temu

przyglądali i nic nie zrobili. Pokazałam, że Zakopane to także Güllen! Co w tym złego? Niech mi pan powie! Co w tym złego? To po prostu sprawiedliwość!

Karpiel zrozumiał, że kobieta podjęła grę i że będzie trudnym przeciwnikiem. Stali teraz na środku sceny, Kowalska i Sobczyk, prawie ramię w ramię, po drugiej stronie oni, policjanci. Hermann był trochę z boku, odwrócony, sprawiał wrażenie, jakby rozmowa w ogóle go nie interesowała, lecz Karpiel wiedział, że wsłuchuje się w każde słowo.

– Po pierwsze, to nie całkiem tak, jak pani myśli. À propos sprawiedliwości, to prowadziliśmy śledztwo w sprawie morderstwa, a wy – Karpiel spojrzął na Sobczyka – bo pan przecież również kłamał, robiliście wszystko, żeby nam to utrudnić. A to już jest przestępstwo. Po drugie, nie jesteśmy dziećmi, żeby uwierzyć, że to jakiś cudowny zbieg okoliczności: oto państwo Sobczykowie gdzieś daleko w Ameryce wygrywają masę pieniędzy, przenoszą się do Zakopanego, a pół roku później zostaje zamordowany mężczyzna, który lata temu strasznie skrzywdził panią Sobczyk, i ta zbrodnia dokonuje się w biurze fundacji, którą założyła z mężem.

– Nawet jeśli tak to wygląda, nie ma pan racji – powiedział stanowczo Sobczyk. – To, co zdarzyło się w fundacji, i ten spektakl to dwie zupełnie różne sprawy. My wykorzystaliśmy tylko okazję, żeby załatwić pewne stare porachunki, i posłużył nam do tego teatr. To wszystko.

– Są też inne przesłanki, które przemawiają za tym, że to nie przypadek...  
– Karpiel nie dawał za wygraną.

– Na przykład co? – spytała Kowalska.

– Na przykład zbezczeszczenie grobu Andrzeja Siutego, bliskiego przyjaciela ofiary, który prawdopodobnie miał jakiś udział w skrzywdzeniu Marii Sobczyk...

– Co za bzdura! Nawet nie wiem, kto to jest. Poza tym proszę pana, żeby pan nie używał określenia „ofiara” w odniesieniu do tego łajdaka. Tu jedyną ofiarą była moja zmarła przyjaciółka.

– A może było inaczej? – odezwał się znowu Sobczyk. – Ktoś jeszcze wiedział przecież o Lewcunie bardzo dużo. I ten ktoś wysłał materiały do

mediów. Może wiedział także, co zrobił mojej żonie. I wykorzystał to, żeby nas wplątać w to morderstwo.

– Kto? Zakopiańscy deweloperzy? Ich ma pan na myśli?

– Dlaczego nie? Pieniądze to dobry motyw morderstwa, prawda? Rozmawialiście w ogóle z tymi ludźmi?

– Rozmawialiśmy. I wiemy, że to żaden z nich. Niech pan da już z tym spokój, proszę. Nie nabierzemy się na to. Podrzucacie ten fałszywy trop od początku śledztwa. Poza tym wiemy, że to pani Sobczyk, z pana pomocą czy też nie, ale na pewno ona, wysyłała materiały dziennikarzowi.

Sobczyk pokręcił energicznie głową.

– Ale po co miałyby to robić?

– Jak to po co? Żeby zemsta była pełna. Wszystko tutaj to elementy tego samego planu: morderstwo, potem objawienie całemu światu, jakim draniem był Lewcun, a na koniec ten spektakl. Chodziło o to, żeby go zgładzić i zniszczyć pamięć o nim. Sama śmierć to było za mało. Doskonale pokazały to te dwa teksty o Lewcunie. Po jego śmierci wszyscy, z burmistrzem na czele, opowiadali, jaki to wspaniały człowiek. Przez jeden dzień był szanowaną ofiarą zbrodni. A potem bach! Okazuje się, że to świnia, nie człowiek. Obraz cudownego dżentelmena i społecznika zamienił się w wielkie szambo! I jestem pewny, że również ona wymyśliła i przeprowadziła ten... konkurs na mordercę Lewcuna. I ktoś się tego podjął i go zabił! Ugodził go z zimną krwią nożem w serce, tak jak chciała Maria Sobczyk! A potem obejrzała to sobie na filmie i napawała się swoją zemstą!

– Ale... – próbowała mu przerwać Kowalska, lecz bez przekonania.

– Przyznajcie to w końcu! Ona to zrobiła! – Karpiel teraz już prawie krzyczał.

Sobczyk i Kowalska w tej samej chwili spojrzeli na siebie, jakby jedno u drugiego szukało pomocy. Stali tak przez kilka sekund, po czym odwrócili się powoli w stronę Karpiela i reszty policjantów i prawie jak na komendę oboje skinęli głowami.

– Miała do tego prawo! – powiedziała powoli, pewnym i silnym głosem Anna Kowalska.

Karpiel świdrował ich spojrzeniem. Po chwili uśmiechnął się lekko

i powiedział:

– Szkoda tylko, że to wszystko nieprawda, że to nadal teatr.

## 21.

– Nie rozumiem. – Sobczyk był skonsternowany. – Jaki teatr? Co ma pan na myśli?

– Czy państwo mają romans? – spytał nagle Karpiel.

Rzucił to pytanie ot tak, mimochodem, jakby pytał o pogodę albo o samopoczucie, jednak dla tych dwojga było to jak uderzenie gromu. Kowalska i Sobczyk znowu na siebie spojrzeli, potem szybko odwrócili wzrok, jakby bojąc się, że to spojrzenie może coś zdradzić, i dopiero wtedy nastąpiła reakcja.

– Romans? Zwariował pan? – prychnął Sobczyk i zaśmiał się trochę nerwowo i trochę sztucznie.

Karpiel był jednak bezlitosny.

– Okej, zmieniam pytanie: czy państwo mieli romans już wtedy, gdy żyła Maria Sobczyk?

– Jak pan śmie?! – Tym razem zareagowała Kowalska. – Marysia była moją przyjaciółką...

Karpiel rozłożył ręce teatralnym gestem.

– No właśnie wiem, powtarza to pani przez cały wieczór, dlatego pytam. Sąsiadka widziała państwa przez okno w bardzo jednoznacznej sytuacji. W willi państwa Sobczyków. A ja w takim razie nie mam pojęcia, co myśleć. Bo tu się pani nią troskliwie opiekuje, przygotowuje dla niej spektakl, walczy jak lwica o jej cześć, dokonuje w jej imieniu ostatecznej zemsty na Lewcunie, a z drugiej strony wykorzystuje sytuację, że biedaczka leży śmiertelnie chora, i tuż obok kocha się pani z jej mężem. – Zrobił krótką pauzę.– To co ja mam sobie myśleć? Jak to wygląda?

Milczą. Kowalska ukryła twarz w dłoniach, Sobczyk spuścił głowę.

– Zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie chodzi tu o zupełnie inną zbrodnię – ciągnął Karpiel. – No bo tak: pana żona zmarła nagle, nie było sekcji.

Została skremowana. Potem szybki pogrzeb...

– Daj pan spokój – wyszeptał Sobczyk. – Daj pan spokój... Teraz pan sugeruje, że zabiłmy moją żonę, bo mieliśmy romans? To jakaś paranoja...

– Paranoja! – Karpiel klasnął. – I do tego też doszliśmy! Że to wszystko jakaś paranoja, że nic tu się nie zgadza... I wtedy ktoś, patrząc na to trochę z boku, powiedział jedno mądre zdanie: „Może w tej historii nikt nie jest tym, za kogo się podaje?”.

– A co to ma niby znaczyć? – zirytowała się Kowalska.

Karpiel zrobił krok w jej stronę i pochylił się, patrząc kobiecie w oczy.

– Proszę pani, pani jest bardzo zdolną reżyserką. Ale to nie sztuka Dürrenmatta o mściwej miliarderce jest pani najlepszym spektaklem, tylko historia zabójstwa, którą pani wymyśliła. Bo to pani dzieło, nie myślę się? Wszystko to jest wielkim przedstawieniem, które odbyło się według pani scenariusza i w pani reżyserii. Brawo!



## 22.

Anna Kowalska nie wytrzymała. Ominęła Karpiela i robiąc kilka szybkich kroków, podeszła do Derebasa i spojrzała mu w oczy.

– Może już dość tego, co? – wycedziła. – Czy może pan przywołać tego człowieka do porządku? Żeby przestał wymyślać kolejne chore hipotezy? Nie mam zamiaru tego słuchać. Jestem zmęczona i chcę iść do domu...

Derebas w pierwszej chwili wyglądał na zdziwionego, że zwróciła się właśnie do niego. Wzruszył trochę bezradnie ramionami, a potem rozejrzał się i powiedział:

– No, chyba będzie pani jednak musiała zostać. Otóż sytuacja wygląda tak: ja jestem od tygodnia na emeryturze, pułkownik Hermann też już od jakiegoś czasu, pani Szeliga jest aspirantem, wychodzi więc na to, że najwyższy stopniem czynny policjant to komisarz Karpiel. Przykro mi, ale chyba musi pani jeszcze przez chwilę posłuchać...

Kowalska bezradnie opuściła ręce. Odwróciła się na pięcie i zrobiła kilka kroków w stronę Sobczyka. Stała obok niego, potem spojrzała w prawo, na widownię, zeszła do pierwszego rzędu i usiadła na jednym z krzeseł, zakładając nogę na nogę i naciągając na kolano krótką ciemnofioletową spódniczkę.

– Ale usiąść mi wolno? – spytała, patrząc wyzywająco na Karpiela.

– Proszę bardzo. Możemy kontynuować?

– Proszę. Mówił pan po raz kolejny o moim talencie aktorskim i reżyserskim. I o tym, że tu nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Już wiem, że to prawda, ci dwaj panowie – wskazała Derebasa i Hermanna – nie są policjantami. Czego jeszcze się dowiemy? Jakie niespodzianki nam pan szykuje?

Karpiel nie dał się sprowokować i nie zareagował na przytyk.

– Największą niespodzianką jest to, kim jest pani – odpowiedział

najspokojniej, jak potrafił.

– Taaak? A kim według pana jestem?

– Założyłem przede wszystkim, że pani kłamie. I kiedy byłem w domu dziecka spytać o Marię Sobczyk, przyszło mi do głowy, że przecież warto sprawdzić, czy może także pani tam się wychowała. A nuż się okaże, że i pani tam była. Przewertowałem stare księgi z rejestrem wychowanków z wielu lat. Z okresu, który wchodził w rachubę, znalazłem jedną Marię. Marię Lenart. Zgadza się? Tak się nazywała wcześniej pana żona? – Karpiel zwrócił się do Sobczyka, który wreszcie pozbył się bukietów kwiatów, kładąc je na podłodze.

Sobczyk przytaknął.

– Nie znalazłem jednak żadnej Anny. A swoją drogą, jak się pani nazywa z domu? – spytał Karpiel.

– Kamińska. No widzi pan? Próżny trud i strata czasu. Nie byłam w żadnym domu dziecka.

– Nie do końca. Po prostu źle szukałem.

– To znaczy?

– To znaczy, że powinienem szukać jej. – Karpiel wyjął z kieszeni złożoną na cztery kartkę ze zdjęciem zaginionej, którą za pozwoleniem komendanta Straży Gminnej w Kościelisku odpiął z korkowej tablicy.

– Poznaje pani? – Podsunął jej duże czarno-białe zdjęcie, a Anna Kowalska zbladła tak, że nie mógł tego ukryć nawet jaskrawy teatralny makijaż.

## 23.

– W tej historii od początku było kilka zastanawiających okoliczności – mówił Karpiel. – Nie od razu wszystko było oczywiste i widoczne. Potem jednak zdarzało się coś, co zwracało uwagę albo rzucało nowe światło.

– O czym pan mówi? – odezwał się Sobczyk.

– To się powtarzało wiele razy, ale dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy rozmawiałem z burmistrzem. On się zawsze chwali, że wszystkiego zna, że wszystko wie, że to jego miasto, i tak dalej... I nagle mówi mi, że nigdy nie spotkał Marii Sobczyk. I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie tylko on. Nikt nigdy nie widział jej na oczy. Nie pojawiała się na imprezach, nawet na tych, które wspierała fundacja. Nie bywała w biurze. Wszystkie sprawy załatwiał pan pod pretekstem ciężkiej choroby żony.

– To nieprawda, ja ją widziałam, rozmawiałam z nią codziennie – wtrąciła Kowalska, jednak Karpiel jakby tego nie usłyszał.

– I wy też ją widzieliście – dodał Sobczyk. – Przecież byliście u nas w domu...

Karpiel znowu klasnął.

– I to był świetny numer, przyznaję! – jego entuzjazm nie był chyba udawany. – I wszystko poszłoby znakomicie, gdyby nie pewien stary policjant, który nie zadowolili się rozmową z chorą Marią Sobczyk w zupełnie ciemnym pokoju i na kilka sekund włączył światło. – Karpiel spojrzał wymownie na Hermanna. – To było chamskie, nawet trochę się oburzyłem, ale tych kilka chwil, przez które mogłem jej się przyjrzeć, zaważyło na losach śledztwa. Potem pomógł mi inny przypadek, przyznaję, że miałem dużo szczęścia. W Urzędzie Gminy w Kościelisku na tablicy z wizerunkami poszukiwanych osób znalazłem to zdjęcie. – Karpiel pokazał wszystkim pogiętą kartkę. – I z nią wróciłem do domu dziecka. I jeszcze raz przejrzałem księgi. I tym razem wszystko się zgadzało. Bez trudu ją

odnalazłem. Nie wyszła za mąż i nigdy nie zmieniła nazwiska.

– Czyli kogo pan znalazł? – warknęła Kowalska.

– Urszulę Stopkę. Przyjaciółkę Marii Sobczyk z dzieciństwa. Z domu dziecka. Sierotę, jak ona. Dobre wiadomości są dwie: nie zdradził pan żony, panie Sobczyk, bo to wcale nie była pana żona, i na pewno jej pan nie zabił. Zresztą Urszuli Stopki, która odgrywała jej rolę, też nie. Ona była naprawdę chora, prawda? Zakładam, że to w imię dawnej znajomości w zamian za dobrą opiekę przed śmiercią. Nie miała rodziny, więc przyjęliście, że nikt nie zwróci uwagi na jej zniknięcie. Ale ktoś jednak zwrócił. Wiecie kto? Sąsiadka. Może nie jest tak źle z tymi ludźmi...

– Więc gdzie jest, według pana, prawdziwa Maria Sobczyk? – spytała Anna Kowalska.

– To przecież oczywiste: to pani. Pani jest Marią Sobczyk.

## 24.

W ciszy, jaka zapadła, słyhać było oddechy wszystkich zebranych.

– Wiem, wiem – powiedział Karpiel. – Zastanawiacie się teraz intensywnie, czy mamy na to wszystko dowody i jakie wysunąć argumenty, żeby z tego wybrnąć.

– No właśnie – rzucił Sobczyk. – Pana teoria jest bardzo zgrabna, na pierwszy rzut oka trzyma się może nawet kupy, ale ma też wielkie dziury.

– Na przykład? – Karpiel spojrzał na niego wyzywająco.

– Na przykład to, że to pani Kowalska... – Sobczyk wyraźnie zaakcentował nazwisko, jakby chciał podkreślić, że nie przyjmuje do wiadomości odkrycia Karpiela. – To właśnie ona naprowadziła pana na myśl, że moja żona pochodziła z Zakopanego. Po co miałyby to robić? Ja zresztą też to panu w końcu powiedziałem.

Karpiel pokiwał głową, jakby oczekiwał tych słów.

– Tak, tak. To oczywiście prawda. Chyba że założymy, że to także było elementem planu. Powiedziałem, że jest pani – spojrzał na Kowalską, która stała się właśnie Sobczykową i nadal siedziała w pierwszym rzędzie z lekko spuszczoną głową – świetną reżyserką, bo wszystko, co się tu przez ostatnie dni wydarzyło, powtarzam: wszystko, było częścią pani planu. No, może z wyjątkiem przypadków, które wymieniłem wcześniej, ale one spotykały mnie i nie mogła mieć pani na nie wpływu. Starła się jednak pani na bieżąco ten plan modyfikować i reagować na wydarzenia. Na pewnym etapie śledztwa wyobraziłem sobie, jak bym ja to zrobił, jakie bym przyjął założenia, gdybym miał dokonać tego morderstwa. Więc, po pierwsze, zamordowanie Lewcuna, to główny cel. Po drugie, pokazanie światu, kim był naprawdę, czyli jego śmierć cywilna. I po trzecie... – Karpiel zawiesił na chwilę głos i spojrzał na zebranych – po trzecie, jak wyjść z tego cało. To nie miała być misja samobójcza, zemsta za cenę wolności. Pani chciała – to

banalne, co teraz powiem – pani chciała dokonać zbrodni doskonałej. Oczywiście wszystko mogło okazać się proste. Policja nie wpada na żaden trop i śledztwo zostaje umorzone. Pani przygotowała się jednak na wariant drugi, bo żeby objawić prawdę o łajdactwach Lewcuna, musiała się pani trochę odsłonić. Pokazać film. Rzadko się zdarza, że mamy film z miejsca zbrodni. To mobilizuje policję, bo ma pierwszorzędny materiał do śledztwa. Wyjaśnienie sprawy wydaje się w zasięgu ręki, trudno zrezygnować. To samo dotyczy materiałów dla prasy. Każdy pani ruch powinien sprawić, że śledczy zadają kolejne pytania, a odpowiedzi na nie mogą przybliżyć nas do rozwiązania sprawy. Świetnie pokazuje to ta historia z pani przyjaciółką z domu dziecka. Wiedziała pani, że będziemy musieli porozmawiać z Marią Sobczyk. Przygotowaliście więc z mężem świetną scenografię dla tego przesłuchania. Ciemny pokój w starej willi, kobieta, która w tym stadium choroby nie toleruje dziennego światła, i tak dalej. Ale przyszło pani do głowy, że może trafić się jednak jakiś śledczy, jakiś drań bez serca, który nie da się na to nabrać i każe włączyć światło, więc przygotowała pani całą tę mistyfikację z Urszulą Stopką. Naprawdę świetne. Wracając do pana wątpliwości – Karpiel skinął głową w stronę Sobczyka – ciągle jest to część układanki pod tytułem: jak zjeść ciastko i mieć ciastko. Bo kiedy już się okazało, że policja podjęła trop i nie zadowolili się byle czym, trzeba było jakoś zamknąć sprawę. Żeby tak się stało, musieliśmy dostać sprawcę. Oczywiście wiedzieliście, że nie nabierzemy się na spisek deweloperów, to miało zająć nas tylko na chwilę i odciągnąć naszą uwagę. Główną podejrzaną uczyniliście więc umierającą Marię Sobczyk. Dlatego w pewnym momencie, niby przypadkiem, naprowadziła nas pani na trop jej zakopiańskiego pochodzenia, żebyśmy mogli powiązać to z Lewcunem i dostać do ręki motyw. A potem pan w rozmowie ze mną w cztery oczy niby to potwierdził. Nie jest może pan takim zdolnym aktorem jak żona, ale wtedy zupełnie nieźle pan sobie poradził. Udał pan poruszenie moim wyznaniem, że Lewcun zgwałcił moją matkę. Tymczasem to też było zagrane. Skąd wiem? Bo rozmawiałem z dziennikarzem, któremu wysłaliście materiały. Żeby uwierzył, że są autentyczne, podano w nich prawdziwe nazwiska świadków i ofiar, dopiero on zamienił je na inicjały.

Wiedzieliście więc, pan wiedział, że historia o zgwałconej podczas domowej imprezy kobiecie to historia mojej rodziny. Wcale nie był pan zaskoczony, kiedy to powiedziałem, mało tego, czekał pan na to, bo chciał mi powiedzieć, że to Maria Sobczyk stoi za śmiercią Lewcuna. I tak by mi pan to powiedział. Nie mam racji?

Karpiel udał, że nie widzi przerażonego spojrzenia Szeligi, które skierowała na Derebasa, że nie zwraca uwagi na to, że Hermann gwałtownie odwrócił głowę w jego stronę. Postanowił sobie wcześniej, że przetrzyma jakoś ten moment, kiedy oni wszyscy zrozumieją, że historia Lewcuna to także jego historia. I tak nic już nie zrobią, myślał, bo ta historia się właśnie kończy i to już nie ma znaczenia.

## 25.

– Więc co? Teraz pan znowu twierdzi, że to ja zorganizowałam ten, jak to pan nazywa, konkurs, kto ma zabić Lewcuna? Czy pan siebie słyszy? Co to za bzdury? – odezwała się wreszcie Sobczykowa.

Karpieł odwrócił się w jej stronę, uśmiechnął łagodnie i powiedział, kręcąc głową:

– Wcale tak nie twierdzą. Nie było żadnego konkursu. To kolejna pani mistyfikacja i jednocześnie zabezpieczenie, na wypadek gdybyśmy w śledztwie zapuścili się za daleko. I tak się przecież stało. Doszliśmy do tego, że za tym wszystkim stała Maria Sobczyk. Ale nawet jeśli byśmy to udowodnili, to, po pierwsze, ona właśnie umarła, a po drugie, nie ona dokonała morderstwa, tak? Miał to zrobić ktoś trzeci, ktoś, kto tak jak Sepioł dostał ofertę umorzenia długów w zamian za zabicie Lewcuna. – Karpieł podrapał się po głowie. – Jest jeszcze coś... To mi przyszło do głowy podczas przedstawienia. Klara Zachanassian mogła zażądać zabicia swojego podłego kochanka z czasów młodości, bo wszyscy mieszkańcy i samo miasto Güllen byli bankrutami. A byli bankrutami, ponieważ ona poprzez swoje wpływy i operacje finansowe do tego bankructwa doprowadziła. Podobno bank, w którym Sepioł miał milionową pożyczkę, zażądał jej natychmiastowej spłaty. Ciekawe dlaczego, co? Czy przypadkiem nie jest to ten sam bank, w którym zdeponowali państwo swoją wygraną? Czy w zamian za to nie podszeptaliście kierownictwu banku, że przydałoby się panu Sepiołowi utrudnić trochę życie? Nie? Sprawdźmy to, bądźcie pewni.

– Ale przecież z tego, co rozumiem, Sepioł zgłosił się do was sam, tak? – powiedział zdenerwowany Sobczyk.

– Tak. Zgłosił się i opowiedział historyjkę o propozycji, którą dostał: miał zabić Lewcuna w zamian za umorzenie długów. I jeszcze o tym, jak mejle z ofertą zniknęły z jego komputera. I o tym, że mordując Lewcuna, miał



mieć na plecach piątkę. Mieliśmy z tego wywnioskować, że co najmniej pięć osób dostało taką propozycję, a ktoś z czwórką ją zaakceptował. To było genialne, przyznaję. – Karpiel skłonił się teatralnie przed Sobczykową, a ta prychnęła poirytowana. – Ale powtarzam: nie było żadnego konkursu, nie było pięciu potencjalnych morderców, od początku był tylko jeden...

– A co by było, gdyby Sepioł się jednak zgodził? – przerwał mu Sobczyk.  
– Skoro dostał taką propozycję, to mógł na nią przystać. A może rzeczywiście nie było ich pięciu, a tylko dwóch, Sepioł i ten z czwórką?

Karpiel pokręcił energicznie głową.

– Mówię jeszcze raz: nie było żadnego konkursu.

– Ale skąd pan to wie? – Sobczyk nie dawał za wygraną.

– Od Sepioła – odrzekł Karpiel spokojnie. – Znowu miałem trochę szczęścia. Spotkałem go przypadkiem na mieście. Jeździ bentleyem za milion złotych, za chwilę ma na nowo otworzyć restaurację, bank jakimś cudem złagodniał i dogadał się z nim w sprawie kredytu. Dziwne, nie? Można by pomyśleć, że jednak skusił się na ofertę z tajemniczego mejla.

– A nie mogło tak być? – spytał Sobczyk.

– Nie. Pojechałem do niego do domu. Porozmawialiśmy i po pewnych pertraktacjach, nawet niespecjalnie długich, ale trudnych, powiedział mi w końcu, jak to było. Rzeczywiście dostał mejla. I była w nim bardzo hojna propozycja. Nie musiał jednak w zamian nikogo zabijać. Wystarczyło, że poszedł na policję i odegrał pewną rolę. Jaką? Wiemy. Przyszedł do komendanta Derebasa i powiedział, że otrzymał propozycję i ją odrzucił. Tylko tyle. Najłatwiej zarobionych parę milionów w branży aktorskiej w historii – podsumował Karpiel ze śmiechem.

– Więc była tylko jedna prawdziwa propozycja, dobrze rozumiem? Dostał ją morderca? Ten z czwórką? – odezwała się ze swojego miejsca na widowni Maria Sobczyk.

– Jeśli już, to ta z czwórką – sprostował Karpiel.

– Jak to „ta”? Czy sugeruje pan, że to była kobieta? – spytała Sobczykowa.

Karpiel zrobił kilka kroków w jej stronę. Teraz stał tuż przed nią, a ona uniosła nieco głowę i patrzyła mu wyzywająco w oczy.

– Jest pani doskonałą aktorką – rzekł Karpiel z uśmiechem. – Gra pani do końca, dopóki nie opadnie kurtyna. Ale ona właśnie opadła. Mario Sobczyk, oskarżam panią o zamordowanie Jana Lewcuna.

## 26.

Maria Sobczyk wstała gwałtownie z krzesła.

– Tego już za wiele! – krzyknęła Karpielowi prosto w twarz. – Nie ma pan żadnych dowodów. To, co pan przedstawił, to tylko teoria. Tylko teoria...

Spojrzała na Sobczyka, jakby szukała u niego wsparcia. I rzeczywiście zrobił krok w jej stronę, lecz Karpiel zatrzymał go gestem uniesionej ręki.

– Już dość! – powiedział stanowczym tonem. – Niech pani wreszcie zrozumie, że to koniec. Ma pani motyw i właśnie straciła alibi. Możemy udowodnić, że ono nigdy nie istniało. Że pani sama je sobie dała, wymyślając fikcyjną Marię Sobczyk. Padła pani ofiarą własnej intrygi. Skierowała podejrzenie na osobę, którą jest właśnie pani.

– Ja mam motyw? Jaki motyw? Co mi pan wmawia?

Karpiel odwrócił się od niej i przeszedł na środek sceny.

– Racja. Zgadzam się z panią. Ja też myślę, że to słaby punkt mojej teorii. Pani mąż opowiedział mi, że Lewcun panią uwiódł, a potem, kiedy okazało się, że jest pani w ciąży, zostawił. Że tak jak Klara Zachanassian musiała pani opuścić miasto w hańbie. A potem poroniła i już nigdy nie mogła mieć dzieci. Właściwie to może by wystarczyło. Dla kobiety chyba dość, żeby nienawidzić. Ale żeby nienawidzić tak długo, by po tylu latach wrócić z myślą o zemście i obmyślić taki plan? No nie. Nie wierzę, że to było tylko to. Musiało być coś więcej. O czymś zapomnieliśmy. Może o najważniejszym. O narzędziu zbrodni. Nóż. Stary, zwykły kuchenny nóż. Taki zwykły, że aż dziwny. Próbowałem sobie wyobrazić, jak ktoś się do tego przygotowuje. Jak planuje to morderstwo co do minuty. Jest wyrafinowany, obmyśla każdy szczegół. Przygotowania trwają miesiącami, a opracowanie planu pewnie całe lata. I na koniec jako narzędzie zbrodni wybiera stary kuchenny nóż. Nie, to niemożliwe, żeby to był przypadek. To

musiał być „ten” nóż. Konkretny nóż, który w tej historii odgrywa ważną rolę. Musiał zaistnieć już gdzieś wcześniej i był elementem wiążącym sprawcę z ofiarą.

Karpiel nagle zamilkł i spojrzał na Szeligę.

– Gosiu, teraz twoja kolej. Mów.

Aspirant Szeliga wyszła na środek sceny i stanęła obok Karpiela.

– Rozmawiałam z żoną Lewcuna – zaczęła. – Ona... ona też dużo wycierpiała z ręki męża. Bił ją latami. Maltretował. I traktował jak przedmiot. Opowiadała mi o jego przyjaźni z Andrzejem Siutym. Spotykali się dość regularnie, pili i rozmawiali. Lewcunowa na tych imprezach robiła za służącą. Podawała jedzenie i przynosiła wódkę. Z czasem zaczęli ją traktować jak powietrze. Dlatego czasami słyszała strzępki tych opowieści. Historie się powtarzały. I mieli niektóre ulubione. I była taka jedna, w której często pojawiał się „nóż”. Opowiadali o jakiejś dziewczynie, która porwała się na Lewcuna z nożem. Że o mało go nie zabiła, kiedy „się za nią zabrał”. Że się przestraszyli nie na żarty. Że...

Sobczykowa jęknęła i osunęła się na kolana. Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Szeliga umilkła i spojrzała na Karpiela. Ten pokręcił głową, dając do zrozumienia, żeby milczała.

– Nie mam już sił – wyszeptała Maria Sobczyk. Spojrzała na męża przeproszającym wzrokiem. W oczach miała łzy. – Przepraszam cię. Nie mam już sił – powtórzyła. – Wybacz mi, proszę.

Sobczyk podszedł do niej szybko, przyklęknął przy niej i ją objął.

– Niech pani to w końcu opowie. Niech pani to z siebie wyrzuci. Proszę potraktować to jako ostateczne dopełnienie zemsty. Prawda. Jaka jest prawda, pani Sobczyk?

Milczała przez kilkanaście sekund, wpatrując się w podłogę.

– To były jego urodziny – zaczęła wreszcie głosem niższym niż zwykle. – Trzydzieste. Umówiliśmy się, że spędzimy je razem, że będziemy wspólnie, tylko we dwoje, świętowali w jego biurze w hotelu. Ja byłam tam praktykantką, on kierownikiem. Nie musiał się strasznie starać, od razu wpadł mi w oko. Byłam okropnie głupią gęsią, niczego nie rozumiałam, nie znałam mężczyzn. W ogóle nie znałam życia. Wychowałam się w bidulu.

Możecie sobie wyobrazić... Byłam zakochana do szaleństwa. Pierwszy raz w życiu. Szybko zaciągnął mnie do łóżka, a ja się nie broniłam. Tego wieczoru miałam mu powiedzieć, że jestem w ciąży. Byłam przerażona, ale myślałam, że się ucieszy, że będziemy razem, że się ze mną ożeni... – Zaśmiała się gorzko. – Boże, jaka ja byłam głupia, teraz tak mi wstyd, że byłam taka głupia. Zrobiłam tort. Wiecie, w tamtych czasach nie można było tortu po prostu zamówić w cukierni, więc sama go upiekłam. Całą noc piekłam. I z tym tortem przyszłam do jego biura. To za dużo powiedziane, biuro... Mały pokójek z biurkiem, szafą i wersalką. To na tej wersalce się kochaliśmy. Na początku było miło. Ucieszył się, gdy zobaczył tort. Aha, nóż! Przyniosłam go razem z tortem. Wiedziałam, że w biurze nie ma niczego, czym można by go pokroić. Więc przyniosłam ten nóż. I wtedy powiedziałam mu o ciąży. Że to niby taki urodzinowy prezent. – Znowu się zaśmiała, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nie do wiary, jaka ja byłam głupia... Boże, kiedy teraz przypomnę sobie jego reakcję... Jak mu się nagle zmieniła twarz. Jak na mnie spojrział. Tak zimno, z pogardą. Tego spojrzenia nigdy nie zapomnę... Potem mnie uderzył. Ale gorsze były słowa... Mówił straszne rzeczy. Że jestem kurwą, która puszcza się z byle kim, więc to na pewno nie jego dziecko, że powinnam te praktyki w jakimś burdelu robić, a nie w przyzwoitym hotelu... A potem... – Sobczykowa przerwała na chwilę, jakby zabrakło jej tchu – a potem złapał mnie za gardło i rzucił na biurko. Zrozumcie, ja nie wiedziałam, co się dzieje... Naprawdę nic z tego nie rozumiałam... A on rozerwał mi sukienkę, ściągnął majtki i... A przecież prawda jest taka, że ja po to tam wtedy przyszłam. Żeby się z nim kochać, żeby mu się po raz kolejny oddać. Nie musiał tego tak... I kiedy wydawało mi się, że spotkała mnie już najgorsza rzecz w życiu, uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał Siuty. W takiej sytuacji! Wyobraźcie sobie tylko tę scenę! Nie wiem, co tam robił, zdarzało się, że wpadał, ale mieliśmy być tego wieczoru sami. Myślałam, że Janek go wyrzuci, a on zaśmiał się i powiedział: „Wejdz, popatrz sobie, rznąę właśnie kurwę”. Tak powiedział, naprawdę. Więc ten wszedł, oparł się o drzwi i patrzył. A potem, kiedy Lewcun skończył, Siuty spytał: „A mogę teraz ja? Skoro to kurwa...”. To było jak zły sen, z którego nie mogłam się obudzić. Ale wtedy, jakimś

cudem, to był taki przebłysk świadomości, zobaczyłam, że na biurku, obok tego nieszczęsnego tortu, który piekłam dla Lewcuna całą noc, leży nóż. I w chwili, kiedy mnie sobie przekazywali, śmiejąc się i drwiąc ze mnie, z mojego ciała, złapałam nóż i rzuciłam się na Lewcuna. Przystawiłam mu go do piersi i wbiłabym, ale... Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Myślałam o tym od tamtej chwili milion razy. Nie było dnia, żebym o tym nie myślała i nie żałowała, że go chociaż nie zraniłam.

Ukryła twarz w dłoniach i pierwszy raz tego wieczoru zapłakała. Nikt nie odważył się powiedzieć słowa. Wszyscy czekali w napięciu, jakby przeczuwali, że to nie koniec opowieści. Potrzebowała kilku minut ciszy, żeby zebrać się w sobie i podjąć opowieść:

– Oni się chyba trochę przestraszyli... – Sobczyk przytulił ją jeszcze mocniej, ucałował czule włosy. – Zrozumieli, że zabawa właśnie przestała być zabawą. Że z tego może być jakaś grubsza awantura. Coś do mnie mówili, uspokajali, ale już nie słuchałam. Wybiegłam z pokoju. W tej porwanej sukience, bez majtek, ale... było mi wszystko jedno. Nie pamiętam nawet, jak dotarłam do domu. Wynajmowałam wtedy mały pokoik na Jagiellońskiej, na spółkę z koleżanką. – Podniosła głowę i spojrzała na Karpiela. – Pewnie już się pan domyśla, kto to był. Tak, Ula Stopka. Moja jedyna bratnia dusza w tym mieście. Byłyśmy jak siostry. Siostry z bidula. Kiedy wróciłam do Zakopanego, szybko ją odnalazłam. I nie musiałam jej długo namawiać, żeby mi pomogła w tym, jak pan to nazywa, spektaklu. Niestety ona była już bardzo chora. Nie mogłam jej uratować. Ale przynajmniej odeszła godnie, w spokoju i bez bólu. A wtedy, tamtej nocy, gdyby nie ona... Gdy mnie zobaczyła w tej podartej sukience, z nożem w ręku... Podobno nie chciałam go wypuścić przez resztę nocy. I nic nie mówiłam. Ani słowa. Dopiero rano wszystko jej opowiedziałam.

– Dlaczego nie poszła pani na policję? – chciał wiedzieć Karpiel.

Sobczykowa parsknęła śmiechem.

– Na milicję? Myślałam o tym, oczywiście. To znaczy myślałyśmy z Ulą. Ale... na drugi dzień pojawił się Lewcun. Wiedział przecież, gdzie mieszkam. Byłam przerażona, nie chciałam go widzieć, nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym z nim rozmawiać. Ula wzięła to na siebie. Wyszła do

niego i porozmawiała. Wróciła blada jak ściana.

– Groził jej?

– Jej też, ale bardziej mnie. Żebym się nie ważyła tego zgłosić. Że on ma znajomości na milicji i na pewno nikt nie potraktuje poważnie mojej opowieści. I żebym nikomu nie opowiadała, że to jego dziecko, bo się za mnie weźmie... Typowy Lewcun, nie? I że w razie czego ma świadka, że on nie miał ze mną nic wspólnego, że ja to sobie ubzdurałam, że on coś do mnie czuje, i zrobiłam mu scenę...

– Ten świadek to Siuty?

– Tak, Siuty. Dlatego ma pan rację, to ja zniszczyłam jego grób. Sama, własnoręcznie. Bo Siuty był tak samo podły, jak Lewcun. Ale nie mogłam go już zabić. Spóźniłam się. Szkoda. Wielka szkoda...

## 27.

– Teraz rozumiem. – Karpiel pokiwał głową. – Rozumiem, dlaczego pani to zrobiła. Dlaczego nienawidziła tak bardzo, że przez lata myślała o zemście.

– Nie wiem, czy pan rozumie. – Głos Marii Sobczyk był już spokojniejszy. – To bardziej skomplikowane. To nie tylko zwykła chęć zemsty.

– Tak? Więc co?

Milczała przez chwilę, jakby zastanawiała się nad każdym słowem, które zaraz wypowie.

– Czy wy to sobie w ogóle wyobrażacie, jak to było stanąć z nim twarzą w twarz po tych wszystkich latach? Co to było za przeżycie? Czekałam na to trzydzieści pięć lat. I bałam się dwóch rzeczy: że nagle okaże się, że te wszystkie przygotowania do zemsty są niepotrzebne, bo spotkam zmęczonego starego człowieka i po prostu mu odpuszczę. Zwyczajnie, z litości. I że nie znajdę w sobie dość siły, bo moje serce znowu zadrży na jego widok.

– Bała się pani, że nadal go... kocha?

– Bałam się tego bardzo. Najpierw dyskretnie go obserwowałam. Wiedziałam, gdzie mieszka, udało mi się go zobaczyć z daleka dwa razy. Potem zaaranżowałam przypadkowe spotkanie. Nie wiem, czy bardziej bałam się, że mnie rozpozna, czy raczej miałam na to nadzieję. To był wstrząs, uwierzcie, spościłam się jak mysz. Oto on, człowiek, o którym myślałam każdego dnia przez tyle lat i wyobrażałam sobie zemstę na tysiąc sposobów, siedział przede mną i uśmiechał się, jak gdyby nic się nie stało. Ale jakoś nad sobą zapanowałam. W każdym razie wypiliśmy kawę, porozmawialiśmy i dałam mu dyskretnie, lecz wyraźnie do zrozumienia, że mi się podoba. Jego ego jeszcze urosło przez te wszystkie lata, więc chyba



nawet nie przyszło mu do głowy, że to może być podstęp. Oczywiście mnie nie poznał. I połknął haczyk. Widziałam, jak mu się zaświeciły oczy, kiedy powiedziałam, że jestem rozwódką, ale nie znoszę samotności. I wtedy już wiedziałam, że mogę to zrobić, że dam radę. Że znajdę siły... Że nic nie czuję...

– Jak właściwie ściągnęła go pani do biura fundacji? – spytał Karpiel.

Sobczykowa znowu się uśmiechnęła.

– To akurat nie było specjalnie trudne. Jeśli mężczyzna, zwłaszcza taki pies na kobiety, jakim był Lewcun, ma w perspektywie seks, to nie widzi i nie słyszy sygnałów ostrzegawczych. Zrobi wszystko, żeby do tego doprowadzić. Na następnej kawie powiedziałam mu, że chętnie się z nim spotkam na osobności, ale nie u mnie, bo wynajmuję pokój i nie mogę za bardzo sprowadzać mężczyzn, mogę jednak korzystać z biura moich przyjaciół, państwa Sobczyków. I zapraszam go tam na wieczór przy winie. Zdziwił się, co prawda, ale chętnie się zgodził.

– I jak to się odbyło?

– Po prostu: przyszedł o umówionej porze, usiadł, zaczął mi prawić komplementy, ja nalałam mu wina, do kieliszka dyskretnie wsypałam środek obeszczadniający. Po kilku minutach zaczął działać i mogłam przejść do rzeczy. A resztę widzieliście na filmie.

– Czy on się w końcu dowiedział?

– Kim jestem? Oczywiście. Bez tego zemsta nie byłaby zemstą. Proszę pomyśleć: sam pan to zauważył, przygotowałam bardzo misterny plan. Ale najważniejsze w nim i tak były te minuty, które można zobaczyć na filmie. Więc wszystko przemyślałam tysiąc razy. Każdy wariant. Przećwiczyłam nawet cios nożem, bo chciałam być pewna, że na koniec tego nie zawalę. Że wejdzie w ciało, przebije ubranie i dosięgnie serca. Środek, którym go uraczyłam, też był szczególny. Miał go obeszczadzić, ale nie pozbawić świadomości. Musiał usłyszeć, dlaczego umiera. Za co. I kto go zabija. Musiał usłyszeć moje imię. A ja musiałam spojrzeć mu prosto w oczy i być pewna, że mnie widzi i słyszy. Więc wypróbowałam kilka, zanim wybrałam. Na sobie... Tak, naprawdę. No i powiedziałam mu. I widziałam, że pamięta. Zobaczyłam to, co tak bardzo chciałam zobaczyć.

– Czyli?

– Strach w jego oczach.

– Nie zawahała się pani?

– Nie, to też przećwiczyłam. W myślach. Kiedy pochyliłam się nad nim z nożem, miałam przed oczami obraz młodej głupiej dziewczyny leżącej na biurku w podartej sukience, z rozwartymi nogami, i pochylonego nad nią mężczyzny, który mówi do swojego kumpla: „Wejdz, popatrz sobie, właśnie różną kurwę”. Zadziało. Zabiłam go.

Aspirant Szeliga podeszła powoli do Marii Sobczyk, a ona wstała z klęczek. Jej mąż nadal ją obejmował i przytulał.

– Wiem, że pani wiele wycierpiała. I że to był bardzo zły człowiek, ale to i tak niczego nie zmienia. Musi pani teraz pójść ze mną. Pan też – zwróciła się do Sobczyka.

– Nie, nie! – krzyknęła Sobczykowa. – On o niczym nie wiedział. Nie brał w tym udziału. Przysięgam. To wszystko ja, ja sama. To mój plan, moje przedstawienie, moja wina.

– Ale... – zaczęła Szeliga, ale napotkała wzrok Karpiela. Skinął przyzwalająco głową.

Szeliga zawahała się, a po chwili powiedziała:

– Proszę nie wyjeżdżać z miasta, będzie pan musiał złożyć zeznania.

– Nigdzie się nie wybieram. Muszę przygotować obronę mojej żony – odrzekł Sobczyk oficjalnym tonem.

– I tak właśnie będzie – zwrócił się Hermann do Karpiela, kiedy Derebas i Szeliga wyprowadzili Sobczyków i zostali na scenie sami. – Pan Sobczyk wynajmie najlepszych adwokatów w kraju. Oni podpowiedzą pani Sobczyk, żeby się wszystkiego wyparła i odwołała przyznanie się do winy. To przesłuchanie nie było nawet nagrywane, więc podważą nasze świadectwa i sąd ich uniewinni. Poza tym mamy same poszlaki. Zobaczysz. Nic z tego nie będzie.

– Może i tak – mruknął Karpiel w zamyśleniu. – To nawet całkiem prawdopodobne. Ale teraz w naszym kraju sądy są bardzo dziwne i nigdy nic nie wiadomo. No i kto powiedział, że to nie było nagrywane?

Uśmiechnął się i poprawił staromodną srebrną spinkę do krawata.

## 28.

Jacek Socha wyłączył rejestrator i zdjął z uszu słuchawki. Rozmasował sobie kark i sprawdził opatrunek na głowie. Był teraz o wiele mniejszy, prawie niewidoczny pod czapką z daszkiem, którą nosił. Do końca życia zostanie mu blizna nad lewym uchem. Pamiątka z Zakopanego. Uśmiechnął się na tę myśl.

Siedział w samochodzie zaparkowanym przed teatrem. Zobaczył, jak Szeliga i Derebas wyprowadzają Sobczyków, wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

Więc teraz to już naprawdę koniec gry, pomyślał. Zagadka rozwiązana. Spojrzał na małe pudełko, które trzymał w dłoni. Tu jest wszystko. Cała historia. Nagrana dzięki małemu mikrofonowi ukrytemu w spince od krawata. Jego pomysł. Czy im się to przyda? Jeśli tak, mógłby myśleć, że to była jednak także jego gra. Zawsze coś.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk przychodzącego SMS-a. Odłożył rejestrator i wyjął z kieszeni komórkę. Na ekranie wyświetliła się wiadomość:

**TAJEMNICZE MORDERSTWO W TARNOWIE. W STAREJ KAMIENICY ZNALEZIONO ZMASAKROWANE ZWŁOKI TRZECH OSÓB. PROKURATURA I POLICJA BADAJĄ MIEJSCE ZBRODNI – BIERZESZ TO?**

Zaśmiał się na głos.

– Jasne, że biorę – mruknął i przekręcił kluczyk w stacyjce.

## Epilog

Karpiel rozejrzał się po sali.

– To tu? – spytał zdziwiony.

– Tu – odpowiedział Zatorski Tatar. – Dawniej był tutaj klub. Dyskoteka z barem. Podobno fajnie grali. Nie bywałem, przyznaję. Nie lubię tańczyć. Jak zaczęli otwierać nowoczesne kluby bliżej centrum, zbankrutowała. Od tamtej pory stoi pusta. Pewnie już dawno rzuciłby się na to jakiś inwestor albo deweloper i przerobił na hotel czy sklep, ale tu jest podobno kilkunastu właścicieli, z tego połowa siedzi w Ameryce, więc to wcale niełatwe. A ja znam trochę tego, co wynajmował to na dyskotekę, ciągle ma klucze, więc zgodził się, żebyśmy za parę złotych urządzali tu ciche treningi. Byłeś tu kiedyś?

– Byłem – Karpiel uśmiechnął się pod nosem. Jasne, że tu był. Wiele razy. I był tu także tego najważniejszego wieczoru. Siedział tam, w kącie, gdzie teraz wisiał worek treningowy, pił piwo i patrzył. Obserwował ludzi. Lubił to robić. I wtedy na parkiet wyszła Ela. Pamiętał jak dziś, miała na sobie czarną bluzkę na ramiączkach ozdobionych cekinami i czarne legginsy. Tańczyła. Nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś tak tańczył. Nie mógł oderwać od niej oczu. To było zmysłowe, jednak ani trochę nie wyuzdane, rytmiczne, lecz płynne i łagodne, szalone, mimo to miało w sobie jakąś tajemnicę. Ela zawsze tańczyła sama. Zamykała oczy i oddawała się muzyce. Zauważył, że lubi latynoskie rytmy, pasowały do jej urody, do długich czarnych włosów i ciemnej karnacji. Długo myślał, a raczej wyobrażał sobie, że oczy też ma ciemne, czarne albo przynajmniej piwne. Aż do tamtego wieczoru, o wiele później po tym, gdy zobaczył ją pierwszy raz, gdy po kolejnym tańcu nagle podeszła do jego stolika, usiadła, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Hej, kolego, może przestaniesz się gapić i postawisz mi piwo?

I już wiedział, że ma zielone oczy.

Zatorski podał mu rękawice i ochraniacz na głowę. Karpiel, pomagając sobie zębami, z trudem zacisnął sznurówki na nadgarstkach. Zsunął z nóg mokasyny i wszedł na ring rozstawiony na samym środku sali. Naprzeciwko niego stanął Zatorski. Uderzyli się kurtuazyjnie rękawicami i zaczęli taniec wokół ringu. Karpiel szybko poczuł adrenalinę. Zrobił wypad do przodu. Zamarkował uderzenie prawym prostym, a potem mocnym lewym sierpowym walnął przeciwnika w szczękę. To za moją mamę, pomyślał z satysfakcją.

\* \* \*

Ela przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi do mieszkania. Stała w przedpokoju, nasłuchując. Jest w domu? Zdjęła buty i weszła do salonu. Włączyła światło. Potem delikatnie nacisnęła klamkę i najciszej, jak potrafiła, uchyliła drzwi sypialni. Usłyszała rytmiczny głęboki oddech. Więc jest. Zamknęła drzwi i wróciła do salonu. Stała przy oknie i wyjrzała. Zakopane. Jest tu. Wróciła. Dla niego.

[1]

Friedrich Dürrenmatt, *Wizyta starszej pani*, przekł. Irena i Egon Naganowscy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.